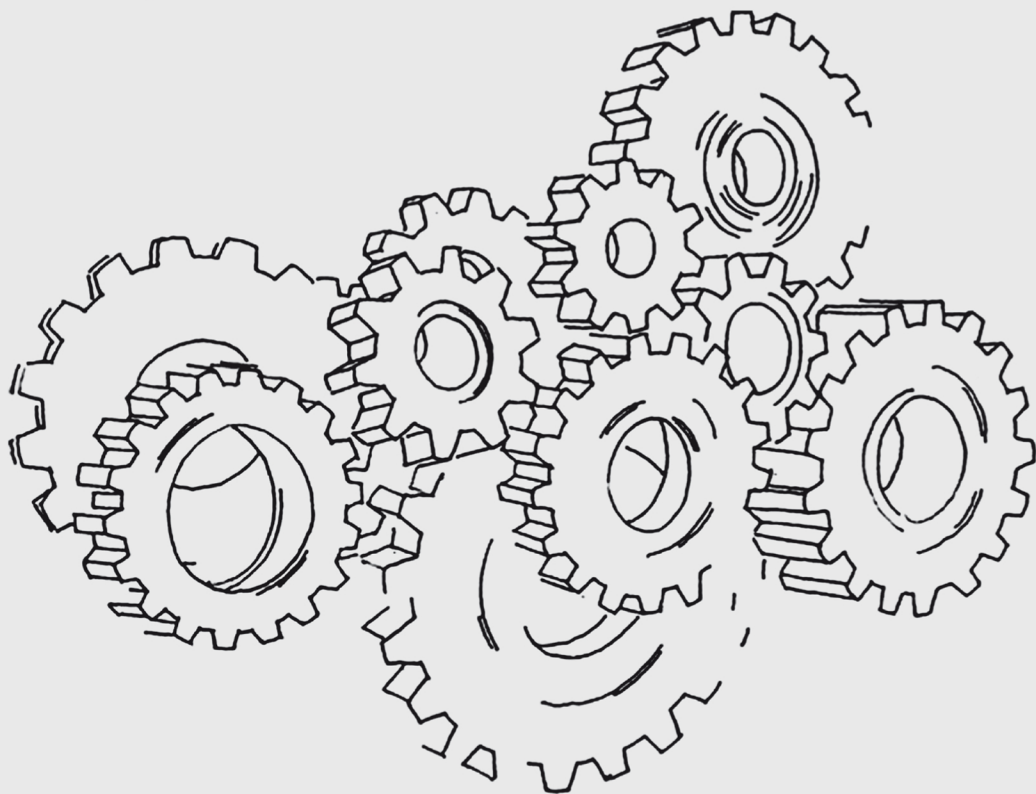


Śladami pionierów ekonomii społecznej

wybór i opracowanie:

Aleksandra Bilewicz

Szymon Surmacz



Śladami pionierów ekonomii społecznej

wybór i opracowanie:
Aleksandra Bilewicz
Szymon Surmacz

Łódź 2015

{ · ◉ ⚙ } OBYWATELE
OBYWATELOM

Śladami pionierów ekonomii społecznej

OPRACOWANIE

Aleksandra Bilewicz, Szymon Surmacz

WYDAWCA

Stowarzyszenie Obywatele Obywatelom

ul. Zielona 27

90-602 Łódź

tel. 530 058 740

www.soo.org.pl



Publikacja na licencji Creative Commons,

Uznanie autorstwa + na tych samych zasadach 3.0 Polska

SKŁAD

Kooperatywa.org

ILUSTRACJE

Spółdzielnia Socjalna Spółła Działa

ISBN: 978-83-64496-04-2 (druk)

ISBN: 978-83-64496-05-9 (PDF)

Materiały do publikacji zostały pozyskane dzięki współpracy i pomocy ze strony Muzeum Historii Społdzielczości przy Krajowej Radzie Społdzielczej w Warszawie.

PUBLIKACJA BEZPŁATNA

Wydane w ramach projektu „Śladami pionierów ekonomii społecznej” współfinansowanego ze środków otrzymanych z Ministerstwa Pracy, Rodziny i Polityki Społecznej w ramach Programu Operacyjnego Fundusz Inicjatyw Obywatelskich.

SPIS TREŚCI

Wstęp	4
Spółdzielnia uczniowska. Pierwsze kroki	
Spółdzielczy sklepik. Szkoła kooperacji i przedsiębiorczości	12
Śladami pionierów spółdzielczości uczniowskiej	16
Artykuły z pisma „Młody Spółdzielca” (1937)	18
Jan Wolski – Czy to bajka, czy nie bajka	21
Olena Dąbrowska-Haubold – Spółdzielnie szkolne Zagłębia Dąbrowskiego	39
Kooperatywa spożywców. Kupując, zmieniają świat na lepsze	
Kooperatywa spożywców „Dobrze”	42
Śladami spółdzielczości spożywców	47
Maria Dąbrowska – Wielkie odkrycie (fragmenty)	50
Stanisław Thugutt – Inni ludzie	60
Marian Rapacki – Współdziałanie organizacji rolniczych z organizacjami spożywców	62
Stanisław Wojciechowski – Werbowanie członków	65
Spółdzielnia socjalna. Chcieć więcej dla innych	
Spółdzielnia Dalba. Wyższa półka odpowiedzialności społecznej	70
Śladami pionierów odpowiedzialności społecznej	74
Bez odpowiednich pracowników nie ma rozwoju spółdzielni	77
Janina Świąćicka – W sprawie lotnisk	79
Wacław Bliziński – Działalność spółdzielni i organizacji rolniczych w Liskowie	81
Spółdzielnia kreatywna. Na własnych zasadach	
Parostatek. Jak z wielu łodzi zrobić flotę?	94
Śladami Ligi Kooperatystek	99
Edmund Zalewski – Ruch spółdzielczy społeczny i nowa sztuka	105
Tadeusz Mianowski – Grupa Techniczna	108
Wspólnota idei. Razem młodzi przyjaciele!	
Ogniwo – zaplecze dla działań obywatelskich	114
Marian Rapacki – Sprawa wychowania społeczno-gospodarczego	120
Marian Rapacki – O ideowość w ruchu spółdzielczym	123
Stanisław Thugutt – Rola spółdzielczości w budowie państwa polskiego	132
Zasady roczdelskie	136
Deklaracja Spółdzielczej Tożsamości (zasady manchesterskie)	138

WSTĘP

Czy razem lepiej jest działać niż w pojedynkę? Czy da się prowadzić firmę, w której pracownicy wspólnie i demokratycznie podejmują decyzje o jej losie? Czy można stworzyć dla siebie miejsce pracy, a równocześnie działać na rzecz lokalnej społeczności, ochrony środowiska czy przeciwdziałać wykluczeniu społecznemu? Czy konsumenci mogą zrzeszać się, by wspólnie kupować dobrą żywność o znanym pochodzeniu, wspierając niewielkie gospodarstwa rolne?

Osoby, o których działalności opowiemy w tym zbiorze, na powyższe pytania odpowiedziałyby twierdząco, mimo że po drodze nieraz musiały wspólnie pokonać różne trudności. Ich pracę łączy kilka wspólnych zasad, które stanowią podstawę szeroko rozumianej ekonomii społecznej: to taki rodzaj gospodarowania, które nastawione jest przede wszystkim na potrzeby danej społeczności i dobro wspólne, a nie na pomnażanie zysku. W książce przedstawimy różne formy ekonomii społecznej, skupiając się przede wszystkim na jednym z jej rodzajów, czyli spółdzielczości: spółdzielnie socjalne, spółdzielnie pracy i użytkowników, nieformalną spółdzielnię inżynierów, a także kooperatywy spożywcze, czyli zrzeszenia konsumentów nabywających potrzebne im dobra z pominięciem pośredników.

Działania, o których piszemy, mają długą tradycję, sięgającą przynajmniej pierwszej połowy XIX wieku, choć i wcześniej ludzie zrzeszali się w różnego typu organizacje wzajemnej pomocy czy gospodarowania dobrami uznanymi za wspólne. Spółdzielczość, we właściwym znaczeniu tego pojęcia, narodziła się w Anglii epoki rewolucji przemysłowej, a jej twórcy inspirowali się reformatorską myślą społeczną tego czasu, m.in. ideami przedsiębiorcy, filantropa i reformatora Roberta Owena. Pragnąc poprawić poziom życia robotników pracujących w jego zakładach, Owen próbował zorganizować ich życie, pracę i edukację w myśl oświeceniowych i nieco utopijnych ideałów, tworząc osady rolniczo-przemysłowe będące rodzajem komun. Nie było jednak na dłuższą metę dane przetrwać tym formom wspólnego życia, być może dlatego, że opierały się one na całościowej wizji i środkach swojego założyciela, który nie pozostawiał swoim podopiecznym zbyt wiele

inicjatywy i inwencji. Dopiero gdy idee owenowskie zostały podjęte przez samodzielnych i niezależnych działaczy wywodzących się ze środowiska pracowników, zyskały należyty odzew. To w kręgu tkaczy – robotników i rzemieślników z miasta Rochdale w północnej Anglii – powstała pierwsza spółdzielnia spożywców, czyli konsumentów. Robotnicy brytyjscy znajdowali się wówczas w dramatycznej sytuacji: płace były bardzo niskie, zagrożenie bezrobociem – ogromne, a towary pierwszej potrzeby drogie i często fałszowane.

Idea kooperatywy spożywców (konsumentów) była prosta: z uciulanych wspólnie groszy założyć sklepik, który będzie nabywał towary bezpośrednio od producentów. Sklep miał sprzedawać po cenach rynkowych, ale marża, która w zwykłym handlu zostawała w rękach sklepikarza, trafiała z powrotem do kupującego w postaci tzw. dywidendy od zakupów. Nie w całości jednak, gdyż część zaoszczędzonych w ten sposób pieniędzy pozostawała we wspólnym funduszu, który okazał się mieć ogromne znaczenie. Początkowo działalność Roczdeelskiego Stowarzyszenia Sprawiedliwych Pionierów była bardzo skromna – w sklepiku sprzedawano jedynie towary najpilniejszej potrzeby, jak mąka, kasa, świece czy gwoździe. Wyśmiewano się z Pionierów i wieszczono rychły upadek ich skromnej działalności. Wkrótce okazało się, że wspólny fundusz urasta do znacznych rozmiarów. Można było nie tylko znacznie rozszerzyć asortyment sklepu, ale założyć wiele sklepów, a także świetlicę i czytelnię. To właśnie twórcy sklepu w Rochdale są autorami tzw. zasad roczdeelskich, do dziś obowiązujących w spółdzielniach. Należy do nich otwarte członkostwo, niezależność, demokratyczne podejmowanie decyzji, czy ograniczone oprocentowanie udziałów (odróżniające kooperatywę od zwykłego przedsiębiorstwa). Już po kilku latach stowarzyszenia spożywcze na wzór roczdeelski powstawały w Anglii tysiącami. Wkrótce powstała hurtownia należąca do spółdzielni. Zaczęto myśleć także o spółdzielczej wytwórczości.

Ruch spółdzielczy zaczął rozwijać się w całej Europie. Spółdzielczość spożywców trafiła na podatny grunt między innymi we Francji, Szwajcarii, a także w krajach skandynawskich. W Danii szczególnie rozwinęła się spółdzielczość wiejska. W Belgii spółdzielnie spożywcze zakładały domy ludowe, które stały się centrami życia kulturalnego, społecznego i politycznego tamtejszych robotników. W Niemczech powstały spółdzielnie oszczędnościowo-kredytowe, które wkrótce stały się wzorem dla całej Europy. W 1895 roku powstał Międzynarodowy Związek Spółdzielczy, który do dziś zrzesza spółdzielnie z całego świata.

Idea spółdzielcza dotarła także na ziemie polskie, wówczas pod zaborami. W poszczególnych regionach rozwijały się one w różny sposób. Na terenie Galicji powstawały przede wszystkim spółdzielnie oszczędnościowo-kredytowe pod przewodnictwem wybitnego teoretyka i działacza spółdzielczego, Franciszka Stefcyka. W Wielkopolsce powstawały głównie spółdzielnie rolnicze oraz, w środowiskach tamtejszego mieszczaństwa, oszczędnościowo-kredytowe. W zaborze rosyjskim zaś rozwinęła się spółdzielczość spożywców, która dała początek najbardziej znanemu i rozwiniętemu odłamowi ruchu.

To tutaj w 1906 roku, na fali ustępstw władz zaborczych wobec działalności społecznej po rewolucji 1905, powstało Towarzystwo Kooperatystów, założone przez najwybitniejszych polskich myślicieli i działaczy społecznych. Należał do nich największy teoretyk spółdzielczości, Edward Abramowski, autor słynnych tekstów, m.in. „Kooperatywa

jako sprawa wyzwolenia ludu pracującego” czy „Idee społeczne kooperatyizmu”, Stanisław Wojciechowski, początkowo działacz Polskiej Partii Socjalistycznej, późniejszy prezydent II Rzeczypospolitej, czy Romuald Mielczarski, który położył swe największe zasługi w pracy na rzecz związku „Społem” i zjednoczenia pod jego egidą różnych nurtów polskiej spółdzielczości spożywców. Towarzystwo postawiło sobie za cel propagowanie idei kooperatyizmu i edukację w tym kierunku. Powołano tygodnik „Społem” poświęcony sprawom spółdzielczości. Miał on pozostać najważniejszym (choć jednym z wielu) pism poświęconych tej tematyce w okresie międzywojennym. Redaktorem pisma został Stanisław Wojciechowski, który w swoich wspomnieniach pisze, że pomysłodawcą jego nazwy był Stefan Żeromski, sympatyk idei spółdzielczej.

Żeromski nie był jedynym z grona czołowych przedstawicieli kultury polskiej tego okresu, który sympatyzował z ideą kooperacji. Zarówno przed odzyskaniem niepodległości, jak i w okresie II Rzeczypospolitej, w ruch spółdzielczy mniej lub bardziej czynnie zaangażowani byli wybitni przedstawiciele życia politycznego, akademickiego czy artystycznego. Oprócz wspomnianych założycieli ruchu, jak Abramowski, Wojciechowski czy Mielczarski, byli to m.in. Edward Milewski, autor jednej z pierwszych prac na ten temat, „Sklepy społeczne”, socjalistyczny myśliciel i uczonek Ludwik Krzywicki, minister rolnictwa, badacz i działacz spółdzielczy Zygmunt Chmielewski, czy członek rządu lubelskiego, ludowiec Stanisław Thugutt. Głęboko oddana idei spółdzielczości była pisarka Maria Dąbrowska. Przez wiele lat pisywała na łamach pism spółdzielczych, głównie „Spólnoty”, popularnego pisma ilustrowanego wydawanego przez związek „Społem”. Do tematyki spółdzielczej nawiązywała także bardzo często w swojej twórczości. Pod koniec lat 30., w odpowiedzi na falę ataków na ruch spółdzielczy ze strony prasy związanej z niechętnymi jej stronnictwami politycznymi, wybrała się w objazd po spółdzielniach całej Polski, co zaowocowało publikacją pod tytułem „Ręce w uścisku. Rzecz o spółdzielczości polskiej”, poświęconą osiągnięciom spółdzielczości w różnych regionach kraju (jej fragment publikujemy w niniejszej antologii). Tematykę kooperacji poruszał również w swoich utworach Gustaw Morcinek, Konstanty Ildefons Gałczyński, a także wielu nieco mniej znanych twórców.

W ruchu spółdzielczym od jego zarania niezwykle istotne były idee, które łączyły ludzi. Polscy działacze spółdzielczy szczególnie mocno podkreślali, że spółdzielnia to coś więcej niż przedsiębiorstwo – że stanowi ona także demokratyczną wspólnotę, będącą szkołą demokracji, współdziałania, wspólnego budowania lepszego świata wokół siebie – czyli tych cech, które dziś zwykliśmy przypisywać rozwiniętemu społeczeństwu obywatelskiemu. Było to szczególnie ważne dla narodu, który utracił podmiotowość polityczną. W 1906 roku Abramowski pisał na łamach „Społem”: „Kooperatywy, powołując jak najszersze warstwy ludu do prowadzenia spraw gospodarskich, handlowych i kulturalnych (...) uczą człowieka być **wolnym twórcą życia**; a uczą przez to, że w kooperatywach zarówno włościanin, jak i robotnik lub rzemieślnik przyzwyczajają się do wspólnego i solidarnego działania z innymi dla prowadzenia wspólnych spraw; że należąc do sklepu spożywczego, spółki rolnej czy kasy, czy związku zawodowego, z konieczności rzeczy musi zajrzeć lepiej w warunki, przy których odbywa się wymiana i produkcja społeczna, zapoznać się ze sposobami administrowania i prowadzenia przedsiębiorstw i zrozumieć, w jak silnym stopniu jego własny i jego rodziny byt zależy od dobra wszystkich innych”.

Spółdzielczość w Polsce międzywojennej miała wiele odmian, a także wiele odcieni ideowych. Początki spółdzielczości spożywców i związanych z nią idei, zarówno na świecie, jak i w Polsce, wiązane są z prądami socjalistycznymi. Spółdzielnie powstawały również pod egidą stronnictw bardziej konserwatywnych czy religijnych – szczególnie w dawnym zaborze pruskim, gdzie rozwijały się, oprócz środowisk wiejskich, w kręgach raczej zachowawczego mieszczaństwa. Jednym z twórców tamtejszej spółdzielczości był ksiądz Stanisław Adamski. W zaborze rosyjskim znana była postać księdza Wacława Blizińskiego, który doprowadził do powstania całego zespołu spółdzielni oraz domu ludowego na terenie podkaliskiej wsi Lisków, nazywanej wsią wzorową. Spółdzielczość wiejską w okresie międzywojennym wspierały także różne odłamy ruchu ludowego, m.in. założony w 1928 roku Związek Młodzieży Wiejskiej RP „Wici”.

Idea kooperacji radziła sobie jednak dobrze także, a być może przede wszystkim, bez związku z określonym prądem politycznym. Niezależność kooperacji od stronnictw politycznych czy religijnych głosili twórcy i działacze Powszechnego Związku Spożywców „Społem”, powstałego na bazie Warszawskiego Związku Stowarzyszeń Spółdzielczych (1911 rok). Ten silny prąd w spółdzielczości nazywany był niekiedy – także przez krytyków – neutralistycznym, gdyż dystansował się od partii i deklaracji politycznych. W myśl tego nurtu ustrój gospodarczy miał stopniowo i w pokojowy sposób przekształcić się w ustrój spółdzielczy. Ideę tę nazywano niekiedy pankooperatyzmem, a jednym z jej głównych propagatorów w Europie był francuski ekonomista Karol Gide; w Polsce – Abramowski, a następnie środowisko skupione wokół „Społem”.

Związek „Społem” po odzyskaniu niepodległości starał się zjednoczyć rozproszoną spółdzielczość spożywców, skupioną pod różnymi szyldami politycznymi czy ideowymi. Gorącym orędownikiem zjednoczenia był niestrudzony działacz „Społem”, twórca pierwszej hurtowni Związku (1911 rok), Romuald Mielczarski. Zjednoczenie było poprzedzone gorącymi debatami i sporami, które zresztą trwały i w późniejszych latach: neutralności politycznej byli przeciwni działacze tzw. spółdzielczości klasowej czy robotniczej, stojący na stanowisku, że kooperacja ma być jednym z wielu elementów walki politycznej proletariatu. Zwolennicy apolityczności spółdzielczości uważali, że dzięki oderwaniu od szyldów partyjnych, spółdzielnie są bardziej autonomiczne, mogą zrzeszać większe grupy konsumentów o różnych poglądach, a także skupić się na podstawowym celu swojej działalności, jakim było zapewnienie konsumentom lepszego bytu materialnego, jednocześnie ucząc ich współpracy i solidarności. „Społem” zdecydowanie stawalo w obronie ludzi biedniejszych, pracujących fizycznie czy bezrobotnych – robotników, rzemieślników, chłopów (ci ostatni stanowili w międzywojennej Polsce 64% ludności). Oprócz poprawy warunków bytowych, dzięki możliwości zakupu tańszych towarów w sklepie spółdzielczym czy szansy na godne mieszkanie dzięki członkostwu w spółdzielni mieszkaniowej, starano się także zadbać o ich rozwój intelektualny i kulturalny – poprzez pisma wydawane przez Związek, organizowane przez niego liczne kursy i wyjazdy szkoleniowe, imprezy kulturalne czy czytelnie, działające przy niektórych spółdzielniach.

Działalność Związku w latach 30. XX wieku osiągnęła imponujące rozmiary (w kraju działało kilka tysięcy spółdzielni spożywczych, a ruch założycielski był szczególnie widoczny na wsi), mimo kryzysów gospodarczych i trudności, których spółdzielnie musiały doświadczać. Oprócz spółdzielni „dorosłych” prężnie rozwijały się w II Rzeczypospolitej

spółdzielczość uczniowska, której działalność Związek „Społem” wspierał. Spółdzielnie uczniowskie zakładały sklepiki szkolne, które sprzedawały żywność oraz podręczniki po niższej cenie, uprawiały ogrody przyszkolne, hodowały zwierzęta, niekiedy prowadziły np. szkolny zakład fryzjerski, organizowały wycieczki, często z zebranych funduszy wspierały biedniejszych członków. W okresie międzywojennym polski ruch spółdzielczości uczniowskiej należał do najsilniejszych w Europie. W tych drobnych nieraz stowarzyszeniach dzieci i młodzież uczyły się wzajemnej pomocy, współdziałania i demokracji w praktyce.

Oprócz spółdzielni spożywców, kredytowych, rolniczych spółdzielni zbytu czy mleczarskich, próbowano także w Polsce rozwinąć działalność spółdzielni pracy, czego orędownikiem był jeden z wybitniejszych pisarzy i działaczy spółdzielczych, Jan Wolski. Spółdzielnie te zrzeszały pracowników, którzy wspólnie tworzyli zakład pracy i wykonywali pewne usługi, np. rzemieślnicze. Jednak działalność ich w praktyce okazała się być trudniejsza niż spółdzielni spożywczych i nie rozwinęła się na tak dużą skalę.

W czasie II wojny światowej działalność i autonomia spółdzielczości polskiej została znacznie ograniczona, jednak całkowicie jej nie zniszczono. Związek „Społem” przetrwał, choć jego działalność została poddana nadzorowi okupanta, musiano zaprzestać jakiegokolwiek działalności wychowawczej czy wydawniczej. W niektórych regionach spółdzielnie wspierały aprowizację polskiego podziemia.

Sytuacja spółdzielczości skomplikowała się w okresie PRL. Z jednej strony oficjalnie ją popierano, z drugiej – ograniczono znacznie autonomię, podporządkowując ją państwowej gospodarce planowej. Spółdzielczość uzyskała służebną, drugorzędną rolę, właściwie podobną do tej, jaką wyznaczali jej komunizujący teoretycy przedwojenni. Część przedwojennych działaczy „Społem” i innych spółdzielni odnalazło się w nowej rzeczywistości, inni – jeśli przeżyli wojnę – odeszli w cień. Spółdzielczość straciła swój demokratyczny, niezależny charakter, co z pewnością zaważyło na jej złej reputacji po transformacji ustrojowej zapoczątkowanej w 1989 roku. Można powiedzieć, że reputacja ta zdecydowała również o sposobie, w jaki potraktowano istniejące struktury spółdzielcze w nowych warunkach. Na mocy tzw. specustawy spółdzielczej rozwiązano dawne związki spółdzielcze, co doprowadziło do osłabienia istniejących podmiotów, z których część przekształciło się w firmy. Wiele z nich, w tym spółdzielnie mieszkaniowe, nie funkcjonują zgodnie ze wszystkimi spółdzielczymi zasadami, stąd określa się je niekiedy mianem „pseudospółdzielni”. Do tych trudności dołączyła negatywna kampania medialna wobec spółdzielczości, stąd powszechnie zaczęło się ją uważać za relikty PRL, nieefektywną i przestarzałą, a także skażoną układami formę gospodarowania.

Jednak od kilku lat wizerunek spółdzielczości i szerzej – ekonomii społecznej – zaczyna się zmieniać. Zainteresowanie formami gospodarowania opartymi na demokratycznym zarządzaniu rośnie. Funkcjonują nowe formy wspólnotowej ekonomii, zarówno umocowane prawnie, jak i niesformalizowane. W 2006 roku uchwalono ustawę o spółdzielniach socjalnych, będących nową formą spółdzielczości pracy. Umożliwiają one osobom bezrobotnym lub zagrożonym wykluczeniem społecznym zrzeszanie się w celu świadczenia różnych usług, z możliwością wsparcia ze strony państwa oraz organizacji pozarządowych. Pod koniec roku 2014 było już ich ponad 1300.

Mniej więcej od 2010 roku powstają także kooperatywy spożywcze, częściowo nawiązujące do dawnych idei kooperatywności konsumenckiej. Są to najczęściej nieformalne inicjatywy, zakładane przez grupy znajomych, którzy wspólnie postanawiają kupować żywność bezpośrednio od rolników. Wzorem dawnych spółdzielni, większość z nich ustanawia fundusz na wspólne cele. Kooperatywy organizują także spotkania, debaty czy wspólne posiłki. Większość z nich ma bardziej nieformalną strukturę niż spółdzielnie przedwojenne, a dużą rolę w organizacji ich pracy odgrywa internet. Jedną z kooperatyw, o której piszemy w zbiorze, warszawska „Dobrze”, założyła sklep spółdzielczy, który zatrudnia pracowników, trochę jak za dawnych spółdzielczych czasów.

Oprócz podanych przykładów w ostatnich latach pojawiło się w Polsce wiele innych inicjatyw, nie zawsze zarejestrowanych jako formalne organizacje, które działają według podstawowych zasad ekonomii społecznej. Dążą nie tylko do określonego celu gospodarczego, ale także przyczyniają się do rozwoju społeczności, której służą – wzmacniając więzi, stwarzając okazję do spotkań, organizując życie społeczne i kulturalne miasta, sąsiedztwa czy dzielnice.

Warto pamiętać, że dzisiejsze spółdzielnie – zarówno spożywcze, pracy, socjalne czy np. mieszkaniowe – działają w zupełnie innych warunkach ekonomicznych i społecznych. W drugiej połowie XIX wieku aż do okresu międzywojennego warunki życia miejskich robotników oraz chłopów były trudne do wyobrażenia dla większości z nas – brakowało podstawowych wygód, żywności, w jednej robotniczej izbie mieszkało często kilka rodzin. Dziś jednak spółdzielnie opierają się na podstawowej zasadzie współpracy i solidarności i mogą stać się odpowiedzią na trudną sytuację młodych czy wykluczonych społecznie na rynku pracy, problem braku dostępu do zdrowej, lokalnej żywności czy potrzebę twórczego rozwoju. Idee spółdzielcze wymagają dostosowania do dzisiejszych czasów, lecz ich istota pozostaje ta sama.

O książce

Celem naszego zbioru jest pokazanie ciągłości i aktualności idei stojących u fundamentów ekonomii społecznej, a jednocześnie konieczności dostosowania ich do teraźniejszych warunków i możliwości. Proponujemy wspólną wycieczkę śladami pionierów ekonomii społecznej – zachęcając do zapoznania się z fragmentami dawnych tekstów zestawionych z opisami podobnych, współczesnych inicjatyw. Dokonując wyboru tekstów kierowaliśmy się kilkoma kryteriami.

Po pierwsze, zależało nam na pokazaniu różnorodności spółdzielczych inicjatyw oraz ich wzajemnych relacji. Nie można mówić o spółdzielczości konsumenckiej (spożywczej) bez powiązania jej ze zrozumieniem problemów współczesnego rolnictwa. Spółdzielnie pracy były kiedyś, konsekwencją wcześniejszej aktywności kooperatyw spożywczych. Sięgające czasów PRL spółdzielnie inwalidów i dzisiejsze spółdzielnie socjalne powstały po to, żeby dać pracę ludziom, których „rynek” uznał za bezużytecznych. Spółdzielnie uczniowskie kształtują kadry dla każdego typu spółdzielni. Te zależności i połączenia w „spółdzielczej rodzinie” widać wyraźnie zarówno w tekstach archiwalnych jak i w prezentacjach współczesnych inicjatyw.

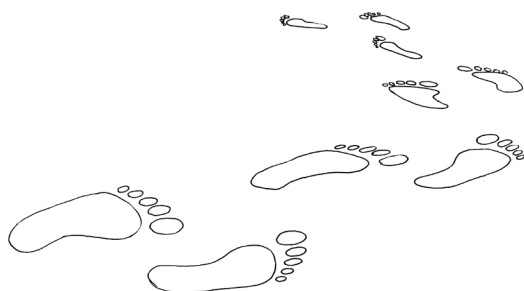
Po drugie, chcieliśmy pokazać, że naszym zdaniem spółdzielczości nie definiuje prawo. Każda z zaprezentowanych w książce inicjatyw ma inną formułę prawną. Organizacja szkolna, stowarzyszenie, spółdzielnia osób prawnych, spółdzielnia socjalna, spółdzielnia pracy, fundacje i nieformalne kolektywy: każda sprawdza się w swojej specjalizacji, wszystkie łączy jeden fundament – oparcie na zasadach roczdelskich i chęć zmieniania świata na lepsze.

I po trzecie, to właśnie ten ideowy fundament – chęć budowania lepszego świata i świadoma rezygnacja z maksymalizacji zysku właścicieli, przekazywanie części dochodów na cele społeczne i poczucie więzi ze społecznością lokalną i swoimi pracownikami, stanowi sedno tego, co współcześnie nazywamy „ekonomią społeczną”.

Każda spółdzielnia działając w określonym środowisku lokalnym może wywierać na nie pozytywny wpływ, zmieniać świat na lepsze w swoim bezpośrednim otoczeniu. Współczesne kooperatywy są naturalnym łącznikiem i konsekwencją działania w organizacjach społecznych, a dawne kooperatywy, tworząc Domy Ludowe, zajmując się edukacją, organizacją czasu wolnego, kulturą, sportem, pełniły te same funkcje, co dzisiejszy sektor pozarządowy. To właśnie odróżnia społecznych przedsiębiorców od „klasycznego” biznesu, którego nadrzędnym celem jest zarabianie pieniędzy. W prawdziwych, etosowych spółdzielniach pieniądź jest jedynie środkiem do rozwiązywania rozmaitych problemów i zaspokajania potrzeb społecznych – zarówno materialnych jak i duchowych.

Choć dzisiejsze inicjatywy w dziedzinie ekonomii społecznej znajdują się w większości na początku drogi rozwoju i trudno im jeszcze dorównać – zarówno pod względem myśli, jak i praktycznego rozmachu – dawnemu ruchowi spółdzielczemu, stanowią one żywy przykład na to, że niemal zapomniane idee współdziałania są wciąż aktualne. Jak pokażemy w rozmowach ze współczesnymi kooperatystami, niektórzy świadomie nawiązują do przedwojennych wzorców, inni docierają do kanonu spółdzielczych idei w trakcie swojej pracy, dla niektórych historia i inspiracje nie są tak istotne, jak żywa idea w działaniu. Mamy nadzieję, że zbiór, który trzymacie w ręku, będzie stanowił swoisty przewodnik po historii i teraźniejszości ekonomii społecznej i zachęci zarówno do dalszych poszukiwań we wciąż nieodkrytym skarbcu dawnych idei, jak i do wcielania ich w życie.

SPÓŁDZIELNIA UCZNIOWSKA. PIERWSZE KROKI



SPÓŁDZIELCZY SKLEPIK. SZKOŁA KOOPERACJI I PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

Przed wybuchem drugiej wojny światowej, spółdzielnie uczniowskie działały w 30% polskich szkół. Po wojnie, w latach 1950-1955, państwo przejęło majątek i zlikwidowało większość działających spółdzielni, w tym również kilkunastu tysięcy spółdzielni uczniowskich. Ich odrodzenie następowało stopniowo dopiero po zmianach politycznych w 1956 roku. „W latach 70. polska spółdzielczość uczniowska obok francuskiej, brytyjskiej, szwedzkiej i duńskiej zaliczana była do najaktywniej działających i najlepiej zorganizowanych. W tym okresie wydawane były liczne publikacje w postaci instruktarzy dla uczniów i opiekunów spółdzielni. W ramach spółdzielni uczniowskich działały intrologatornie, zakłady fryzjerskie, pracownie fotograficzne, wytwórnie zabawek i wyrobów z wikliny, a nawet zakłady krawieckie i dziewiarskie”.

Spółdzielnie uczniowskie w latach 70. mimo narzuconych ograniczeń, sięgały po najlepsze wzorce polskiej spółdzielczości, tworząc silny ruch, własne media, produkty i usługi. Na początku lat 90. z 18 tysięcy działających spółdzielni pozostało zaledwie 3000. Obecnie jest ich około 6000, a zainteresowanie tego rodzaju działalnością powoli rośnie. Rozwój spółdzielni uczniowskich wspiera powstała w 1993 r. Fundacja Rozwoju Spółdzielczości Uczniowskiej z siedzibą w Krakowie. Nie jest to jednak jedyna instytucja, która może pomóc w założeniu szkolnej kooperatywy. Bardzo dobry model wspierania rozwoju spółdzielczości uczniowskiej wypracowała Spółdzielnia Socjalna „Opoka” w Kluczach (woj. małopolskie). Stworzyła ona w szkołach w miejscowościach w okolicy Kluczy ciekawy program edukacyjno-wdrożeniowy, który rozwiązuje podstawowe problemy organizacyjne i prawne, stojące przed no-

1 Robert Stawicki, „Historia i teraźniejszość spółdzielni uczniowskich w Polsce”. Opracowania tematyczne OT 614, Kancelaria Senatu 2012 http://www.senat.gov.pl/gfx/senat/pl/senatopracowania/33/plik/ot-614_inter.pdf (dostęp: 29.11.2015).

wymi inicjatywami, zapewnia młodym kooperatystom stały kontakt i opiekę mentorską ze strony dorosłych spółdzielców, stanowi wsparcie dla nauczycieli i przy okazji tworzy rynek zbytu na produkty spółdzielni socjalnej.

„Inicjatywy prowadzone przez szkołę z zasady kojarzą się nam z wymiarem edukacyjnym, a nauka przez doświadczenie jest jej najbardziej skuteczną formą. W ostatnich 25 latach skutecznie zaniechano tych form w większości szkół. Sklepiki szkolne prowadzone były przez prywatnych agentów, a edukację o przedsiębiorczości przeładowano teorią. (...) Spółdzielczość uczniowska może być idealnym sposobem na to, by w młodych ludziach zaszczyć idee solidarności społecznej, współpracy dla dobra swojego otoczenia, społeczeństwa obywatelskiego oraz odpowiedzialności za innych ludzi”² – pisze Agnieszka Ścigaj, prezeska spółdzielni „Opoka”. „Spółdzielnia socjalna OPOKA od trzech lat inicjuje i wspiera powstawanie spółdzielni uczniowskich w powiecie olkuskim. Dzięki jej inicjatywie działa 7 spółdzielni uczniowskich w pięciu liceach oraz dwóch gimnazjach. Uczniowie prowadzą sklepiki szkolne ze zdrową żywnością. Sprzedają kanapki i sałatki, które dostarcza im Spółdzielnia OPOKA”.

W spółdzielniach uczniowskich obowiązują takie same zasady, jak przy pozostałych typach spółdzielczości. Statuty Spółdzielni Uczniowskich wzorowane są na Prawie Spółdzielczym. Funkcjonowanie Spółdzielni Uczniowskich oparte jest na społecznym zaangażowaniu opiekunów spółdzielni – najczęściej nauczycieli, wsparciu rodziców, pomocy ze strony instruktorów spółdzielni uczniowskich i praktyków spółdzielczych. Nie ma obecnie rozwiązań formalno-prawnych dla tego typu spółdzielczości, ale, jak przekonuje cytowana wcześniej ekspertyza Kancelarii Senatu, wprowadzenie osobowości prawnej dla spółdzielni uczniowskiej rodziłoby dodatkowe problemy i stałoby w sprzeczności z obowiązującymi przepisami. „Zastrzeżenia budziły przede wszystkim propozycje przepisów dotyczące wieku założycieli spółdzielni i powiązana z tym kwestia ich zdolności do czynności prawnych, charakteru działalności, jaką miałyby prowadzić spółdzielnie oraz zasad zatrudnienia członków spółdzielni”. Wbrew dość rozpowszechnionemu przekonaniu, sprzedaż produktów żywnościowych czy biurowych przez uczniów nie oznacza, że szkolny sklepik musi mieć kasę fiskalną i prowadzić „normalną” działalność gospodarczą. Takie przekonanie bywa często barierą w uruchomieniu szkolnej spółdzielni. Nauczyciele i rodzice boją się ponoszenia ryzyka, a dzieci tracą okazję do doskonałej praktycznej edukacji.

Założenie młodzieżowej spółdzielni nie wymaga jednak wielkiej filozofii, a jedynie determinacji osób, które postanowią taką działalność zainicjować. Jak przekonuje nas Agnieszka Ścigaj: „Spółdzielnie uczniowskie to prawie 100-letnia tradycja w naszym kraju, a jej historia jest częścią historii polskiej spółdzielczości. Kooperacja w ramach tych młodzieżowych struktur to nie tylko idee, ale przede wszystkim nauka dobrego gospodarowania, przedsiębiorczości, pracy w zespole i budowa postaw aktywnych, zaangażowanych, przedsiębiorczych. Aby taka spółdzielnia powstała, wystarczy inicjatywa uczniów, przygotowany wspólnie statut, który określa, czym się będą zajmować, oraz akceptacja dyrekcji szkoły. Młodzi ludzie powołują spółdzielnie na zebraniu założycielskim, nadają jej nazwę i... zaczynają działać!

2 Agnieszka Ścigaj, „Spółdzielnie uczniowskie mają szansę stać się trendy” <http://www.owes.bcp.org.pl/spoldzielnie-uczniowskie-maja-szanse-stac-sie-trendy-artykul> (dostęp: 29.11.2015)

O spółdzielczości uczniowskiej opowiada Anita Ozga

Wśród osób działających w spółdzielni socjalnej „Opoka” w Kluczach, są takie, które pamiętają z własnego doświadczenia pracę w spółdzielniach uczniowskich, dość powszechnych w czasach PRL i cieszących się popularnością wśród uczniów. Zostało ich obecnie bardzo niewiele, więc pomyśleliśmy, że w ramach projektów społecznych realizowanych przez naszą spółdzielnię można spróbować wskrzesić te zapomnianą, a bardzo pożyteczną formę aktywności i edukacji dla dzieci i młodzieży.

Pieniądz ma służyć celom społecznym

Współtworzone przez nas spółdzielnie nie są typowymi „sklepikami”. Ich cel to przede wszystkim kształtowanie postaw społecznych i praktyczna edukacja. Młodzież prowadząc spółdzielnię zarabia pieniądze, które przeznacza na cele społeczne w swojej klasie, szkole czy społeczności lokalnej. To jedno z naszych kluczowych założeń – nauczyć młodzież, że zarobione pieniądze mogą służyć wspólnocie, rozwiązywać konkretne problemy zbiorowości, a nie tylko pomnażać osobisty majątek. Prowadząc sklepiki ze zdrową żywnością, młodzi spółdzielcy myślą o statutowych celach całej szkoły i czują się za nią współodpowiedzialni.

Żeby powołać swój sklepik, młodzież musiała stworzyć statut, zrozumieć, jak działa samoorganizacja oparta na zapisanych w nim zasadach, zorganizować walne zebranie, wyłonić spośród siebie zarząd, podzielić role, wprowadzić grafiki obsługi sklepu itd. Dokładnie tak samo jak w „dorosłej” spółdzielni. Różnicą jest to, że szkolnej spółdzielni nie zgłasza się do żadnego sądu rejestrowego, nie ma ona osobowości prawnej, jest traktowana jako organizacja powoływana przez dyrekcję szkoły i działająca na podstawie szkolnego statutu³.

Księgowość w szkolnej spółdzielni to najczęściej zeszyt lub inne dokumenty wewnętrzne. Wszystko zależy od potrzeb i ustaleń zebrania walnego spółdzielni. Dopóki zyski ze sprzedaży przeznaczone są na cele społeczne, dopóty nie ma potrzeby wprowadzania dodatkowej formalizacji tego działania. „Nasze” spółdzielnie kupują gotowe produkty – kanapki od „Opoki” lub innych firm cateringowych, soki i owoce często bezpośrednio od producentów. Narzucają swoją marżę i wspólnie decydują o wypracowanych z tej marży zyskach. Bardzo ważną rolę pełni dyrekcja szkoły i odpowiedzialni za działanie spółdzielni opiekunowie-nauczyciele. Sprawują oni kontrolę nad rzetelnością działań spółdzielców i wspierają procesy edukacyjne.

Sklepiki obowiązują też przepisy sanitarne. Większość kupuje gotowe posiłki, ale gdyby szkoła miała swoją kuchnię spełniającą normy i odebraną przez inspektorów Sanepidu, to kanapki mogłyby być przygotowywane na miejscu. Trzeba jednak pamiętać, że te przepisy są bardzo szczegółowe, oznaczają konieczność posiadania odpowiednich urządzeń, jak lo-

3 Utworzenie takich organizacji wymaga przygotowania programu edukacyjnego i na jego podstawie uzyskania zgody dyrekcji szkoły oraz opinii rady rodziców. Sklepik spółdzielczy nie musi mieć kasy fiskalnej, bowiem szkoła podlega zwolnieniu podmiotowemu od podatku (art. 6 ust.1 pkt 3 ustawy o podatku dochodowym od osób prawnych). Dochody sklepiku powinny być przeznaczone na cele statutowe szkoły, nie mogą być dzielone między członków spółdzielni.

dówka, zamrażarka, wyparzarka do jajek, maszyna do pakowania próżniowego itd. Szkoły z reguły nie mają takiego wyposażenia. Z tego powodu łatwiej jest nawiązać kontakt z firmą, która tak jak my prowadzi działalność cateringową. Wtedy cała odpowiedzialność za aspekty sanitarne jest po stronie firmy-dostawcy.

Spółdzielnie uczniowskie, które współpracują z Opoką, dostają też cały „pakiet” edukacyjny. Organizujemy dla nich spotkania dyskusyjne, szkolenia, wsparcie organizacyjne. To jest wygodne dla dyrekcji szkoły, bo rozwiązuje zarówno problem tego, skąd brać zdrowe jedzenie do sprzedaży, jak i odpowiada na pytania „jak działać?”. Czasami barierą jest brak wiedzy organizacyjnej lub prawnej i założenie spółdzielni szkolnej urasta do rangi nierozwiązywalnego problemu. Niestety nie ma wielu informacji w internecie, więc pozostaje albo „rozpoznanie przez bój” albo współpraca z takim partnerem jak my.

Edukacja praktyczna

Co do warstwy ideowej i historycznej, to nie wydaje mi się, żeby młodzież była jakoś specjalnie tym zainteresowana. Przekazujemy im podstawowe informacje podczas spotkań organizacyjnych, w trakcie których tłumaczymy, jak działa spółdzielnia, jakich powinna przestrzegać zasad, opowiadamy i pokazujemy na praktycznych przykładach kanon wartości spółdzielczych.

Spśród tych klasycznych zasad spółdzielczych dwie wydają się najważniejsze dla rozwoju spółdzielczości uczniowskiej. Najważniejsza to bez wątpienia edukacja i podejmowanie działalności oświatowej. Wieloaspektowa, różnorodna i praktyczna edukacja to najważniejszy cel zakładania takich inicjatyw. Młodzież bynajmniej nie uczy się „pracy na kasie”, ale nabywa bardzo ważne kompetencje społeczne i organizacyjne. Współdziałanie, umiejętność prowadzenia dyskusji, rozwiązywania sporów, godzenie różnych punktów widzenia, korzyści z kooperacji czy dostrzeganie małych i dużych problemów społeczności lokalnej i szkolnej, to fundamenty tworzenia mądrego i empatycznego społeczeństwa, które jest silne, bo umie łączyć rozproszony potencjał, a nie gonić za zaspokajaniem indywidualnych egoizmów.

Co może zaskakiwać, młodzież bardzo chętnie i spontanicznie włącza się w takie działania. Nie mieliśmy problemów z „zaganianiem” do pracy czy poczucia, że robimy coś na siłę. Podobne zaangażowanie widzimy, kiedy włączamy ich w działania charytatywne organizacji pozarządowych. Oprócz wspomnianych wcześniej wartości społecznych, młodzi spółdzielcy wnoszą ze wspólnej pracy także wiele korzyści indywidualnych. Rozpoznają swoje słabe i mocne strony, uczą się praktycznych umiejętności, które będą mogli wykorzystać w późniejszym życiu zawodowym, sprawdzają w praktyce, co lubią robić, do czego mają talent, co sprawia im kłopot, a co zwyczajnie nudzi, co przełoży się później na bardziej trafne decyzje co do dalszej edukacji czy kariery zawodowej.

Dla wielu z nich jest to początek swoistej ścieżki samorozwoju. Wolontariat i udział we wspólnym przedsięwzięciu o charakterze ekonomicznym, przedsiębiorczym może być dla wielu pierwszym krokiem do profesjonalnej działalności jako przedsiębiorca lub przedsiębiorca społeczny. Na zajęciach z podstaw przedsiębiorczości uczą się pisać biznesplany, w spółdzielni uczniowskiej uczą się, co to oznacza w praktyce. Trzeba podkreślić, że ta działalność daje nie tylko praktyczną wiedzę, ale przede wszystkim pewien etos, wrażliwość na potrzeby i obecność innych osób. Kształtuje odpowiedzialność i poczucie współzależności od lokalnej społeczności.

ŚLADAMI PIONIERÓW SPÓŁDZIELCZOŚCI UCZNIOWSKIEJ

W okresie międzywojennym siła spółdzielczości brała się między innymi z jej silnej obecności w kulturze popularnej i mediach. „Dorośle” spółdzielnie, podobnie jak dzisiaj „Opoka”, otaczały wsparciem merytorycznym i organizacyjnym młodych adeptów kooperacji. Od 1936 roku wydawano pismo „Młody spółdzielca” (wydawane przez związek „Społem”) współtworzone przez uczniów z całej Polski. Wśród lektur szkolnych pojawiały się historie, które miały edukować, motywować i przekazywać pozytywne wzorce zachowań. Młodzież uczyła się z nich odpowiedzialności za siebie i rówieśników, lokalną społeczność i otoczenie. „Młody spółdzielca” inspirował relacjami z działań w szkolnych kooperatywach i dostarczał praktycznych porad np. poprzez publikację sprawozdań finansowych.

Na kolejnych stronach przedstawiamy fragmenty wydanej w 1925 roku nowelki Jana Wolskiego „Czy to bajka, czy nie bajka”, przedstawiającą historię założenia małej spółdzielni szkolnej i osobistą „ścieżkę kariery” kilkorga dzieci, które z wiejskich rozrabiaków wyrosły na doświadczonych aktywistów działających na niwie międzynarodowej kooperacji. Literatura dziecięcej propagującej idee spółdzielcze było w Polsce międzywojennej więcej – był to choćby „Dzwonnik Roczdelski” Bolesława Piacha⁴ czy „Bankructwo małego Dżeka” Janusza Korczaka. Uczyły, bawiły, wzruszały, dostarczając dziecięcej wyobraźni paliwa do „pracy-zabawy” i cennej wiedzy. Przedstawione dalej fragmenty książki Jana Wolskiego nie były publikowane w Polsce od kilkudziesięciu lat.

O tym, że spółdzielnie uczniowskie nie zawsze miały łatwo, przypomina artykuł o spółdzielniach szkolnych w Zagłębiu Dąbrowskim. Olena Dąbrowska-Haubold, działaczka Sekcji Pracy i Wychowania Spółdzielczego i Gospodarczego przedwojennego Związku Nauczycielstwa Polskiego, na konkretnych liczbach pokazuje wagę edukacyjną i gospodarczą spółdzielni uczniowskich i odpiesza zakusy kupców dopatrujących się w szkolnych kooperatywach uszczerbku dla swoich interesów. Warto porównać argumenty autorki ze współczesną dyskusją dotyczącą sensu i opłacalności prowadzenia szkolnych sklepików, lub zastępowania ich automatami z przekąskami.

{ *Naród, w którym uczucia przyjaźni są rozwinięte,
gdzie zamiast sobkostwa i egoizmu panuje
przyrodzona potrzeba wzajemnej pomocy,
bezinteresownego wspomagania się na wszystkich
polach życia – naród taki znalazł już moc
niezwyciężoną, rozwiązał zagadkę wolności
i dobrobytu. Tak samo i pojedynczy człowiek.*

(Edward Abramowski, 1924)

ARTYKUŁY Z PISMA „MŁODY SPÓŁDZIELCA”

(1937)

Nasze zadania na polu zdrowotności

Numer niniejszy „Młodego Spółdzielcy” poświęcony jest całkowicie sprawie zdrowotności w szkole i zadań spółdzielni uczniowskich na tym polu. Bowiem spółdzielnie uczniowskie nie powinny ograniczać się jedynie do sprzedaży zeszytów i materiałów szkolnych, lecz z powodzeniem mogą spełniać jeszcze inne zadania, zaspokajając różne potrzeby ucznia – członka spółdzielni uczniowskiej, ułatwiając utrzymanie zdrowia i czystości własnej i otoczenia, stwarzając wiele przyjemności i radości.

FRYZJERNIA

Zakup z nadwyżki rocznej maszynki do strzyżenia, nożyczek, lustra, szczotki i ręczników ułatwi utrzymanie krótkich włosów u uczniów. Za strzyżenie można pobierać drobną opłatę, a całą organizacją i prowadzeniem powinna zająć się spółdzielnia uczniowska.

CZYSTOŚĆ OBUWIA I RĄK

Kupno szczotek do obuwia, pasty do obuwia, a następnie mydła i ręczników – to następne zadania do spełnienia. Wypełnienie jego pozwoli utrzymać czystość obuwia i rąk uczniów. Zakupując pastę do obuwia i mydło nie zapomnijmy o paście i mydle „Społem”.

WYPOŻYCZALNIA NART, ŁYŻEW I SANEK

Również z nadwyżki spółdzielnia może kupić kilka par nart, łyżew lub sanki i zorganizować wypożyczalnię ich w czasie zimy. Uczniowie mogliby korzystać z przyjemności zimy i hartować się.

ŚLIZGAWKA

Następnym działem gospodarczym, który mogłaby zorganizować spółdzielnia uczniowska, jest ślizgawka. Zamiast ślizgać się po zamrzniętych kałużach i niszczyć obuwie, lub po stawach i jeziorach na kruchym lodzie z niebezpieczeństwem utonięcia, uczniowie mogliby ślizgać się na bezpiecznym, ogrodzonym lodzie albo też na placu polanym wodą. Z urządzeniem ślizgawki połączyć można świetnie wypożyczalnię łyżew.

„Żyjący sklep” w Lubomli

Jakiż to w szkole panował ruch przed tym Dniem Spółdzielczości⁵, jakie były przygotowania!

5 Dzień Spółdzielczości, propagowany przez Międzynarodowy Związek Spółdzielczy w 1923 roku, był obchodzony w Polsce od 1925 roku. Odbywał się w czerwcu (przyp. red.).

Obecnych zachwycali wiszące na ścianach hasła, przyciągała do siebie świeża gazetka „Ziarnka”.

W sali klasy piątej przed sceną stały krzesła dla pań i panów nauczycieli, – z tyłu stali członkowie spółdzielni uczniowskiej „Razem”.

Podniosła się kurtyna i dźwięki „hymnu spółdzielców” rozległy się po całym budynku szkolnym.

Następnym numerem był referat o spółdzielczości. Uszu publiczności ledwie dochodziły wygłaszane słowa, gdyż przez ten czas za kurtyną „ubierały się towary” z „Żyjącego sklepu”. Za chwilę scena przedstawiała sklep. Prawdziwy sklep ze wszystkimi niezbędnymi przyrządami, tylko że towary były duże i ruszały się. Ładnie było i śmiesznie. Kupujący byli oszołomieni widokiem takich dziwnych, mówiących towarów. Aż żał, że „Żyjący sklep” się zamknął, chociaż daleko było do nocy. Na scenie ukazała się dziewczynka i zadeklamowała wiersz Konopnickiej „Kto dla siebie pracuje”. Występ chóru zamknął program naszego Dnia Spółdzielczości.

O. Fedoruk ucz. kl. VII

Nasze kino

Aby rozszerzyć działalność naszej spółdzielni, postanowiliśmy na jednym zebraniu otworzyć kino. Zakupiliśmy okazjnie za 90 złotych aparat kinowy „Pathe Baby” na wąskie filmy 10-cio i 20-metrowe. Poza tym aparat ten posiada dodatkowe urządzenie na 100 metrowe filmy – Super Baby. W szkole mamy w jednej klasie zasłony w oknach, ekran, w tej klasie więc zainstalowaliśmy nasze kino. Wyświetlamy filmy tylko w zimie. Przedstawienia urządzamy co dwa tygodnie, przy czym ten sam film puszczamy przez dwa dni. Na pokrycie kosztów pobieramy wstępne 5 groszy. Kinem administruje zarząd kina spółdzielni uczniowskiej, który składa się z trzech członków, a mianowicie: gospodarza kina, kasjera i operatora filmowego.

Filmy wypożyczaliśmy w jednej firmie w Katowicach, jednak obecnie będziemy musieli sprowadzać je z Warszawy, ponieważ filmy otrzymywane na miejscu nie zawsze nam odpowiadają, są bardzo często zniszczone i mają niemieckie napisy, które musimy zasłaniać. Na każdy seans wypożyczamy jeden film stumetrowy lub kilka filmów krótszych. Za wypożyczenie 100 metrów filmu płacimy 5 złotych. Seans trwa przeciętnie jedną godzinę, zależnie od ilości napisów i rodzaju filmu, gdyż aparat jest tak skonstruowany, że napisy i niektóre obrazy zatrzymują się na pewien czas.

Na wsi, tam gdzie nie ma kina, filmy mogłyby oddawać spółdzielni uczniowskiej wielkie usługi przy pracy kulturalno-oświatowej.

Aparat „Pathe Baby” może być bez trudu używany na wsi, gdyż żarówka 12-woltowa, jakiej on wymaga, może być świecona z akumulatorów.

Krystyna Danielowska,

członek zarządu Spółdzielni Uczn. Szkoły Powsz. nr. 18 w Katowicach

Nasza fryzjerna i ślizgawka

W miarę jak młodzież nasza zaczynała dorastać, a brody i wąsy wyrastać, pomyślano o fryzjerni. Dobrze, założymy, ale jak i gdzie? Nie trudno snuć śmiałe pomysły – trudniej je zrealizować.

Lecz spółdzielca to tęga głowa, nic nie stanie mu na przeszkodzie.

Znalazło się już dwóch kolegów – fryzjerów z domową praktyką. Najgorsza sprawa to lokal i sprzęt. Fryzzeria przecież nie może być wędrowną.

Tu przyszedł nam z pomocą opiekun. Zaczęliśmy wędrować po całym gmachu szkoły szukając jakiegoś kącika, aż wreszcie w suterynach obok jadalni spółdzielczej znaleźliśmy dość długi korytarz. Trzeba go tylko skrócić.

Kupiliśmy dość grubej dykty, zrobiliśmy z niej przepierzenie, no... i lokal gotowy.

Teraz postaraliśmy się o sprzęt. Zakupiliśmy duże lustro, kilka brzytw, maszynkę do strzyżenia włosów, nożyczki, rozpylacze, a ze sklepiu mydło do golenia i perfumy.

Następnie postawiliśmy starą, połatana przez nas ławkę (to będzie poczekalnia), zakupiliśmy umywalkę, kilka fartuchów, lampę, podpórkę do krzesła fryzjerskiego (krzesło – to dawny fotel dyrektora), – zrobiliśmy napis „Fryzjer”, ustaliliśmy ceny i jazda do roboty.

Z początku nie mieliśmy zaufania do naszych mistrzów. Co chwilę wychodził ktoś porźnięty i z gołą głową. Ale to długo nie trwało. Mistrzowie nasi coraz lepiej się wprawiali naszym kosztem, a teraz to już dorównują i zawodowcom.

A ceny kryzysowe: strzyżenie „na kolano” 20 groszy, nożyczkami 30 groszy, z „pryskaniem” 40 groszy – golenie 20 groszy. Dla niespółdzielców o 30% drożej.

Wejđmy obecnie do fryzjerni: w powietrzu unosi się zapach wody kwiatowej, pod ścianą na ławie siedzi zaczytana kolejka. Chcą pójść dziś na zabawę,

– Biedny fryzjer – pomyślałem, – kiedy dostanie się do domu?

On jednak nie martwi się tym; on pracuje dla gromady, poświęca się bezinteresownie.

O nadużyciach nie ma mowy. Každy, kto skorzysta z fryzjerni, wpisuje się do zeszytu, a do skarbonki wrzuca swoją należność. Choć nikt klientów nie kontroluje czy płacą, czy nie, zawartość puszek zawsze zgadza się z pozycjami w zeszycie. Pięknę to, nieprawda?

Ale nie tylko na fryzjerni się kończy.

Idziemy dalej. Pragniemy coraz większych wygód.

Zrobimy ślizgawkę. Po co mamy aż za miasto chodźć z łyżwami, kiedy możemy sobie tu, w gimnazjum na drugim podwórku zrobić lodowisko? Pomysł padł i przystąpiono do pracy.

Zniwelowaliśmy boisko, zrobiliśmy wał. A gdy nastały mrozy, prowadziliśmy dalej rozpoczęte dzieło.

Przy pomocy miejscowej straży pożarnej zalaliśmy wodą boisko i czekaliśmy na lód. Na ścianie sali gimnastycznej powiesiliśmy głośnik, zrobiliśmy kilka ław i krzeseł ochronnych dla tych, co pierwsze będą stawiali kroki, urządziliśmy kasę, tzn. podzieliliśmy się dyżurami.

Nie pomyliliśmy się: woda zamieniła się w lśniąca taflę. Ach, co za radość!– W czasie przerw, zamiast siedzieć na korytarzach, jazda z łyżwami na lód. A gdy wracaliśmy znów do klasy, twarze nasze tryskały zdrowiem, bez troskim uśmiechem. Z większym zapałem brałismy się do nauki. A po południu? – Przy dźwiękach spółdzielczego patefonu i radia, czego ta nasza młodzież nie dokaże na gładkiej tafli? Mniej zaawansowani jeżdżą na rękach, na nosie, a w lepszym razie na nogach. Za to inni to prawdziwi akrobaci. Umieją zrobić łuk, nie tylko zwyczajny, ale i skomplikowany, biegać w koło, wykonać obrót i tyłem jeździć. A różne trojaki i wiele innych sztuczek.

Ile to radości za minimalną opłatę 10 groszy – tylko trzeba umieć myśleć, trzeba być spółdzielcą z krwi i kości.

CZY TO BAJKA, CZY NIE BAJKA

(FRAGMENTY⁶)

ZACZYNAMY

Ależ narodu!

Rzeczywiście cała klasa była wypełniona po brzegi dziatwą ze wszystkich oddziałów. Ścisk jak w kościele podczas odpustu.

Bo głupi by nie przyszedł na taką zabawę!

– Więc zaczynamy – powiada nauczyciel – Na początku musimy wiedzieć, kto do zabawy będzie należał.

– Wszyscy! Wszyscy!

– Wszyscy – to jeszcze nic nie wyjaśnia. Musimy wiedzieć dokładnie, kto się bawi. W zabawie powinien być porządek. Bo inaczej nic nie wyjdzie.

Oto cztery arkusze papieru. Tyle – ile rzędów ławek. Na każdy rząd – jeden arkusz. Każde z was, kto chce bawić się w spółdzielnię, niech po kolei zapisze swoje imię, nazwisko i oddział.

Dla tych z was, które nie znalazły już miejsca w ławkach i stoją w przejściach i przy ścianie, mam dwa arkusze na stole – z prawej i z lewej strony. Podchodźcie kolejno do stołu i zapisujcie się na tych arkuszach. A żwawo to robić! Bo szkoda czasu. I czysto pisać! Bez kleksów.

– Sto trzydzieści siedem osób! – Tyle, ile dzieci w szkole – ogłosił nauczyciel po obliczeniu zapisów na arkuszach. – Bardzo się cieszę.

No a teraz musicie uradzić: od czego zaczynacie zabawę. Mówcie!

Piłka!.. Maszyna!... Łódka!... Ogródek!..- Łalka!.. Warsztat stolarski!.. Piłka.. Łalka!..

6 Książka Jana Wolskiego ukazała się pierwotnie w 1925 roku nakładem Wydawnictwa Związku Spółdzielni Spożyców Rzeczypospolitej Polskiej (przyp. red.).

- Cicho! Cicho!!!.. Co za wrzask. Tak krzycząc, nie dojdziemy do ładu. Cicho!!!
Dziatwa się uciszyła.
- Że tyle was chce mówić – to dobrze. Ale, że mówicie wszystkie razem – to źle. Bo każdy krzyczy jak najgłośniej, żeby przekrzyczeć innych. I z tego wrzasku robi się piekło...
- A trzeba dojść do ładu... Ale jak?
- Otóż wybierzcie z pośród was jednego, kto będzie was dopuszczał po kolei do głosu. Wtedy każdy, chcący coś powiedzieć, podniesie tylko milcząc rękę do góry – i będzie zapisany do głosu. A gdy przyjdzie jego kolej, zostanie wywołany, żeby mówił.
- Ale wtedy inni muszą już milczeć i słuchać. Zgadzaście się na taki porządek?
- Zgadzaamy się! Dobrze!
- Do udzielania głosu radzę wam wybrać Antka Dymka. Ten potrafi. Chcecie Antka? A może wolicie kogo innego? Mówcie śmiało! Wybierzecie, kogo zechcecie.
- Niech będzie Antek! Dobrze! Antka chcemy!
- (A czy wiecie, moi młodzi Czytelnicy, kto to jest Antek? – Jest to ten sam łobuz, co udawał na dachu kominiarza. Taki sam urwis i teraz. Tylko trochę podrośł, zmężniał i jeszcze więcej dokazuje).
- No, Antku, wybrano cię na przewodniczącego. Siadaj, bracie, tu przy stole. Masz papier i ołówek. Uważnie patrz po klasie i kolejno zapisuj tych, co będą podnosić ręce. A ja ci będę na początku pomagał... Więc zapytaj wszystkich: kto chce zapisać się do głosu?
- Antek – najgorszy łobuz i w szkole aż czerwony z wielkiego ukontentowania, spojrzawszy bystrym okiem po natłoczonej w klasie dziatwie i wrzasnął, co miał tchu w piersi:
- Hej! kto się chce zapisać do głosu – ręce w górę!
- Zaledwie kilka rąk się podniosło, choć przedtem krzyczeli wszyscy. Bo wrzeszczeć potrafi każdy, a mówić po kolei – tylko ten, kto ma coś do powiedzenia.

OD CZEGO ZACZAĆ?

- Każde z przemawiających dzieci chciało zacząć od czego innego. Nauczyciel słuchał uważnie. Uśmiechnie się czasem. Niekiedy coś sobie zapisze w notesiku. Wreszcie, gdy się dziatwa wygadała, zapisał się też do głosu.
- Każde z was – powiada, – chce czego innego... Cóż więc mamy robić? Czy z zabawy naszej nic nie wyjdzie? Może lepiej nie zaczynać?
- Wcale nie!!!
- Dam wam radę: rozważcie po kolei, co z tych wszystkich przyjemnych rzeczy potrafić już dziś zacząć, a czego nie potraficie. A wtedy dogadacie się ze sobą. Zgoda?
- Zgoda!!!
- Pozwolicie, że pierwszy powiem?
- Prosimy! Niech pan mówi!
- Więc zaczynam. – Pomyślcie:
- Czy możecie dziś kupić sobie piłkę i lalkę? Pamiętajcie, że to drogo kosztuje. A wy pieniędzy swoich nie macie. – Więc za co kupicie? Na razie nic z tego nie będzie!
- Maszyna do szycia? Warsztat stolarski? Łódka? – Kosztują jeszcze drożej od lalki i piłki. Znacznie drożej!.. Nie kupicie sobie tego na razie.
- Ogródek? – Ale nadchodzi zima, O ogródku później pomyślimy.

Łyżwy? Saneczki? – O! te – prędko by się wam przydały. I jeszcze jak! Ale znów: nie ma pieniędzy. A bez pieniędzy – nie dostaniecie. I z tego nic na razie.

Dzieci pospuszczały główki i nosy.

– Nic z tego i nic z tego... Więc po co pan nauczyciel zawracał nam głowy?... Tyle było nadziei i niepotrzebnej radości...

Niejednemu „oślaczkowi” z pierwszego oddziału aż łzy w oczach się iskrzą z tego żalu.

No, dziatwa! Główki w górę! Oczy i nosy powycierać, kto ma mokre! Bo nie ma czego płakać: wszystko to robić i mieć będziecie.

Tylko – nie od razu. I przysłowie stare mówi: nie od razu Kraków zbudowano...

Na początek radzę wam zacząć od sklepiku.

Zobaczycie, jak to jest przyjemnie bawić się w sklepik spółdzielczy. Co tam pracy! Każde z was będzie mogło coś robić! A kupować tam na pewno wszystkie będziecie. U siebie, we własnym sklepiku!

– Ale na sklepik my też nie mamy pieniędzy! – z rozpaczą wykrzyknęła mała dziewczynka z pierwszego oddziału, patrząc na pana nauczyciela załzawionymi oczkami.

– Na sklepik pieniądze dostaniecie. To jest zabawa nie na żarty. Więc rodzice wasi obiecali mi, że wam dopomogą.

Dzieci radośnie popodnosiły główki.

DLACZEGO WSZYSTKO JEST TAKIE DROGIE?

Jesteście małymi jeszcze pędrakami – ciągnął dalej nauczyciel – a pomyślcie, jak drogo już kosztujecie waszych rodziców.

Ile każde z was zedrze ubrania i obuwia, i bielizny! A ile zje! – A wszystko to z nieba nie spada.

Ala na tym nie koniec. – Uczycie się w szkole. Więc: książki, zeszyty, stalki, atrament, gumki, bibułki... Wszystkiego nie wyliczę. A za wszystko trzeba płacić.

I drogo trzeba płacić! Bardzo drogo!

A wiecie – dlaczego drogo? – Nie?

Więc słuchajcie:

Każda rzecz dla was kupiona – czy to papier, czy atrament, czy gumka, czy co innego – nie od razu po jej zrobieniu trafia do was. Oj, musi ona długo wędrować, zanim wy ją kupicie! A w wędrowce swej staje się wciąż droższa i droższa.

OD SKLEPU ZACZNIEMY, DO WSZYSTKIEGO DOJDZIEMY

– A teraz pomyślcie, – mówił nauczyciel. – Do naszego sklepiku będziemy wszystko kupowali taniej, niż sprzedaje kupiec w naszej wiosce. Niektóre rzeczy może nawet o połowę taniej.

A jeśli będziemy sprzedawać sobie wszystko trochę drożej, jak kupimy? Niewiele – ale drożej?

– Wtedy sklepik nasz będzie miał dochody! – zawołał Bolek.

– Słusznie. Od każdej sprzedanej gumki, od każdego ołówka, od każdego zeszytu – dochód. Niewielki dochód.

A jest was aż 137 osób. Ze mną 138. Huk narodu! Niech każdy po trochu kupi – to już dużo wypadnie.

– I sklep będzie miał wielkie dochody! – zrozumiały dzieci.

– Tak jest. Dochody mogą być naprawdę wielkie. Ale co my z nimi robić będziemy? Mówcie?

– Wszystko, co wspólnie uradzimy! Bo to będzie nasz wspólny dochód – powiedziała Marysia.

– Dobrze mówisz. – A wtedy będziecie już mieli za co kupić i piłkę nożną, i lalkę, i maszynę, i łódkę, i warsztat stolarski, i urządzić choinkę, i robić wiele przyjemnych rzeczy!

– Wszystko! Wszystko sobie sprawimy! Ach, jaka to jest śliczna zabawa! – wołała, klaszcząc w dłonie, zachwycona dziatwa.

Nauczyciel spojrzął na zegarek.

– Już późno. Dwie godziny się bawimy. Na dziś dosyć. Antku, powiedz no dzieciom, że zamykasz zebranie, i że mogą się rozejść. Ale jutro niech się znów zejdą o tej samej porze. Będziemy dalej się bawić,

– Cicho! Słuchajcie! Zebranie zamykam! Możecie iść precz! A jutro znów przychodzimy się bawić o tej samej porze! – wrzasnął przewodniczący.

– Nie trzeba tak krzyczeć, Antku! Gdybyś ciszej powiedział, też by cię słyszano.

Dziatwa rozbiegła się po chałupach, opowiadając cudy o zabawie.

Rodzice słuchali zadowoleni, uśmiechając się życzliwie. Bo nauczyciel już wprzód o wszystkim z nimi pomówił.

I nazajutrz każde z dzieci, idąc na zabawę, przyniosło do szkoły po złotemu, którego dostało od ojca lub matki na wspólny sklepik szkolny.

JAK SIĘ BAWIĆ, TO SIĘ BAWIĆ!

Tak zaczęła się zabawa.

Zapał ogarnął i chłopców i dziewczątka. Niech tylko które ma wolną godzinę – zaraz zabawa w spółdzielnię.

Zapomniano o psotach i psikusach. Zarzucono w kął lalki. Chłopcy przestali bawić się w furmanów, żołnierzy i konduktorów.

– Phi! To nie dla nas! – mówiła dziatwa szkolna, – Niech w żołnierzy i furmanów bawią się małe baki, co jeszcze do szkoły nie chodzą! Ale my? – Po co nam zabawa na niby, kiedy mamy zabawę prawdziwą, nie na żarty! My bawimy się tylko w spółdzielnię!

Jak się bawić, to się bawić!

POSZŁO, ŻE AŻ MIŁO!

Gdzie jest tyle chętnych i taki zapał, tam zabawa w spółdzielnię musi się udać.

To też wszystko poszło, że aż miło!

Już na Boże Narodzenie spółdzielnia urządziła choinkę w szkole.

Sołtys przywiózł z lasu śliczne duże zielone drzewko. Wysokie aż pod sufit.

A jak dziatwa ubrała swoją choinkę! Ile było świecidełek! zabawek! łakoci! Wszystko sprowadzone albo aż z samej Warszawy, albo zrobione przez same dzieci. A świece! a zimne

ognie, które wcale nie parzą, a rozrzucają takie śliczne iskierki, jak gwiazdki! – Ładniej to chyba i w niebie nie jest.

Ale nie dość na tym. – Dzieci urządziły jeszcze „Jasełka”. Było na co patrzeć! – I Dzieciątko w żłobku, i Matka Boska, i święty Józef, i Król Herod taki okrutny, brodaty, straszny! I diabeł – czarny, rogaty, z ogonem – wciąż wywijał widłami, straszył Heroda i małe dzieci. I pastuszkowie, i różni ludzie, i kupiec i różne różności! Wszystkim „Jasełka” okropnie się podobały.

A pan nauczyciel udawał świętego Mikołaja. Miał siwą długą brodę. Chodził wciąż z dużym koszem, wyjmował stamtąd przysmaki i rozdawał wszystkim. I dzieciom i dorosłym. Temu da cukierka, temu jabłko, temu piernik, a temu figę. Nie tę prawdziwą figę, co pokazują sobie złe dzieci – ale taką słodką, do jedzenia.

Co to było uciechy dla wszystkich!

Zbliża się wiosna.

Dzieci sprowadziły nasiona aż z Warszawy. Kopia w ogródku, znoszą nawóz – że i prawdziwy ogrodnik lepiej nie pracuje.

Ależ i udały się kwiaty!

Takich ślicznych, jak wioska wioska, jeszcze tu nigdy nikt nie widział.

Przyjeżdżał raz z miasta doktor do chorego. Gdy ujrzał ogródek przed szkołą, tak mu się spodobały piękne kwiaty, że kazał zatrzymać konie i wysiadł z bryczki, aby się przyjrzeć z bliska.

Oglądał, wachał, podziwiał, kręcił głową. Wreszcie wyjął z kieszeni notes i zapisał, skąd sprowadzono nasiona,

A dzieci ogromnie się cieszyły, że sam doktor z miasta, który tyle pięknych rzeczy musiał widzieć w swoim życiu, upodobał ich ogródek. – To też pościnały najpiękniejsze kwiaty i zrobiły z nich duży bukiet odjeżdżającemu gościowi.

A jakie były truskawki! I duże i słodkie. – Jak miód!

Każdy, kto tylko przechodził koło szkolnego ogródka, zawsze przystanął na chwilkę, ażeby popatrzeć na piękne kwiaty i na krzątające się jak mrówki dzieci.

A na przyszłą już wiosnę cała wieś za ich przykładem posadziła pod oknami swoich chałup takie same śliczne kwiaty.

Już po roku istnienia kupiła spółdzielnia na jesieni kilka par łyżew i kilka saneczek do zjeżdżania z górki, a dla dziewczątek sprowadziła dużą wspólną lalkę.

Po trochu, po trochu – a dzieci w swej spółdzielni robiły i miały wszystko, o czym na początku mówił im nauczyciel.

I nie tylko to, ale wiele innych jeszcze bardzo przyjemnych rzeczy!

GOŚĆ AŻ Z WARSZAWY

Pewnego razu, po paru już latach, przyjechał do wsi i stanął w szkole u nauczyciela jakiś pan aż z Warszawy.

I kto by myślał? – przyjechał tylko po to, ażeby na własne oczy zobaczyć, jak się tu dzieci bawią w spółdzielnię.

Trzy dni bawił. Wszystkiemu się przyjrzał, o wszystkoypytywał i wciąż zapisywał do grubego zeszytu.

A miał ze sobą aparat do fotografowania. Więc zrobił kilka zdjęć, Nawet lalkę sfotografował.

Na czwarty dzień odjechał.

Upłynął może miesiąc, a może nawet i mniej od wyjazdu tego pana, aż raz na lekcji nauczyciel rozdał każdemu z dzieci po numerze gazetki „Spółnota”⁷.

– Spójrzcie no, smyki, – co też tam za obrazki!

Zaszeleściły przewracane kartki.

KOŻUSZEK

Dwa dni Heniek, uczeń 6-go oddziału, nie przychodzi do szkoły.

Co z nim jest? – myślą i niepokoją się nauczyciel i dzieci.

Aż przyszła matka Heńka.

Placze. Opowiada, że chłopiec, nie mając ciepłej kapotki, zaziębił się i leży chory w gorączce. Zmizerniał i osłabł bardzo. Leczy go doktor z kasy chorych.

Doktor mówi, że Heniek ma zapalenie płuc, i że jest to choroba groźna dla życia.

Cała szkoła żałowała Heńka. – Lubili go i znali wszyscy.

Lubiany był za dobry charakter, łagodność i uczynność. Nosa nie zadzierał, choć się dobrze uczył. Nie udawał świętoszka i był jedyny do zabawy. Nie był lizusem. Silny i rozrośnięty ponad lata – nikogo Heniek nie krzywdził; przeciwnie – bronił młodszych i słabszych, gdy widział, że tamtych krzywdzono. Zwłaszcza lubiły go małe „oślaczki” z pierwszego oddziału, które w razie niebezpieczeństwa ze strony starszych chłopców zawsze miały w nim obrońcę.

A znali Heńka wszyscy. Bo pracował on w spółdzielni uczniowskiej od jej założenia. Był w niej i pomocnikiem sklepowego, i sklepowym, i skarbnikiem, i sekretarzem, i gospodarzem; wreszcie ostatnio wybrano go do rady nadzorczej. Jak takiego nie znać!

Co dzień – rano przed lekcjami i po lekcjach przed obiadem – wpadały dzieciaki do matki Heńka, dowiedzieć się, jak się on czuje.

Po tygodniu nastąpiło przesilenie w chorobie. Heniek zaczął wracać do zdrowia.

Doktor pozwolił wpuszczać dzieci do chorego.

Odwiedzały go ciągle. Opowiadały o nowinach w szkole. Przynosiły ciekawe książeczki do czytania, laurki, zagraniczne znaczki pocztowe. A nawet czasem pomarańcze, cukierki, czekoladki, orzechy, ciastka i inne smakołyki, które mogły kupić za swoje groszaki.

7 „Spółnota” – ilustrowany, popularny tygodnik dla członków spółdzielni spóżywców, wydawany przez Związek „Społem” od 1921 roku (przyp. red.).

Heniek szybko wracał do zdrowia. Wstał już z łóżka. Chodził po pokoju. Zaczął się nawet uczyć. Ale w domu.

Bo doktor surowo zabronił wychodzić z mieszkania.

– Nie masz ciepłego paltocika, więc możesz znów łatwo się zaziębić. A po twojej chorobie jest to bardzo niebezpieczne. Wtedy nie uratujemy już ci życia. Więc pilnuj się, chłopcze, i ani mi się rusz z mieszkania, aż nadejdzie cieplejsza pora.

Takie siedzenie Heńka w domu bardzo martwiło jego matkę.

Do końca zimy nie będzie chodził do szkoły. Kawał czasu! Dużo na tym straci. Uczy się sam w domu – to prawda. Ale zawsze inna jest nauka w szkole pod kierunkiem nauczyciela.

Cóż jednak poradzić, gdy nie ma pieniędzy na kupienie ciepłego paltocika.

Bo, trzeba wiedzieć, matka Heńka była wdową i choć przez cały dzień pracowała – zarabiała bardzo niewiele. Koniec z końcem ledwie się wiązało. Nie zawsze były pieniądze na obiad, na węgiel do pieca. Więc gdzie tu mowa o paltociku!

Taki już los ubogich ludzi.

Heniek martwił się również.

Bo i cóż za przyjemność siedzieć wciąż w czterech ścianach ciasnego mieszkania? – Żadnej! – Na świat boży nie wygląda. Słonka nie widzi. Nie używa ruchu.

A przy tym Heniek tęsknił za szkołą.

I nie tyle może za samą nauką, ile za wesołym życiem dziatwy szkolnej i za spółdzielnią. O spółdzielni często myślał i wciąż rozpytywał odwiedzających go kolegów.

Ale i Heniek rozumiał, że siedzieć w domu musi. Bo ciepły paltocik z nieba mu nie spadnie.

A jednak...

Pewnego dnia przed wieczorem zapukał ktoś do mieszkania.

Matka otworzyła: wszedł chłopiec nieznajomy z dużą paczką. Wymienił imię i nazwisko Heńka, doręczył dla niego paczkę, poprosił o pokwitowanie na podanej przez się kartce i poszedł.

Matka nic nie rozumiała.

– Co za paczka dla Heńka? Skąd? Od kogo?... Ale dla Heńka! Na pewno dla niego, bo chłopiec wyraźnie wymienił jego nazwisko i imię.

Drżącymi ze wzruszenia rękami zaczęła rozwijać paczkę, z której wyłonił się piękny barankowy kożuszek!

Śliczny kożuszek! A jak ładnie wyszyty po zakopiańsku! I co za gęsta wełna!

Ale od kogo? – Nie wiadomo... W paczce prócz kożuszka nic nie było.

Wpadła z kożuszkiem do syna.

– Heńku! Heńku! Spójrz, jaki masz prezent! Ktoś ci przysłał kożuszek! Ale co za kożuszek! Włóż go, synku, na siebie! Włóż zaraz! Zobaczmy, jak ci w nim będzie ciepło i ładnie.

Heniek uszczęśliwiony już jest w swoim kożusku.

Buzia promienieje z radości. Okręca się w różne strony.

A matka ze łzami szczęścia w oczach ogląda swojego tak ciepło i pięknie ustrojonego synka.

– Wspaniały!.. I dobrze, iż trochę za obszerny. Bo ty, Heńku, szybko rośniesz. A kożuszek taki powinien ci posłużyć przez lat kilka.

Jutro idę do szkoły!

– Pójdiesz! Pójdiesz, Heńku! Teraz możesz iść śmiało, bo masz w co się ciepło ubrać.

Co tu było radości!

Tylko ubodzy ludzie umieją tak się cieszyć.

Ale któż przysłał kożuszek?

Kto miał tyle współczucia dla małego Heńka, że nie pożądał wielkich pieniędzy na tak kosztowny podarunek? Bo za taki kożuszek na pewno dużo pieniędzy dano!..

Ktoś bogaty musiał to zrobić! Ale kto? Komu dziękować?

Przez cały wieczór na próżno próbowali odgadnąć Heniek i jego mamusia... i nie odgadli.

Razem z nimi tegoż wieczora cieszyła się cała dziatwa ze szkoły. Bo od niej był kożuszek.

A stało się to tak.

Wszyscy w szkole wiedzieli, że Heniek nie przychodzi tylko dlatego, iż nie ma ciepłego paltka. Żalowali go szczerze i współczuli.

Ale od tego lepiej mu nie było. – Współczucia i żalów mało. Trzeba pomocy.

To też dziatwa łamała sobie główki nad tym, jak Heńkowi pomóc... I znalazła sposób.

Zwołano nadzwyczajne ogólne zebranie członków spółdzielni.

Tam jeden z chłopców wystąpił z piękną przemową. Mówił o tym, co Heniek zrobił dobrego dla wszystkich, pracując w spółdzielni. I jaki dziś jest nieszczęśliwy, nie mając ciepłego okrycia.

– Heniek dla nas wszystkich tyle pracował.

Czyż my wszyscy dla niego nic zrobić nie zechcemy? A jeśli zechcemy – to potrafimy. Bo nas wielka jest gromada!

I postanowiono zebrać wśród siebie składkę na paltocik dla Heńka, Każde dziecko przynosiło – ile mogło. Jedno dało pięć groszy, inne dziesięć i dwadzieścia. A były i takie, co złożyły po pięćdziesiąt groszy, a nawet i po złotemu!

Trzeba zaś wiedzieć, że dziatwa postanowiła trzymać język za zębami i rodziców o pieniądze na ten cel nie prosić. I nikomu – nikomu o tym nie mówić. Niech każdy daje z tego, co ma na swoje osobiste wydatki.

I niech Heniek nigdy się nie dowie, od kogo dostał paltocik.

Po kilku dniach uzbierała się moc pieniędzy! Ani przypuszczano, że tyle się zbierze.

To też komisja, złożona z dwóch dziewczynek, dwóch chłopców i nauczyciela, jako przewodniczącego, mogła wybrać i kupić najdroższy i najładniejszy kożuszek, z tych, co im w sklepie pokazano.

– Teraz Heniek będzie najcieplej i najładniej z nas wszystkich ubrany! – cieszyły się dzieciaki.

– I tak być powinno! – mówił również uradowany nauczyciel. – Bo kożuszek Heńkowi kupiła spółdzielnia.

NAUCZYŁA MAMUSIĘ!

– Uczyło ciebie pastucha! – śmieje się staropolskie przysłowie z żółtodziobych mądrali, którzy, sami mało umiając, chcą nieraz pouczać ludzi starszych i doświadczonych.

Nie znaczy to jednak, że nigdy nie bywa, ażeby starsi ludzie uczyli się rzeczy mądrych i pożytecznych od młodzieży, a nawet i od dziatwy. Przeciwnie, zdarza się to często. Bo młodzież nasza i dziatwa uczy się w szkołach, z książek i w swoich spółdzielniach wielu takich rzeczy, o których rodzice ich nie wiedzą.

Posłuchajcie o takim wypadku.

Halinka, jedynaczka w rodzinie pracownika biurowego, ma już trzynasty rok życia i chodzi do piątego oddziału szkoły powszechnej.

Jest to ta sama Halinka, która, gdy była jeszcze mała, przerobiła swoją nową sukienkę na ubranie dla lalek.

Teraz Halinka tego by już nie zrobiła!

Uczy się ona dobrze i bardzo gorliwie pracuje w uczniowskiej spółdzielni. Została właśnie skarbniczką i starannie prowadzi księgę kasową.

Zbliża się koniec miesiąca.

Pieniądze, które pierwszego dostała od ojca matka na domowe wydatki, już się prawie wyczerpały. Zostało tak niewiele, że do nowego pierwszego nie starczy.

Matka bieduje i płacze. Ojciec chwyta się za głowę i narzeka. A Halinka odrabia swoje lekcje i wszystko słyszy,

– Znów będę musiał wziąć w biurze zaliczkę. I znów w przyszłym miesiącu nie wystarczy pensji. Kiedyż to wreszcie nastąpi, że będziemy przeżywać tyle, ile zarabiamy!

– Sama nie wiem, na co idą pieniądze. Żyjemy skromniuteńko, prawie ubogo. Żadnych poważniejszych wydatków nie robimy. Donoszą ubranie z lepszych czasów. Dla Halinki przerabiam moje stare sukienki. Na żadne kosztowniejsze przyjemności nie pozwalamy sobie. Nawet służącej nie trzymam przez oszczędność.

– Mam tylu kolegów z liczniejszymi od naszej rodzinami i zarabiających mniej ode mnie. A jednak żyją dostatniej od nas. Choć utrzymują się też tylko z pensji.

Ojciec o tym długo nic nie wiedział.

Ale w nowym miesiącu matka przy pomocy Halinki wydatkowała tak umiejętnie, że pensji wystarczyło aż do końca.

– Co za cud! – cieszył się ojciec. Dawno już tego u nas nie było.

– Żaden cud. Tylko ja teraz prowadzę rachunkowość.

– Rachunkowość? – A któż cię tego nauczył?

– Nasza Halinka! – Ona mi wytłumaczyła, dlaczego nie wiem, jak i na co rozchodzą się pieniądze. A potem zaproponowała, że nauczysz mnie rachunkowości. I nauczyła.

– Halinko? A ty skąd to umiesz?

– Wszak pracuję w spółdzielni! – odrzekła rozpromieniona dziewczynka.

W PONUREJ KAMIENICY

Różne mogą być domy. Ale dom, w którym mieszka Stasiek, jest chyba najobrzydliwszy w całym wielkim mieście.

Z daleka już widać tę czerwoną ponurą kamienicę.

Olbrzymia – bo aż czteropiętrowa. Dwa ciemne i ciasne, jak głębokie studnie, podwórka. Zawsze w nich jest zimno; nawet w czasie upałów letnich.

W powietrzu pełno kurzu, cuchnących wyziewów. Pod nogami wstrętne, nigdy nie wysychające kałuże i śmiecie.

Wąskie, ciemne i strome schody aż poczerniały od brudu.

I mnóstwo małych mieszkanek. Bez słońca. Wilgotne. Zaludnione przez nędzę robotniczą. Jedna izba, dwie izby – to i całe mieszkanie,

A w nim gnieździ się nierzadko po sześć, osiem, dziesięć i więcej osób. Ciasno, nieład, tłok, krzyki, przekleństwa, płacz dzieci, zanieczyszczone wyziewami powietrze.

Istne piekło na ziemi.

Staś urodził się w tej kamienicy, wychodował się w tym piekle, bawił się w błocie i smrodzie tego podwórka i stąd chodził do szkoły.

Szkoła! – Inny to świat. Inni ludzie. Wszystko inaczej.

Stasiek całą duszą przylgnął do tego lepszego świata.

Wracał do domu i opowiadał ojcu z matką oraz młodszemu rodzeństwu o wszystkim, czego się w szkole dowiedział i co się w szkole działo. Opowiadał z zachwytem. Bo i czyż mógł opowiadać inaczej? – Wszak w szkole wszystko było jasne, słoneczne, czyste, piękne, mądre, grzeczne i sprawiedliwe.

Ojciec z matką, ludzie prości i nieuczeni, cieszyli się, słuchając opowiadań chłopca.

– Ucz się pilnie, Staśku! Wszystko staraj się poznać, wszystko zrozumieć, ażebyś umiał potem urządzić twe życie lepiej, szczęśliwiej i sprawiedliwiej od naszego.

Gdy w szkole zaczęto organizować spółdzielnię, Stasiek był wśród najgorliwszych.

Bo też pan nauczyciel tyle cudów opowiadał o spółdzielniach, które zmieniają cały świat na lepszy i sprawiedliwszy.

Stasiek widział na przezroczach, wyświetlanych w szkole, jakie wspaniałe i piękne gmachy wybudowały spółdzielnie dla swoich członków, jakie mają olbrzymie fabryki, gdzie robotnicy pracują u siebie, jakie śliczne miasta-ogrody, że i w bajce czegoś piękniejszego nie można wymyślić. I to wszystko jest naprawdę.

A doszli do tego ubodzy ludzie sami, bez cudzej pomocy, i tylko przez jedność i pomoc wzajemną.

Cóż się dziwić, że nasz Stasiek, tęskniący za lepszym jutrem w swej ponurej kamienicy, stał się zapalonym spółdzielcą.

I nie tylko sam w swojej spółdzielni pracował, ale jeszcze przekonał ojca, ażeby się ten zapisał do spółdzielni spożywców, która miała w pobliżu jeden ze swoich wielu sklepów. A gdy ojca wybrano tam na delegata, Stasiek objaśnił mu statut spółdzielni i wtajemniczał po trochu w rachunkowość.

Aż zarząd spółdzielni zwrócił uwagę na ojca Staśka i zaproponował mu posadę sklepowego.

Czy mam opisywać radość całej rodziny? – Ani ojciec kiedy marzył, że będzie pracował nie dla wzbogacenia pojedynczych ludzi, ale dla szczęścia wszystkich pokrzywdzonych!

Tak, dzięki pomocy Staśka, został jego ojciec pracownikiem społecznym.

Ale o czym innym chciałem powiedzieć.

Na tych samych schodach, co i rodzina Staśka mieszkało w jednoizbowym lokalu dwoje sędziwych staruszków.

On – weteran powstania 63-go roku, siwiuteńki jak gołąb, ledwo suwał nogi po ziemi, opierając się ciężko na grubej lasce. Ona – nieco młodsza i żwawsza, ale ciągle kaszląca i chwytająca się z braku tchu za piersi – pracowała za siebie i za męża.

Mieli kiedyś troje dzieci. Ale żadne już nie żyje. Starszy syn zginął w carskiej katordze za niepodległość Polski i sprawiedliwość społeczną. Córka wyjechała wraz z mężem za chlebem gdzieś daleko w głąb Rosji i tam umarła. A młodszy syn, wzięty na początku wojny z poboru do armii rosyjskiej, padł na froncie galicyjskim, rażony austriacką kulą być może z ręki Polaka.

Byli więc samiuteńcy na świecie. I nikomu niepotrzebni. Nikt o nich nie myślał i nie dbał.

Żyli z niewielkiej zapomogi, którą pobierał on od rządu, jako weteran, oraz z zarobków, jakie ona miała, szyjąc bieliznę. Ale cóż mogła taka staruszka zarobić!

To też bieda z nędzą nie opuszczały ich wcale od lat już wielu.

Razu pewnego, idąc do szkoły, spotkał się Stasiek na schodach ze starym weteranem.

Ten, z trudem podnosząc nogi, stękając ciężko, niósł z dołu kubeł wody. (Bo trzeba wiedzieć, że woda w tym domu nie dochodzi do mieszkań, i biorą ją z kranu, który jest w podwórzu).

Zwykle po wodę chodziła staruszka.

– Dzień dobry panu! Niech mi pan da kubeł. Ja odniosę wodę.

– Dziękuję ci, chłopcze!.. Oj, trudno mi staremu chodzić po schodach, a cóż dopiero z ku-
błem. Niedołęga ze mnie... Dziewiąty krzyżyk dźwigam.

Stasiek schował książki za pazuchę, do lewej ręki wziął kubeł, prawą ręką ujął staruszka pod ramię, aby mu pomóc w podnoszeniu się po schodach – i ruszyli w górę.

– Choruje moja stara... Więc muszę wszystko robić. A sił nie mam... Proś Boga, chłopcze, aby ci nie dał dożyć do mojego wieku, i cierpieć potem w opuszczeniu.

– Proszę pana – a może wynieść śmiecie?

– Zrobiłbyś to, dziecko?

– I owszem!

Stasiek w dwa migi zbiegł ze śmieciem na dół i zdyszany wrócił do staruszka – A ze sklepiku nie trzeba nic panu?

Niech cię Bóg błogosławi za dobre serce dla nas – starych! Oto pięć złotych: kup kwartę mleka do tego rondelka, pół kilo chleba, pół kilo cukru, masła sto gramów, i kaszy pół kilo.

Stasiek jak z procy wpadł na podwórko, stamtąd na ulicę – pędem do sklepu kooperatywy. Kupił wszystko i już jest z powrotem. Złożył na stole zakupy, zwrócił resztę i pyta:

– A może doktora zawołać?

– Doktora?.. Chłopcze kochany!.. Poszedłbyś po doktora?!..

Staruszek zapłakał. Bo dawno już nie doznawał od obcych ludzi życzliwości.

– Mam nawet znajomego doktora, Jeśli wciąż mieszka w dawnym mieszkaniu... Dobry nawet człowiek... Może niedrogo weźmie – mruzczał weteran.

– Niech mi pan podyktuje adres. Zapiszę i zaraz lecę.

Zastał doktora, miłego staruszka. Opowiedział mu o nieszczęściu starego weterana i gorąco prosił o odwiedzenie chorej.

Doktor obiecał.

Przyszedł Stasiek do szkoły blisko z dwugodzinnym opóźnieniem.

– Cóż to jest! – gniewał się nauczyciel. – Czy nie wiesz, że nie wolno późnić się na lekcje?...

Pan nauczyciel myślał, że chłopak pofolgował sobie w nauce.

Staśkowi było przykro, że go o to posądzają. Ale milczał, bo wstydził się przyznać do swego uczynku.

Po skończonych lekcjach, wracając do domu, wstąpił Stasiek do staruszków, żeby powiedzieć, że widział się z doktorem i że doktor obiecał przybyć; w końcu zapytał, czy nie trzeba czego przynieść.

– I owszem, dziecko. Może byś kupił dwa litry nafty? – Oto blaszanka i pieniądze.

Stasiek zakręcił się na pięcie, zbiegał do spółdzielni i za kilka minut wrócił.

– Jutro raniutko, przed szkołą – wpadnę. Niech pan nic nie wynosi i po nic nie chodzi. Ja wszystko zrobię! – rzekł, odchodząc, żegnany błogosławieństwem obojga staruszków.

– Dla kogóż to, Staśku, kupowałeś dziś rano w spółdzielni? – zapytała matka. – Byłam tam w południe i sklepowy mi powiedział,

– Dla staruszków, co mieszkają na naszych schodach. Ona zachorowała i nie wstaje z łóżka. A jemu trudno schodzić i podnosić się po schodach. Więc wyręczyłem go w tym chodzeniu.

– Dobrześ zrobił, Staśku! Zawsze pomagaj słabym i starym, bo im własnych sił nie starcza.

Nazajutrz Stasiek wyskoczył ze snu o godzinę wcześniej, niż zwykle i, zanim poszedł do szkoły, posprzątał w pokoju u staruszków, wyniósł śmiecie, przyniósł wodę, zbiegał do sklepiku.

Ale, choć robił to wszystko chętnie, bardzo się zmęczył. Toteż nauka nie szła mu dziś do głowy tak łatwo i dobrze, jak zwykle.

– Co się z tobą dzieje? – pytał nauczyciel. – Wczoraj spóźniłeś się na lekcje, dziś jesteś roztargniony. Co ci jest?

Stasiek spuścił głowę i milczy. Sam czuje, że zaczyna zaniedbywać się w nauce. A to niedobrze.

– Ale z drugiej strony – staruszkom też pomagać trzeba. Nie można ich opuścić!.. Tylko – jak pomagać, żeby się nie przemęczać? – myśli Stasiek.

A że miał otwartą głowę i nauczył się w spółdzielni, iż, co jednemu jest trudno, to gromadzie łatwo – więc trafił na dobry pomysł.

W tym samym co on domu mieszkało jeszcze kilkoro dzieci chodzących do szkoły. Otóż Stasiek na jednej z przerw między lekcjami zwołał wszystkich swoich sąsiadów do kącika w korytarzu. W kilku słowach opowiedział o opuszczonych przez ludzi staruszkach i od razu zaproponował:

– Wiecie co: my – wszystkie dzieci, co w naszym domu mieszkamy i do szkoły już chodzimy – zrobmy taką spółdzielnię, żeby staruszkom tym pomagać. I chłopcy i dziewczątka. Każdy coś po trochu robi. I nam będzie łatwo i staruszkom dobrze... Zgoda?

Zgoda!!!

Jakież było zdziwienie staruszków, gdy przed wieczorem wszedł do nich Stasiek, a za nim gromadka z kilkorga chłopców i dziewczątek.

– Dzień dobry państwu!!!

I stanęły nieśmiało przy ścianie.

– Dzień dobry, dziatki! – A czegoż to chcecie?

Wystąpił Stasiek.

– Te wszystkie też mieszkają w naszym domu. I chodzą do szkoły. Uradziliśmy sobie, że robimy spółdzielnię, żeby państwu pomagać. Dziewczynki będą sprzątać, zamiatać, ścierać kurze. A my – chłopcy – znosić śmiecie, przynosić wodę i węgiel, biegać po zakupy. Proszę nam tylko mówić, co trzeba zrobić – a my już zrobimy!

– Dzieci!., Dzieci kochane! Toż to cud prawdziwy! Dzieci kochane!.. Czy to świat na lepszy się zmienia?!.. Kto by to widział za naszych czasów, żeby dziatwa coś podobnego wymyślała!..

– Bo wtedy jeszcze dzieci nie bawiły się w spółdzielnię – odrzekła jedna z dziewczynek.

GOŚCIE

Gazetka „Spółnota” wielu ma wiernych przyjaciół, a między nimi Antka Dymka – naszego znajomego.

Chłopcy nieraz go drażnią dotąd Antkiem – kominiarzem, przypominając tęgie lanie, sprawione mu kiedyś przez ojca za zabawę na dachu. Choć już dużo wody od tego czasu upłynęło i skóra Antka dawno już zapomniała o ojcowskim pasie.

Bo Antek, jak wiecie, gorliwie bawi się w spółdzielnię i zalicza się do najprzykładniejszych chłopców we wsi.

Otóż Antek nasz żadnego numeru „Spółnoty” nie opuści. O każdy dopytuje niecierpliwie w spółdzielni. A gdy dostanie – uważnie czyta od deski do deski.

A w styczniu to nawet wysłał list do „Spółnoty”, w którym, jak umiał, opisał urządzoną w szkole przez spółdzielnię choinkę.

I – o dziwo! – list został w gazetce wydrukowany wraz z podpisem: Antoni Dymek, uczeń czwartego oddziału.

Dziwili się we wsi ludzie, że Antkowe pisanie aż w gazecie drukują, A matka jego – zwyczajnie jak matka – aż spłakała się z radości i dumy.

I teraz właśnie leży sobie nasz Antek w ogrodzie na zielonej trawie pod kwitnącą jabłonią i czyta świeży numer „Spółnoty”. Leży se wygodnie na brzuchu, a gazetkę ma pod łokciami.

Czyta – a w oczach łzy mu stoją. Bo czyta Antek o bardzo smutnych rzeczach, o niedoli dziatwy robotniczej, co mieszka po miastach.

Domy brudne, brzydkie, obdrapane. Podwórka wilgotne, ciemne, cuchnące. Mieszkania ciasne, zimne, niezdrowe. Ani słońca, ani świeżego powietrza.

A jedzenie – pożał się Boże! Jeśli mleko – to połowa wody. Jeśli chleb – to połowa gipsu lub innej niestrawnej domieszki.

Biedne dzieci!

Rosną wątłe, blade, aż nieraz zielone na twarzach, słabe, chorowite.

A jak dużo ich umiera przedwcześnie od takiego życia!

– U nas na wsi inaczej – rozmyśla Antek —Nasze dzieci są krępe, zdrowe, mocne, ogorzałe na słońcu i na buziach okrągłe.

Bo inne mamy życie!

U nas – jak nie w szkole, to – na dworze. Przez cały dzień na słońku, na wietrze. W polu, na łące, w lesie! W chałupach tyle nas widać, że śpimy tam i jemy.

I jedzenie mamy dobre. – Mleko – wprost od krowy. Chleb – z własnej mąki. Wszystko pewne, zdrowe.

Biedne dzieci miejskie! Są takie, że pola nigdy nie widziały, w lesie wcale nie były i ani razu nie kąpały się w rzece.

„Spółnota” pisze, że niektóre spółdzielnie miejskie wysyłają dzieci na wieś, urządzając dla nich kolonie letnie.

Ale dzieci po miastach jest wiele, wiele tysięcy, a na kolonie wyjeżdża tylko bardzo nieznaczna ich część. A większość przez całe lato pozostaje w mieście.

Trzeba szukać innych jeszcze sposobów, żeby jak najwięcej ubogiej dziatwy miejskiej wyjeżdżało w lecie na wieś – myśli wciąż nasz Antek, do głębi duszy wzruszony ciężką dolą robotniczego dziecka.

– A czy by tak do naszej wsi nie mogło tego już lata przyjechać kilkoro dzieci miejskich?

Jadłyby z nami po chałupach. Nocowałyby w szkole na rozesłanym sianie pod opieką pana nauczyciela, A przez cały dzień byłyby z nami. I w zabawie, i przy pracy!

Antek zapalił się gorąco do swojego pomysłu i tegoż dnia jeszcze wystąpił z nim na posiedzeniu rady nadzorczej uczniowskiej spółdzielni.

Projekt Antka dziatwa przyjęła z zachwytem. – Koniecznie musimy to zrobić! Koniecznie!

I od razu postanowiono, że, jeśli można będzie sprowadzić na lato do wsi dzieci miejskie, spółdzielnia zapłaci za ich przejazd koleją w tę i tamtą stronę.

Po skończonym posiedzeniu cała rada udała się wprost do szkoły do opiekuna spółdzielni, aby zakomunikować mu o swoim postanowieniu i prosić o poparcie u rodziców. Bo od rodziców wszystko będzie zależało.

Opiekunowi pomysł Antka ogromnie się spodobał, I on, choć dużo od dzieci starszy i już nawet trochę siwy, też jak dziecko zapalił się do tego pomysłu i obiecał swoją pomoc.

Zaczęto się naradzać i uradzono, że opiekun zwoła do szkoły na sobotę wieczorem rodziców.

Na początku Antek odczytał im artykuł ze „Spółnoty”, a potem nauczyciel powie jeszcze coś od siebie i zapyta w końcu, kto z rodziców i przez jaki czas zgodzi się karmić w swojej chałupie jedno z miejskich dzieci, które spółdzielnia na wieś zaprosi.

Kto się zgodzi, ten podpisze się dla porządku pod zobowiązaniem, które nauczyciel podjął się ułożyć.

Antek nasz ze strachem myślał o sobocie. Wie, że jeśli przeczyta ładnie – wzruszy serce niejednego ze starszych i życzliwie usposobi dla sprawy.

Jeśli przeczyta źle – wszystkich znudzi i sprawie zaszkodzi.

Więc przygotowuje się nie na żarty.

Czyta i czyta wciąż swój artykuł. Zastanawia się nad tym, jak wymawiać każde słowo, gdzie głos podnosić, gdzie zniżać, gdzie przystawać. Aż nauczył się na pamięć, jak wiersza.

Nie ufał jednak sobie. W sobotę po nauce został w szkole i poprosił opiekuna spółdzielni, ażeby ten wysłuchał i poprawił jego czytanie.

Przeczytał wspaniale.

Pan opiekun dał mu parę tylko wskazówek. Bardzo chwalił. I zapewniał, że artykuł, tak pięknie odczytany, wzruszy wieczorem serca wszystkich rodziców.

Antek uspokojony wrócił do chałupy. Ze smakiem podjadł obiad. I niecierpliwie, ale już bez trwogi oczekiwał wieczoru.

Wieczorem jedna z klas szkolnych zapełniła się matkami i ojcami, którzy, gwarząc, rozsiedli się po ławkach. Prócz nich – tylko opiekun spółdzielni oraz kilkoro dzieci z zarządu i rady.

Ale za to przy każdym z otwartych okien cisnęły się gromadki ciekawej dziatwy. Chciały chociaż stąd posłuchać, co się też będzie mówiło na zebraniu.

Nauczyciel zapalił dwie duże wiszące lampy. W klasie zrobiło się widno i przytulnie. Wszyscy się uciszeli.

Nauczyciel zaczął:

– Działwa ze spółdzielni i ja zaprosiliśmy tutaj was-rodziców, aby prosić o poparcie w jednej bardzo ważnej sprawie.

Wysłuchajcie życzliwie, co wam powiemy. A potem – wierzymy – że nam pomożecie. – Dymek! zaczynaj!

Antek wystąpił naprzód.

Drży ze wzruszenia, aż mu w rękę skacze numer „Spólnoty”. Nie widzi liter. Ale mu litery nie są potrzebne, bo wszak umie na pamięć.

I mówi z pamięci. A jak ślicznie!.. Toteż cisza w klasie, jak w kościele w czasie podniesienia.

A wszyscy jak w obraz patrzą w czytającego chłopca.

Głosik mu drży i kilka razy nawet się załamuje. A łzy padają z oczu na gazetkę.

Ale wyszło to na dobre. Bo wszystkich ogarnęła szczerza i wielka żalność nad niedolą ubogiej dziatwy miejskiej. Kobiety wycierały sobie głośno oczy. Mężczyźni kiwali poważnie głowami.

A wszystkim było smutno i jakby trochę wstyd, że taka niesprawiedliwość dzieje się na świecie.

Antek skończył i usiadł blady na ławce wśród dziatwy.

A nauczyciel mówił dalej:

– Kiedy dzieci wasze przeczytały w gazecie to, co przed chwilą odczytał wam mały Dymek, wstyd im się zrobiło, że tyle dzieci nie korzysta z tego wszystkiego, czego one tu na wsi mają pod dostatkiem.

Cieszcie się, bo to znaczy, że dzieci wasze mają uczciwe i czułe na niedolę bliźnich serduszka. Że rosną na sprawiedliwych ludzi.

Ale wasze dzieci mają też i mądre główki – Obmyślały one doskonały sposób, jak przyjść z pomocą miejskiej dziatwie. (Tu nauczyciel opowiedział szczegółowo, co uradziła spółdzielnia uczniowska).

Teraz zapytujemy was – rodziców; czy chcecie nam dopomóc?

Wierzmy, że pomożecie!

Oto na stole dwa arkusze papieru. Na jednym będziecie zapisywali, kto przez ile tygodni zgadza się karmić u siebie przy rodzinie jedno dziecko miejskie. Na drugim – kto przez ile tygodni zgadza się prać bieliznę dla jednego dziecka.

Proszę podchodzić do stołu i zapisywać po kolei. Kto nie umie pisać – ja pomogę.

Nazajutrz w niedzielę odbyło się znów posiedzenie rady i zarządu spółdzielni.

Jak obliczono na podstawie wczorajszych rodzicielskich zapisów, można będzie zaprosić do siebie na wieś na czerwiec, lipiec i połowę sierpnia aż dziewiętnaścioro dzieci.

Ażeby przejazd jak najmniej kosztował, postanowiono zaprosić dzieci z najbliższego miasta fabrycznego, oddalonego o dwie godziny jazdy koleją. I akurat opiekun ma w tym mieście kolegę, też nauczyciela i opiekuna spółdzielni uczniowskiej w jednej ze szkół powszechnych.

Napisano więc list do tej spółdzielni, zapraszający dziewiętnaścioro dzieci na całe lato. List, jako bardzo ważny, podpisał prócz dzieci pan opiekun.

Nazajutrz list wysłano poleconą pocztą. Jednocześnie również pocztą przekazano pieniądze na drogę.

W parę dni potem nadeszła odpowiedź z gorącym podziękowaniem, a po tygodniu obszerny list, podający nazwiska, imiona, wiek i oddział dwunastu chłopców i siedmiu dziewczątek, wyznaczonych przez spółdzielnię na wyjazd do gościnnych dzieci wiejskich. Poza tym list zawiadamiał, że dziatwa wyjedzie z miasta w pierwszą niedzielę czerwcową najwcześniejszym rannym pociągami. I że odwiezie ich na wieś opiekun spółdzielni.

Zaczęły się przygotowania.

Nasampród ułożono spisy: u kogo i kiedy przez cały czas swojego pobytu na wsi każde z przyjezdnych dzieci będzie się stołowało.

A ułożono w ten sposób, że dziewczątka przydzielono do tych rodzin, gdzie są też dziewczynki w odpowiednim wieku, a chłopców – gdzie są chłopcy.

Następnie zakomunikowano o tym każdej rodzinie. A spisy do ogólnej wiadomości wywieszono w szkole i u sołtysa oraz wysłano do spółdzielni miejskiej.

Potem ułożono wykaz, która z gospodyń jakiemu dziecku i przez jaki czas będzie prała bieliznę.

Wreszcie urządzono noclegi.

Jedną z klas szkolnych przeznaczono na sypialnię dla chłopców, nad którymi dozór obejmie opiekun spółdzielni. A w innej znów klasie będą nocowały dziewczątka pod opieką jednej z nauczycielek, pozostającej na wsi przez całe lato.

Sklecono z desek łóżka. Porobiono sienniki. Każda rodzina wypożyczyła coś zbywającego. – I urządzono gościom dwie sypialnie – że aż patrzeć!

Z niecierpliwością oczekiwano pierwszej niedzieli czerwcowej, podwójnie uroczystej.

Bo, jak wiemy, pierwsza niedziela czerwca jest w Polsce świętem spółdzielczym. A poza tym – przyjazd dziatwy miejskiej – to też nie byle fraszka!

I oto nadszedł ten dzień oczekiwany.

Na stację kolejową, do której ze wsi było niedaleko, bo zaledwie cztery kilometry, wyjechał jeden z gospodarzy drabiniastym wózkiem, ażeby zabrać dziecięce tłumoki.

A cała dziatwa wiejska (najmniejszego nie zabrakło), spora gromada rodziców oraz opiekun spółdzielni z przyszlą opiekunką dziewczynek – też wyruszyli, ale pieszo, wielkim wesołym tłumem na stację kolejową.

Dziatwa szła, śpiewając śliczne piosenki, których nauczyła się w szkole. A było w tym pochodzie chyba ze dwieście osób, jeśli nie więcej!

Na stacji oczekiwało pociągu sporo publiczności. I wszyscy się zdziwili, gdy barwny tłum śpiewającej i szczebiocącej dziatwy zalał całuski peron.

Tyle dzieci? Skąd? Dokąd? Po co? – rozległy się pytania.

Spotykamy naszych gości!!! Ja Olka Płazaka! A ja Magdę Karwaczyńską! A ja Józka Sowę! A ja Kostkę Ziętalskiego! A ja Zosię Olejniczakównę!

I wywijają kartkami papieru, z wypisanym na każdej imieniem i nazwiskiem małego gościa, którego szczęśliwy posiadacz kartki miał odszukać wśród przyjezdnych, poznać i zaprowadzić do swojej chałupy na obiad.

Czekano niedługo.

Dzieci od razu dojrzały daleko, daleko czarną kropkę, która szybko rosła.

I oto, buchając gęstym dymem, wpadł pociąg ze strasznym turkotem na stację, kichnął potężnie gorącą parą na oczekujących – i stanął.

Z jednego wagonu wysypała się gromadka bladej i wynędzniałej dziatwy miejskiej.

Wszystkie z małymi tłumokami w ręcznych. Każde dziecko poza tym trzymało kartkę z wypisanym imieniem i nazwiskiem swojego pierwszego małego gospodarza.

Między tymi dziećmi był i nasz dobry znajomy – Stasiek z ponurej kamienicy. Na kartce swej miał zapisanego Antka Dymka.

Ostatni wysiadł nauczyciel.

Zbite w kupę miejskie dzieci rzucały nieśmiało, ale ciekawe spojrzenia na wielki tłum nieznanym wiejskich dzieci.

Tamte też wytrzeszczyły oczęta na swych tak dawno oczekiwanych gości. A najmniejsze pędraki – to nawet z wielkiej ciekawości popakowały sobie paluszki do buzi.

Milczące przyglądanie się wzajemne trwało parę chwil zaledwie. Dopóki stał pociąg.

Lecz pociąg gwizdnął, ruszył, zagrzemiał. – I już go nie ma.

I w jednej chwili gromadka gości została ze wszystkich stron zalana cisnącym się tłumem wiejskiej dziatwy.

Józek Sowa! Zosia Mrožanka! Kostek Stelmachowski! Magda Górniakówna! Wywoływały z tłumu młode głosy.

Ja jestem Józek Sowa! A ty – może Bronek Pawelczyk?

– Tak! Jestem Bronek Pawelczyk! U nas będziesz jadł!

– Wiem o tym!

– Ale potem będziesz jadł u nas! Ja nazywam się Kazik Kurzyna!

– Daj, Zosiu – zaniósę na wóz twój tłumoczek!..

– Stefek! – byłeś kiedy na wsi?

– Nie! – A ty, Franek, w mieście byłeś?

– Nie!..

Nie zdążyli starsi przywitać się ze sobą, a już się dziatwa zaznajomiła. Od razu!

I był jeden wielki i barwny, gwarny i radosny tłum dziecięcy, zalany gorącym blaskiem czerwcowego przedpołudnia.

Każde mówi! Każde pcha się! Każde krzyczy, żeby je słyszano! A tyle ścisku! Tyle wrzasku! Tyle słonecznej beztroskiej radości.

W dniu tym po całej Polsce uroczyście obchodzono święto spółdzielcze.

Ale nigdzie tak pięknie nie wypadło to święto, jak u naszej dziatwy.

Nie będę opisywał, jak się bawiono. Bo całą grubą książkę musiałbym napisać.

A to już niepotrzebne: książkę taką mamy. Ładna, z obrazkami. Nazywa się – „Spółdzielnie Uczniowskie”. Doskonała książka⁸.

Kto z was zechce ją przeczytać – na pewno dostanie w szkole od nauczyciela czy nauczycielki.

Czytać ją radzę takim tylko łobuzom, co mają wytrwałość bawić się nie na żarty. Ale kto jest fajtłapą i lubi bawić się tylko na niby – niech o tę książkę nie prosi nauczyciela. Bo będzie dla niego za mądra.

8 Prawdopodobnie chodzi o książkę „Spółdzielnie uczniowskie: podręcznik praktyczny z il. i wzorami” autorstwa Franciszka Dąbrowskiego, wydaną w 1925 roku przez Wydawnictwo Związku Polskich Stowarzyszeń Spożywców (przyp. red.).

SPÓŁDZIELNIE SZKOLNE ZAGŁĘBIA DĄBROWSKIEGO

„SPOŁEM” 18/1933

W początkach roku szkolnego, okresu rozpoczynającej się intensywnej pracy w spółdzielniach szkolnych, a także wobec nowej serii ataków ze strony kupiectwa branży księgarskiej i papierniczej na ten kierunek życia spółdzielczego, wskazanym wydaje się podać do wiadomości trochę danych, dotyczących spółdzielni szkolnych, omówić metody ich pracy i wyniki, jakie dają. Niezmiernie ciekawego materiału w tej dziedzinie dostarcza nam ankieta, przeprowadzona wśród 29 spółdzielni uczniowskich w lutym br. przez Radę Okręgową spółdzielni spożywców w Będzinie z okazji odbywającego się kursu nauczycieli. Ankieta ta obejmowała szkoły powszechne miast i osad fabrycznych Zagłębia Dąbrowskiego, dotyczy więc działalności spółdzielczej wśród dzieci najuboższych warstw proletariatu polskiego, będąc tym bardziej interesującą, że wykazuje jasno ogromną wartość społeczną i pedagogiczną tych spółdzielni i podkreśla poważną rolę gospodarczą i wychowawczą, jaką odgrywają one na terenie szkoły. Niski udział w tych spółdzielniach, wynoszący przeciętnie około 50 groszy (w jednej tylko spółdzielni 5 zł, w jednej – 2 zł i w jednej – 10 gr) ułatwia dzieciom przystąpienie na członka; niemniej udziały w sumie globalnej z groszy tych tworzą poważną sumę 1667 zł 75 gr, co stanowi na jedną spółdzielnię 57 zł 51 gr. Kapitały społeczne, odpisywane z części nadwyżek, przewyższają kilkakrotnie, a w niektórych spółdzielniach nawet kilkadziesiąt razy – udziały. Wynoszą one ogółem zł 3297,99, czyli na jedną spółdzielnię zł 113,70. Spółdzielnie – niestety, niezwykle rzadko spotykany to objaw w organizacjach starszego pokolenia – pracują przeważnie własnymi kapitałami, bowiem stosunek kapitałów obcych do własnych wynosi 1:2. Przy stosunkowo niewielkich swych zasobach zdołały one w ciągu roku osiągnąć obrót w wysokości zł. 22139,38, czyli na jedną spółdzielnię przeszło 760 zł. Wskazuje to na znaczną sprawność organizacyjną i wyrobienie zmysłu orientacyjnego u młodzieży, jeżeli zważymy, że zdołała ona obliczyć tak dobrze zapotrzebowanie, iż nie uwięziła kapitału w zbytecznych remanentach.

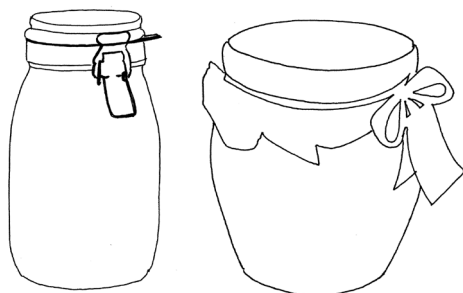
Strat nie poniosła żadna z omawianych 29 spółdzielni. Nie było też, prócz kilku pomyłkowych obliczeń, wypadku manka lub kradzieży – moment tak często wysuwany w argu-

mentach przeciwników spółdzielczości w szkole (podkreślanie, że spółdzielnia daje sposobność dzieciom słabszego charakteru do załamania się i uczy nieuczciwości, wprowadzając do życia szkolnego nie zawsze szlachetne elementy handlu). Za to nadwyżki wyniosły w ciągu roku prawie tyle, co kapitały własne, a mianowicie osiągnęły sumę zł. 3966,38, co wynosi na jedną spółdzielnię zł. 138,14. I dopiero w zużytkowaniu tej sumy przejawia się właściwy charakter społeczny spółdzielni szkolnych. Niektóre odpowiedzi ankiety są po prostu wzruszające, wskazując na nędzę dzieci Zagłębia i wielką rolę samopomocy społecznej, jaką spółdzielnie odgrywają w szkole. A więc sumy, które normalnie stanowiłyby zysk prywatny sklepikarza lub księgarza, przeznaczone zostały po potrąceniu części na fundusz społeczny, na dożywianie i pomoce szkolne biednym dzieciom – w 10 wypadkach na urządzenie choinki – w 3 wypadkach, na wycieczki – 2 przybory sportowe – 2 mapy i obrazy do szkoły, drzewka owocowe, radio, wreszcie jedna ankietę wymienia szczegółowo poczynione z niewielkiej nadwyżki tak wiele mówiące zakupy; dwa swetry, dwie pary ciepłej bielizny, 79 pączków i 40 bułek. Sześć spółdzielni nadwyżek nie podzieliło, jednak trzeba zaznaczyć, że były to spółdzielnie przeważnie założone w roku sprawozdawczym lub ubiegłym.

Prócz wartości gospodarczych i społecznych, nie można pominąć przy przedstawianiu obrazu spółdzielni szkolnych może bardziej jeszcze wartościowego momentu dla wychowania przyszłych obywateli, a mianowicie nie można nie podkreślić roli zebrań członkowskich, tej kuźni i szkoły społecznego życia młodzieży. Zebrań tych o charakterze walnym odbyło się w roku sprawozdawczym w 29 spółdzielniach 69, w zarządach zaś brało udział 132 dzieci. Przenieśmy liczby te porównawczo na ogólną liczbę szkół powszechnych w Polsce (27000 – w r. 1932) i wtedy, gdybyśmy przypuścili, że w każdej szkole istnieje spółdzielnia, otrzymamy w ciągu roku 62000 zebrań i 121500 dzieci, przeszkolonych organizacyjnie, tj. biorących udział w zarządach, co stanowi poważną pozycję w obywatelskim wychowaniu młodzieży, że pominiemy już liczbę zaznajomionych z życiem społecznym i organizacyjnym przez udział w walnych zgromadzeniach zwykłych członków, których przypada przeciętnie 40 na spółdzielnię (w 29 spółdzielniach 1164 członków).

Spółdzielnie podane w ankiecie, są to przeważnie organizacje już z pewną tradycją, nawet początki jednej spółdzielni sięgają roku 1913. Na 29 – 19 powstało przed rokiem 1930, 2 z nich oprócz sklepiku zorganizowały drugie śniadania. Sądząc z ankiety wypełnionej przez same dzieci, opierają one swą działalność nie na pracy nauczyciela – opiekuna, który raczej spełnia rolę doradcy, lecz na własnych siłach. Miejscem zakupu są większe firmy prywatne Zagłębia, w kilku wypadkach zaledwie hurtownia, jak „Nasz Sklep-Urania”. W łańcuchu więc pośrednictwa opanowały spółdzielnie szkolne ostatnie zaledwie ogniwo – drobnego detalistę. Jeżeli jednak, w tak skromnych działając ramach, operując składanymi z groszowych udziałów kapitałami, osiągnąć mogą tak piękne rezultaty, ile jeszcze w dalszym swym rozwoju mają do zdziałania! A przede wszystkim podkreślamy raz jeszcze, jak poważną rolę odgrywają w wychowaniu gospodarczym i społecznym młodzieży, wysuwany obecnie we wszystkich programach i projektach reorganizacji i budowy szkolnictwa na plan pierwszy. I wobec tego dorobku społecznego skromnego odcinka okręgu Zagłębia Dąbrowskiego zblednąć muszą wszystkie, najbardziej nawet umotywowane argumenty kupiectwa, które w spółdzielniach szkolnych chce widzieć jedynie konkurencyjne przedsiębiorstwo, zapominając, że te „przedsiębiorstwa” swym charakterem i działalnością są ważnymi placówkami społecznego kształcenia młodzieży.

KOOPERATYWA
SPOŻYWCÓW.
KUPUJĄC,
ZMIENIAJĄ ŚWIAT
NA LEPSZE



KOOPERATYWA SPOŻYWCÓW „DOBRCZE”

„Działamy po to, aby zwiększyć dostęp do zdrowej, świeżej i sezonowej żywności, wspierać rozwój lokalnych gospodarstw rolnych oraz aby uczyć się współpracy w grupie. Tworzymy praktyczną alternatywę wobec supermarketów sprzedających niskiej jakości żywność, ale też wobec luksusowych sklepów ekologicznych. Działamy po to, aby odzyskać wpływ na nasze otoczenie, aby uczyć się współpracy. Działanie w kooperatywie traktujemy jako szkołę oddolnej demokracji”.

Z regulaminu kooperatywy:

I. Kooperatywa Spożywcza „Dobrze”

to społeczność zorganizowana wokół sklepu spółdzielczego, w którym członkowie Kooperatywy sprzedają i kupują zdrową i ekologiczną żywność oraz prowadzą działania edukacyjne i integracyjne. Działalność sklepu Kooperatywy nie jest nastawiona na zysk.

II. Dostępność

Każdy może przystąpić do Kooperatywy. W sklepie Kooperatywy kupować mogą wszystkie zainteresowane osoby, także te nie będące jej członkami/członkiniami.

III. Członkostwo w Kooperatywie

Członkami/członkiniami Kooperatywy są osoby wspierające ją finansowo i nakładem swojej pracy. Członkostwo w Kooperatywie poświadcza **karta członkowska**. Upoważnia ona właściciela/kę do zabierania głosu podczas zebrań strategicznych i uprawnia do korzystania z oferty dla członków w sklepie Kooperatywy.

Kartę członkowską można otrzymać opłacając z góry przynajmniej na pół roku składki jako członek rzeczywisty Stowarzyszenia Kooperatywa Spożywcza „Dobrze” oraz zobowiązując się do wykonania minimalnego wymaganego wkładu pracy na rzecz Kooperatywy.

IV. Działanie Kooperatywy

Kooperatywa działa w oparciu o **Grupy Robocze**, w których uczestnictwo jest otwarte dla wszystkich członków Kooperatywy. Grupy Robocze podejmują decyzje w drodze konsensusu. Nad całością działań Kooperatywy czuwa **Grupa Koordynująca**, w której skład muszą wchodzić członkowie Zarządu Stowarzyszenia Kooperatywa Spożywcza „Dobrze”. Skład Grupy Koordynującej jest w każdym momencie podany na stronie internetowej Kooperatywy.

V. Praca na rzecz Kooperatywy

Minimalny wymagany wkład pracy członków Kooperatywy to 3 godziny w ciągu miesiąca. Rodzaj prac na rzecz Kooperatywy określa Grupa Koordynująca. Zadania te obejmują pracę w sklepie oraz konkretne zadania zlecane przez Grupy Robocze, przy czym w każdym przypadku Grupa Koordynująca musi zgodzić się, że zadanie można zaliczyć na poczet wkładu pracy uprawniającego do korzystania ze sprzedaży żywności w sklepie na specjalnych warunkach.

O kooperatywie Dobrze opowiada Dominika Potkańska

Kooperatywa Dobrze wyłoniła się z grona osób współtworzących Warszawską Kooperatywę Spożywcą. WKS to inicjatywa nieformalna w której przekaz ideowy, w tym także – historyczny jest bardzo istotny i stanowi główne spoiwo wspólnych działań. Kooperatywa Dobrze została założona przez kilka osób, które wyszły z Warszawskiej Kooperatywy Spożywców w poszukiwaniu bardziej efektywnych metod działania, z przekonaniem, że do lepszego prowadzenia spółdzielni spożywców potrzebny jest przede wszystkim własny sklep.

Idea w działaniu

Założyciele „Dobrze” mieli w głowach i sercach wiedzę o polskich „pionierach spółdzielczości”, jednak nie sama idea i jej romantyczne wyobrażenie było dla nich siłą napędową, a chęć sprawdzenia tej idei w praktyce, poprzez prowadzenie wspólnego sklepu. Pragnęli stworzyć miejsce, w którym zarówno spółdzielcy-współwłaściciele, jak i klienci-konsumenci przez sześć dni w tygodniu będą mogli nie tylko kupować żywność o sprawdzonej, dobrej jakości, ale też przesiąkać ideami kooperacji. To jest istotna różnica między naszym sklepem a nieformalnymi kooperatywami, do których najpierw trzeba dołączyć, żeby zapoznać się z ideą, przez co ich deklarowana otwartość bywa problematyczna. Jak pokazało otwarcie naszego sklepu, jest on jedną z najlepszych form promocji idei kooperacji. Nasi sąsiedzi, początkowo przychodzący tylko po zakupy, po kilku, kilkunastu wizytach stają się członkami stowarzyszenia, opłacają składki i pracują jako wolontariusze co najmniej trzy godziny w miesiącu.

Dla mnie osobiście wcielanie idei i zasad spółdzielczych w życie jest bardzo ważne i właśnie to przyciągnęło mnie do współtworzenia Kooperatywy Dobrze. Bezpośrednie nawiązanie do idei „rzeczpospolitej kooperatywy¹⁰”, może utopijnej, ale pięknej wizji świata,

10 Zobacz Edward Abramowski, „Kooperatywa jako sprawa wyzwolenia ludu pracującego: Idee kooperatyizmu” <http://kooperatyzm.pl/kooperatywa-jako-sprawa-wyzwolenia-ludu-pracujacego-idee-kooperatyizmu/> (dostęp: 29.11.2015).

ma duże znaczenie dla mojego zaangażowania. Zasady spółdzielcze mają fundamentalne znaczenie dla naszego istnienia. Od samego początku opieramy budowanie wspólnoty na wkładzie finansowym i wkładzie pracy oraz totalnej wręcz demokratyzacji każdej dziedziny zarządzania, gdzie wszyscy członkowie mają to samo prawo głosu i współdecydowania. Dobrowolność, otwartość, edukacja członków, troska o społeczność lokalną: to wszystko towarzyszy nam od początku. Od jakiegoś czasu wzmacniamy też swoistą „narrację historyczną”. Mając 150 członków trudno liczyć na to, że wszyscy będą znali historię idei, dlatego nawet na ścianie sklepu pojawiły się wymalowane zasady spółdzielcze i w ten sposób nasz przekaz trafia także do klientów.

Ważne jest także współdziałanie z rolnikami – producentami sprzedawanej przez nas żywności. Nie traktujemy ich jako „elementu łańcucha dostawców”, tylko zgodnie z zasadami partnerskiej, odpowiedzialnej współpracy staramy się zapewniać im lepszy zbyt, zmniejszamy ryzyko produkcji, choćby poprzez mechanizmy tzw. RWS, rolnictwa wspieranego przez społeczność. Z punktu widzenia rolnika, sklep mający stały adres, podmiot prawny wystawiający faktury itd. jest bardziej wiarygodnym partnerem niż zmieniająca się grupka odbiorców z nieformalnej kooperatywy zamawiającej towar raz na dwa tygodnie.

Demokracja, różnorodność, współdziałanie

Wskazanie najważniejszego aspektu naszej działalności nie będzie łatwe, chyba że uznamy, że tą najważniejszą cechą jest różnorodność. Członków i członkinie kooperatywy motywują bardzo różne wartości. Od zaspakajania podstawowej potrzeby – dostępu do sprawdzonej, dobrej, organicznej żywności, przez chęć poprawy środowiska naturalnego i pracę z rolnikami, po realizację górnołotnych wizji lepszego świata opartego na współdziałaniu, a nie konkurencji i wyzysku. Jedność w różnorodności to nasza największa siła. Gwarantem tej różnorodności jest zaangażowanie członków oparte na demokratycznym zarządzaniu. To demokratyczna kontrola umożliwia różnorodność podejmowanych inicjatyw, a współdecydowanie przez kolektyw i współodpowiedzialność członków za podejmowane decyzje jest siłą napędową Stowarzyszenia.

Tej zasadzie podporządkowaliśmy całą strukturę organizacyjną, która jest bardzo rozbudowana i umożliwia każdemu włączenie się w stopniu, który mu odpowiada. Mamy zebranie walne i grupy robocze – grupy do spraw finansów, promocji, kampanii crowdfundingowych itd. Nad całością czuwa grupa koordynacyjna, o długofalowy rozwój dba grupa strategiczna, w miejscach wymagających szybkich decyzji (jak np. zamówienia) wyłaniane są samodzielne stanowiska. Ten model może wydawać się czasem skomplikowany, mało efektywny i powolny, bo wymaga omawiania wielu spraw w dużym gronie, ale na dłuższą metę stanowi ogromną wartość zwiększając zaangażowanie każdego z członków i członkin.

Niedawno prowadziłam naukowe badania nieformalnych grup, w tym również kooperatyw spożywczych. Wynika z nich, że wiele osób inicjujących takie działania było wcześniej zaangażowane w działania organizacji pozarządowych (stowarzyszeń i fundacji), jednak zniechęciły się ich postępującą bezideowością, przerośniętą biurokracją czy zanikiem autonomii poddawanej na rzecz finansowego rozwoju osiąganego dzięki realizacji zadań dofinansowanych z państwowych dotacji. Organizacje, które z definicji miały działać na rzecz lokalnych społeczności, blisko ludzi, stawały się coraz mniej „społeczne” a coraz bar-

dziej „przedłużeniem urzędu”, realizującego zadania publiczne. Ich członkowie i wolontariusze przestawali mieć wpływ na jakiegokolwiek działania.

Takie doświadczenia miały też istotny wpływ na tworzenie naszej kooperatywy. Mimo że formalnie jesteśmy zarejestrowanym stowarzyszeniem, to staramy się tak organizować swoją działalność, by zwiększać wpływ każdej zaangażowanej osoby. Decydując się na założenie sklepu liczyliśmy się z tym, że niezbędna do prowadzenia legalnej działalności formalizacja oznacza zmierzenie się ze wszystkimi problemami, które wynieśliśmy z „trzeciego sektora”. Jednak szybko okazało się, że to nie sama formalizacja jest problemem. Myślę, że lęk przed formalizacją jest barierą w niejednej głowie, bo kojarzy się z hierarchią, biurokracją i wszystkimi tymi „złymi” rzeczami zabijającymi ducha i ideowość. My staraliśmy się od samego początku przenieść do formalnej struktury stowarzyszenia jak najwięcej z kultury organizacyjnej i dobrych praktyk grup nieformalnych. Myślę że się to udało, a jednocześnie fakt prowadzenia legalnego sklepu, zatrudniania ludzi, wykonywania operacji finansowych wymusza na nas większą odpowiedzialność i konsekwencję w działaniu. Kooperatywa stale się rozwija. Otwieramy wkrótce drugi sklep, rośnie baza członków i pojawiają się kolejne grupy zainspirowane naszymi dokonaniem.

O lepszy świat

Mogę śmiało powiedzieć, że jestem fanką idei spółdzielczych. Z tego powodu chciałam też, żeby „Dobrze” była od razu prawdziwą spółdzielnią. Prawdziwą, czyli założoną zgodnie z prawem spółdzielczym i prowadzącą działalność sklepu opartą na spółdzielczym etosie. Okazało się jednak, że nie jest to takie proste. Po pierwsze, brakuje poradników i opracowań dla grup chcących powołać podobne inicjatywy jak nasza. Nie wpisuje się to w logikę organizacji pozarządowych, nie dba o to także Krajowa Rada Spółdzielcza. Można oczywiście próbować dotrzeć do tych kooperatyw, które już istnieją, ale to wymaga większej determinacji i ma ograniczony zasięg, a nasza formuła działania – sklep prowadzony przez stowarzyszenie, jest pierwszą znaną mi inicjatywą tego typu.

Po drugie, istniejące „normalne” spółdzielnie są tylko teoretycznie otwarte na nowych członków, a ich działalność w sferze „tworzenia lepszego świata” jest bardzo ograniczona. Jedna z naszych członkiń bezskutecznie próbowała zapisać się do lokalnego „Społem” i mimo że spełniła wszystkie wymagania, nie została przyjęta. Posiadanie finansów na wkład spółdzielczy okazuje się niewystarczające, a osoby chcące dołączyć do już istniejących spółdzielni spożywców spotykają się najczęściej z odmową. Trudno powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Są to organizacje bardzo nietransparentne, myślę, że cały sektor starej spółdzielczości wymaga w Polsce bardzo poważnych reform.

Dlatego, mimo że nie odżegnujemy się od historii i ruchu spółdzielczego, to zależy nam przede wszystkim na stworzeniu organizacji, na którą będziemy mieli realny wpływ, która będzie w całości kształtowana przez nasz zespół. W konsekwencji, trudno określić naszą formułę działania jako sensu stricto spółdzielczą. Funkcjonując jako stowarzyszenie, pozbawiamy się możliwości pobierania dywidendy, bo nie jesteśmy właścicielami wypracowanego majątku. Jest nim stowarzyszenie. Rezygnacja z członkostwa nie wiąże się z żadną wypłatą ekwiwalentu za wkład pracy i składki. Wiele osób uważa to jednak za zaletę, ponieważ daje to większe możliwości działania na rzecz pożytku publicznego i nie rodzi

ukrytych, egoistycznych motywacji, jakie z reguły pojawiają się tam, gdzie są do podziału jakieś pieniądze.

Istotne jest dla nas samo współtworzenie i korzystanie z możliwości, jakie daje kooperatywa, a nie przywiązanie do własności. Taka formuła działania będzie dobra, dopóki będziemy prowadzili działalność czysto konsumencką, w której korzyści odbiera się „na bieżąco” w postaci jakościowo dobrych i tańszych warzyw i owoców. Jeśli jednak pokusimy się o rozwinięcie działalności o produkcję czy przetwórstwo, co wiąże się z bardziej wyspecjalizowaną stałą pracą, większymi nakładami finansowymi na maszyny itd., to dotychczasowe zasady mogą okazać się niewystarczające. Póki co wydaje się jednak, że znaleźliśmy złoty środek między działalnością odpłatną a etosem tworzenia lepszego świata i bardziej świadomego i odpowiedzialnego człowieka.

Z kanonu zasad spółdzielczych, które definiują dążenie do tego wymarzonego, lepszego świata, najważniejsze to omówiona wcześniej demokratyczna kontrola – współtworzenie oparte na poszanowaniu godności człowieka, a nie wartości posiadanego przez niego majątku, oraz edukacja i działalność oświatowa. Prowadzimy dziesiątki prelekcji i wykładów. Od praktycznych kursów z zakresu rolnictwa ekologicznego czy świadomej i odpowiedzialnej konsumpcji po dyskusje na tematy społeczno-polityczne jak umowa TTIP, lokalne konsekwencje polityki międzynarodowej czy historia spółdzielczości.

ŚLADAMI SPÓŁDZIELCZOŚCI SPOŻYWCÓW

Wybrane teksty historyczne są zdaniem redakcji tej książki swoistym brakującym ogniwem pośród wielu wznowionych już przez Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom” artykułów dotyczących spółdzielczości spożywców. Nie są to na pewno teksty najważniejsze, bo te można znaleźć w wydanych wcześniej książkach¹¹. W niniejszym zbiorze przypominamy trzy artykuły znanych postaci przedwojennej polskiej spółdzielczości.

Maria Dąbrowska i Stanisław Thugutt przybliżają czytelnikom rewolucję, jakiej dokonali prości tkacze w angielskim Rochdale. Pisarka nawiązuje też do niezwykle istotnej współcześnie relacji między konsumentami a rolnikami. Przyglądając się pierwszym krokom warszawskiej Kooperatywy Dobrze, nawiązującej nowe więzi między miastem a wsią, warto spojrzeć wstecz i przeczytać o tym, jak układała się kiedyś współpraca między spółdzielniami spożywców i rolników. Tej tematyce poświęcony jest też artykuł Mariana Rapackiego, wieloletniego członka zarządu Powszechnego Związku Spółdzielni Spożywców „Społem”, jednego z działaczy nadających kierunek działalności Związku.

Trzeci artykuł, autorstwa kolejnego twórcy polskiej spółdzielczości spożywców, w latach 1922-1926 Prezydenta RP, Stanisława Wojciechowskiego, wskazuje na wagę pozyskiwania przez spółdzielnie nowych członków. Mechanizm, dzięki któremu przedwojenna spółdzielczość rosła w niezwykle szybkim tempie, został dziś zastąpiony programami lojalnościowymi w wielkich sieciach handlowych, a niedobitki polskich spożywców zrzeszonych w „Społem” zamknęły się na nowych członków, broniąc w ten sposób dostępu do

11 Zainteresowanych tematem odsyłamy do poniższych książek i artykułów opracowanych przez Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom” (dostęp: 29.11.2015):

- Edward Abramowski „Braterstwo, solidarność, współdziałanie”. <http://nowyobywatel.pl/biblioteka-obywatela/braterstwo-solidarnosc-wspoldzialanie/>
- Romuald Mielczarski „RAZEM! czyli Społem. Wybór pism spółdzielczych” <http://nowyobywatel.pl/biblioteka-obywatela/razem-czyli-spolem/>
- Remigiusz Okraska: „Marzyciel i realista. Romuald Mielczarski i spółdzielczość spożywców w Polsce” <http://kooperatyzm.pl/marzyciel-i-realista-romuald-mielczarski-i-spoldzielczosc-spozywcow-w-polsce/>
- Stanisław Thugutt „Spółdzielnia spożywców w Rochdale i zasady rochdelskie” <http://kooperatyzm.pl/spoldzielnia-spozywcow-w-rochdale-i-zasady-rochdelskie-1938/>
- Maria Dąbrowska „Polska spółdzielczość spożywców” <http://kooperatyzm.pl/polska-spoldzielczosc-spozywcow-1938/>
- Antoni Mędrecki „Obowiązki i prawa członków kooperatywy spożywczej” <http://kooperatyzm.pl/obowiazki-i-prawa-czlonkow-kooperatywy-spozywczej-1919/>

coraz skromniejszej dywidendy. Sięgając w przeszłość można mieć jednak nadzieję, że takie inicjatywy jak Kooperatywa Dobrze, która przede wszystkim dba o swoją bazę członkowską i wartości społeczne, a w drugiej kolejności o zyski, staną się kiedyś istotną przeciwwagą dla handlu napędzanego wyłącznie chęcią pomnażania kapitału. Spółdzielców w Rochdale na początku było tylko dwudziestu ośmiu, jednak dzięki konsekwentnemu trzymaniu się swoich zasad w ciągu kilkanastu lat stali się wielką organizacją, inspirującą ludzi na całym świecie.

*{ Podstawowym elementem spółdzielni jest
człowiek (a nie kapitał), który aby zapewnić jej siłę
organizacyjną, winien być świadom jej celów i zadań.
Działalność oświatowa (społeczno-wychowawcza)
spółdzielni wśród członków staje się wskutek tego
zagadnieniem podstawowym.*

(Stanisław Thugutt, 1938)

MARIA DĄBROWSKA

WIELKIE ODKRYCIE

FRAGMENT KSIĄŻKI „RĘCE W UŚCISKU. RZECZ O SPÓŁDZIELCZOŚCI”,

WARSZAWA 1938

Popularyzować – to znaczy udostępniać „prostaczkom” zdobycze wiedzy, kultury i sztuki, osiągnięte przez elitę duchową świata. Lecz i wśród „maluczkich” powstawały zawsze, a zwłaszcza powstają dziś wartości, które należałoby popularyzować w środowiskach kulturalnie wybranych i uprzywilejowanych. Czynimy to w niektórych wypadkach, na przykład gdy idzie o zdobnictwo czy muzykę ludową, w ogóle o folklor. O, w tej dziedzinie popularyzuje się w tzw. wyższych sferach nawet wartości stworzone przez murzynów. Popularyzuje się również nędzę, niedolę, krzywdę prostego człowieka. Owszem, to czynimy bodajże z pewną lubością, karmimy się tym niby ostrą przyprawą, która lepiej pozwala nam uczuć smak wygod własnego życia. Jakże mało kto jednak uprzytamnia sobie, że w dziedzinie społeczno-gospodarczej, politycznej czy moralnej pojawiają się od czasu do czasu na świecie cenne i twórcze wartości, które ludzkość zawdzięcza prostym i nieuczonym ludziom pracy, podobnie zresztą jak takim samym ludziom zawdzięcza i pierwociny chrześcijaństwa.

Mam tu w tej chwili, oczywiście, na myśli spółdzielczość. I to spółdzielczość nie tylko jako imponujące już dziś życiowe osiągnięcie – od której to strony będziemy jeszcze o niej mówić – lecz spółdzielczość jako pomysł, wynalazek i odkrycie nazwane przez Karola Gide'a cudownym. I w tym słowie nie ma wielkiej przesady. Myśl spółdzielcza jako siła zdolna się urzeczywistniać i przekształcać realne stosunki, to istotnie odkrycie równie ważne i epokowe jak odkrycie Ameryki, jak wynalazek druku i maszyny parowej, czy odkrycie elektryczności.

Odkrycia tej metody gospodarczego działania tak płodnej a tak cudnie prostej, że aż się zdaje niepozorną – dokonali owi niemal już legendarni tkacze z Rochdale. Oczywiście jak wszyscy odkrywcy i wynalazcy drogę mieli przygotowaną, boć świadome próby współdziałania gospodarczego sięgają niemal średniowiecza, a i bezpośrednio przed słynnymi roczdelczykami podejmowano je wielokrotnie, już w bardziej zbliżonym do dzisiejszego znaczeniu. Błądzono jednak, próby się nie udawały, powiodło się dopiero dwudziestu ośmiu robotnikom tkackim, którzy przeszli do historii pod mianem pionierów z Rochdale.

Tradycja owych angielskich tkaczy jest w życiu świeckim niemal tak budująca, jak w życiu religijnym tradycja betlejemskiej stajenki. A porównywać te dwie rzeczy bez obawy

świętokradztwa czy bluźnierstwa można tym bardziej, że nie są one w duchu swym sprzeczne, tak jak zresztą żadna rzecz słuszna i dobra nie może być sprzeczna z myślą przewodnią chrześcijaństwa. Nie jest też bez znaczenia fakt, że obie te manifestacje – pierwsza boskości w człowieczeństwie, druga – człowieczeństwa wśród wilczych zapasów walki wszystkich przeciwko wszystkim – objawiły się „między prostotą”, mówiąc słowami kolędy. A że w momentach dziejowych istnieje jakaś, być może przypadkowa, lecz niemniej przez to tajemnicza symbolika dat i cyfr, nie należy się dziwić, gdy kooperatyści podkreślają z osobliwą satysfakcją, że otwarcie sklepu w Rochdale nastąpiło w wigilię Wigilii Bożego Narodzenia (w roku 1844).

Co do mnie, to przez ewangeliczny duch owej pierwszej kooperatywy spożywców rozumiem nie tylko przenikające ją i praktykowane przez nią ideały miłości, braterstwa i wzajemnej pomocy, ale również i cechujący ją pierwiastek zdrowo-ludowy, aby tak rzec, biblijno-rybacki, tchnący surową prostotą życia, nie pozwalającego sobie na czcze słowa i górnolotne hasła, lecz w milczeniu, ofiarnie i z przekonaniem sprawiającego swą rzecz.

A rzecz miała się tak.

W czasach kiedy uczeni, myśliciele i działacze, pochodzący ze sfer burżuazyjnych, ziemiańskich, a nawet arystokratycznych, wstrząśnięci ogromem nierówności i niesprawiedliwości gospodarczo-społecznej, tworzyli płodne w następstwa teorie socjalizmu, solidaryzmu czy anarchizmu (nie w potocznym – spaczonym, lecz w Kropotkinowskim znaczeniu tego słowa), sami robotnicy wzięli się inaczej do dzieła. Zdrowy rozum, instynkt samozachowawczy i bardzo realna bieda bez wyjścia (która i w Anglii była wtedy zastraszająca) nie pozwalały im czekać na „dojrzewanie starego świata do przewrotu”. Nie chcąc tedy, aby nim słońce wszędzie, rosa im oczy wyjadła, stworzyli niejako praktyczną i pozytywną stronę walki o lepszy byt w postaci związków zawodowych i stowarzyszeń spółdzielczych. Przy czym związki zawodowe miały i mają po dziś dzień charakter niejako obronny, gdy spółdzielczość stała się z biegiem czasu twórczą ofensywą gospodarczą, bynajmniej zresztą nie wojenną.

Trzeba też dodać, że związki zawodowe, mając i bardziej wyrobione tradycje i prostsze zadania na widoku, znalazły sobie od razu właściwą formę organizacyjną i odpowiednie metody postępowania. Kooperacja natomiast szukała swej drogi dosyć długo, nim wreszcie trafiła w sedno rzeczy.

Pierwsze próby i zarysy kooperacji, zarówno teoretyczne, jak praktyczne, podejmowane były przez ludzi z różnych sfer, nikt z nich jednak nie należał ściśle mówiąc do świata robotniczego. Wprawdzie klasyczny „ojciec spółdzielczości”, Robert Owen, pochodził z najuboższych warstw ówczesnej Anglii, był synem wiejskiego krawca i podobnie jak David Copperfield rozpoczął swą karierę życiową jako dziesięcioletni chłopiec od samotnej podróży na koźle dylżansu do Londynu za nauką i chlebem. Lecz jego próba, pierwsza na wielką skalę próba zaszczepienia światu idei kooperacji, podjęta została ściśle według tej samej recepty, jaką zastosował Żeromskiego Ryszard Nienaski. Robert Owen zdobył majątek po to, żeby ofiarować go biednym w postaci słynnego ośrodka spółdzielczego w New Lanark. Tak samo jak Nienaski, działał podług wzoru dawnych szlachetnych i szczodrych panów, ofiarowujących i narzucających niejako dobrodziejstwa reform społecznych. I podobnie jak większość tego rodzaju przedsięwzięć, również piękne dzieło Owena rozsypało się w gruzy, nie zdolałszy przetrwać śmierci swojego założyciela.

Cała ta początkująca spółdzielczość, nie wyłączając Owenowskiej, miała jeszcze jedną właściwość, która ją skazywała na wieczne niepowodzenie.

Wychodząc mianowicie z panującego wówczas (a poniekąd jeszcze i dziś) mniemania, że wytwórczość jest właściwą i najważniejszą dziedziną życia gospodarczego, a także dlatego, że wyzysk pracy najczęściej rzucał się w oczy, starano się zrzeszać robotników nade wszystko jako wytwórców i pracowników. Tworzono tedy pewnego rodzaju fabryki spółdzielcze, których robotnicy byli jedynymi udziałowcami. Wszystkie te przedsięwzięcia upadły bądź z braku kapitału, bądź dlatego, że żadne z nich nie mogło wytrzymać na wolnym rynku konkurencji przedsiębiorstw prywatnych i akcyjnych. Nadto, zamiast łączyć świat robotniczy, stwarzały one tylko pewnego rodzaju oazy wyjątków, zamknięte i uprzywilejowane, acz uprzywilejowane, jak się okazało, jedynie na przelotny kęs czasu.

Te niedogodności zostały spostrzeżone i wnet pojawiła się pierwsza poprawka w interesującym procesie współdziałania. Zorientowano się, że tylko przedsięwzięcia oparte na masowym udziale robotników, a nawet ludności danego kraju, mogą stworzyć siłę gospodarczą, zdolną żyć i opierać się naciskowi świata kapitalistycznego. Trzeba zatem budować na czymś, co jak największą liczbę ludzi łączy. Wytwórczość nie jest taką podstawą. Wprawdzie zespala ona i łączy ludzi bezpośrednio pewną pracą zajętych, ale w dzisiejszym świecie te grupy nie mogą być solidarne, tylko muszą ze sobą ostro współzawodniczyć, walcząc o rynki i podział łupów. Natomiast łączy ludzi spożycie chleba naszego powszedniego. Łączy w tym znaczeniu, że olbrzymia większość każdego społeczeństwa, to nade wszystko spożywcy, z wyjątkiem garści bogaczy, jednako zainteresowani w tym, by możliwie najoszczędniej kupić możliwie najlepsze produkty codziennej potrzeby.

Stwierdzono przy tym ponad wszelką wątpliwość, że masy pracujące każdego narodu wyzyskiwane są nie tylko jako wytwórcy, ale zupełnie w takim samym stopniu jako spożywcy. Mianowicie przez kupców i pośredników handlowych, których interes dokładnie jest od interesu spożywcy odwrotny i polega na tym, żeby możliwie najdrożej sprzedać produkty najtaniej nabyte. Handel i pośrednictwo nęciły zawsze ludzi, jednych ze względu na swój podniecający charakter pewnego rodzaju gry, spekulacji, ryzyka, drugich – jako zajęcie nie wymagające (a przynajmniej zdające się nie wzmaczać) specjalnie twórczego mozółu, a przynosić więcej zysku niż niejedna robota w pocie czoła. Dzięki temu łańcuch pośrednictwa wzrastał niepominiem we wszystkich krajach, a zwłaszcza w biednych, źle zorganizowanych i słabo produkujących, jak choćby w Polsce, gdzie obserwujemy szczególniejszy paradoks – niedorozwój handlu przy niewspółmiernie ogromnej liczbie drobnych sklepików, i pośredników. Łatwo zrozumieć, że im więcej będzie rąk, przez które przejść musi produkt codziennej potrzeby, tym los nieszczęśliwego spożywcy miejskiego będzie cięższy, boć wszyscy owi pośrednicy z niego tylko żyć muszą. Ale nie tylko to. Ciężkim staje się przez nich i los chłopa, który jest na łasce pośredników bardziej niż ktokolwiek bądź inny. Cierpi od nich jako spożywca, gdyż musi w mieście płacić drogo za marny towar z dziesiątej ręki, i cierpi jako wytwórca, gdy dostaje za produkt swojej pracy i swego pola cenę najniższą, podczas gdy ominąwszy pośredników i dotarłszy bezpośrednio do spożywcy, mógłby więcej za swoje plony otrzymać, a to więcej byłoby jeszcze ogromną ulgą i dogodnością dla spożywcy w porównaniu do cen wyśrubowanych przez łańcuch pośrednictwa. Nie dość jeszcze i tego. Bo ciężką staje się w końcu i dola samych nadmiernie rozmnożonych pośredników, a zwłaszcza drobnych sklepikarzy. Im jest ich więcej, tym zażartsza między nimi konkurencja, którą

aby wytrzymać, muszą się uciekać do niesumiennego wyzysku klientów za pomocą fałszowania produktów, złej wagi, zaprawiania dobrych gatunków poślednimi i tysiącami podobnych zabiegów, zbyt znanych, aby je tutaj wyliczać.

Uniknąć złych skutków systemu prywatnego pośrednictwa udaje się jedynie drobnej garści bardzo wielkich firm handlowych i przemysłowych, a nie daje się ono boleśnie we znaki tylko bardzo zamożnym spożywcom.

Trzeba dodać, że sklepikarze i drobni pośrednicy nie zawsze i w słabym jedynie stopniu są wszystkim złym stronom handlu prywatnego osobiście winni. Jak w każdym środowisku, tak i wśród nich znajdowało się zawsze wielu dzielnych i osobiście uczciwych ludzi. Ale... taki był powstały z mnóstwa złożonych przyczyn system i takie, wynikające z niego, konieczności życiowe.

Postanowiono się tedy obejść bez takiego systemu. W sklepie spółdzielczym stowarzyszeni na wspólny rachunek zaopatrują się bezpośrednio u hurtownika. W ten sposób kupujący stają się swoimi własnymi sprzedawcami. A kupując u samych siebie, nie mają żadnego interesu w tym, żeby samych siebie wyzyskiwać w rzeczy cen, czy też oszukiwać na wadze albo na dobroci produktu.

Skoro jednak żąda zysku, jak osądzono, wyrządza światu i człowiekowi niepowetowane szkody moralne, przyczyniając się nadto do tak niesprawiedliwego rozdziału dochodów społecznych, więc ci pierwsi spółdzielcy skasowali w ogóle zysk handlowy, to znaczy tę część obrotu, którą kupiec po opędzeniu wszystkich kosztów (a w tym i kosztów utrzymania rodziny) chował do swojej kieszeni. Rozdzielali między siebie nabyte u hurtownika towary, płacąc po cenie kosztu. W ten sposób mieli wszystko znacznie taniej, niż od kupców prywatnych, każdy poszczególnie odczuwał błogą doraźną ulgę w swym głodowym w owe czasy budzenie, ale stowarzyszenia przynosiły straty i wegetowały tylko marnie bez żadnych widoków na jakikolwiek rozwój. Nie mówiąc o tym, że były zwalczane bezwzględnie i skutecznie przez sklepikarzy jako nieuczciwa konkurencja.

Dopiero tkacz z Rochdale – i w tym jest rewolucja, którą przynoszą – pierwsi znaleźli radę na ten niepomysłny stan rzeczy. A w każdym razie byli pierwszymi, którym się całkowicie powiodło.

A oto, jak się wzięli do rzeczy. Postanowili sprzedawać po cenach rynkowych, czyli takich, które zawierają w sobie i dawny zysk kupca – pośrednika. Ale gdy w kapitalistycznym przedsiębiorstwie udziałowym zysk ten byłby dzielony między akcjonariuszy w stosunku do włożonych udziałów, spółdzielcy przyjęli całkiem inną zasadę zużytkowania osiągniętych nadwyżek. Wychodząc mianowicie z założenia, że do rozkwitu sklepu przyczynia się najwięcej nie ten, kto ma najwięcej udziałów, ale ten, kto w nim najwięcej kupuje, postanowiono wypłacać dywidendę każdemu ze stowarzyszonych w stosunku do poczynionych przez niego w ciągu roku zakupów. Na miejsce premiowania kapitału wprowadzono tedy premiowanie człowieka, jego wierności i lojalności wobec własnego stowarzyszenia, jego zasługi wobec dobrowolnie wybranej zbiorowości.

Wszystko to było jedynie rozwinięciem przedtem już obowiązującej klasycznej zasady spółdzielczości, że kapitałowi należą się tylko normalne odsetki, ale poza tym nie może on się stawiać ani źródłem przywilejów, ani narzędziem wyzysku. Z tej zasady, będącej kamieniem węgielnym spółdzielczości i odróżniającej ją dobitnie od spółek akcyjnych, wynikała przyjęta dla ogólnych zgromadzeń dewiza: – Jeden człowiek – jeden głos.

Z konieczności przestrzegania tej zasady, a razem zapewnienia spółdzielniom normalnych warunków rozwoju zrodziła się także i nowa metoda podziału dochodu społecznego, stwarzanego przez obroty spółdzielni z członkami. Ta nowa metoda nie znaczy, naturalnie, samego tylko zwracania członkom tego, co nadpłacili, kupując w spółdzielni po cenach rynkowych. Gdyby spółdzielnia zwracała członkom całą uzyskaną w obrotach z nimi nadwyżkę, to nabrałaby może w ich oczach pewnego rodzaju atrakcyjności skarbonki, z której – ciekawi, cośmy też naskładali – wyjmujemy akurat wszystko, cośmy włożyli; pozostałaby jednak taką tylko skarbonką, pęczniejącą najwyżej wszere, ale bez możliwości rozwinięcia podjętego dzieła. Stan rzeczy nie różniłby się wiele od tego, co było w pierwotnych kooperatywach, zrzekających się w ogóle zysku. Roczdeńska metoda podziału zysków była jednak znacznie bardziej życiową. Członkom zwracano tylko część osiągniętej nadwyżki. Drugą zaś część przeznaczano na kapitał zapasowy i na fundusz społeczny, czyli na rozbudowę przedsiębiorstwa i rozwój ruchu spółdzielczego. W ten sposób dokonano, aby tak powiedzieć „sublimacji zysku”, który miał odtąd zasilać nie tylko poszczególnych członków „zwrotami od zakupów”, ale nade wszystko służyć oszczędzonym funduszem społecznym wspólnemu dobru swobodnie zrzeszonej zbiorowości.

Wszystko to przyniosło w niedługim czasie bardzo doniosłe wyniki. Zastosowanie cen rynkowych wzmocniło znacznie pozycję sklepów spółdzielczych wobec handlu prywatnego. Co więcej, w miarę nabierania sił pozwoliło spółdzielniom wywierać pewien wpływ na słuszny poziom cen i zapobiegać nieusprawiedliwionym skokom także na rynku prywatnym. Zwroty od zakupów uczyniły z każdej spółdzielni automatyczną kasę oszczędności, działającą w sposób, o którym spółdzielcy mówią, że w ich sklepach oszczędza się nie o przez odejmowanie sobie od ust, ale na odwrót, przez wydawanie pieniędzy i rozszerzanie swych potrzeb. Zwroty od zakupów podniosły, oczywiście, znacznie wierność członków. Skoro za każdym nabytkiem we własnym sklepie dokładano automatycznie parę groszy do przyszłych „zwrotów”, starano się też możliwie najrzadziej „zdradzać” spółdzielnię na rzecz bliżej czasami położonych sklepików prywatnych.

Spółdzielnia w przeciwieństwie do większości ludzkich poczyniń ma to do siebie, że jedno dobro pociąga w niej za sobą drugie dobro, a interes osobisty harmonizuje w niej tak osobliwie z dobrem ogólnym, jakby tragizm wiecznego konfliktu w tej dziedzinie był tylko wynikiem bezradnego nieporozumienia, tu na koniec szczęśliwie wyjaśnionego i zażegnanego. Bo członkowie, zaopatrujący się możliwie najwierniej w swojej kooperatywie, zwiększają nie tylko własne przyszłe „dywidendy”, ale zwiększają i obroty spółdzielni, a tym samym zwiększają też „zasób społeczny” przeznaczony, jak się rzekło, na rozwój ruchu. Zużytkowanie części czystych nadwyżek na ten właśnie cel otworzyło przed spółdzielczością rozległe horyzonty, a widok szybkiego rozrastania się i doskonalenia wspólnych przedsięwzięć podniósł z kolei niezmiernie bezinteresowność i uczucia społeczne stowarzyszonych. Przestają oni dążyć li tylko do swej doraźnej korzyści w postaci zwiększania dorocznych „zwrotów”. Przeciwnie, coraz liczniejsze kooperatywy uchwalają raczej obniżenie dywidend, niektóre zrzekają się ich nawet całkiem na jakiś czas, byle tylko zasilić jak najwydatniej fundusz społeczny, zdolny udostępniać tysiącom biedaków korzystanie z dóbr, jakich na własną rękę żaden z nich nigdy by nie osiągnął. I karmiący ich nie mamidlami obiecanek, ale rzeczywistą poprawą bytu i poważnymi widokami na coraz lepszą przyszłość.

Proces ten zaczął się w chwili, gdy wszystkie spółdzielnie, które poszły za wzorem tkaczy z Rochdale, spostrzegły, że rozporządzają „funduszem społecznym”, pozwalającym na

coś więcej niż rozszerzanie działalności sklepów istniejących lub otwieranie nowych. Pojawiła się tedy myśl założenia połączonymi siłami stowarzyszeń – wspólnej hurtowni, aby tak samo jak uczyniono to już z zyskiem sklepikarzy, zachować i zużytkować na ogólne dobro – zysk hurtownika. I oto mamy nowe piętro spółdzielczości spożywców, na którym jednak nie poprzestano. Bo hurtownia spółdzielcza, będąca wobec należących do niej sklepów ściśle tym samym, czym sklepy wobec swoich członków, stała się wkrótce również skarbcem znacznego i wciąż rosnącego funduszu społecznego. Nastręczyło się w sposób nieuchronny pytanie, dlaczego w takim razie nie zachować w łonie wciąż potężniejącej „rzeczpospolitej spółdzielczej” haraczu, płaconego wciąż jeszcze prywatnym fabrykantom? W ruchu spółdzielczym nie ma czczych słów. Tedy zabrano się do rzeczy, i wnet okazało się, że o ile dawne spółdzielnie wytwórcze produkujące na wolny rynek nie mogły wytrzymać konkurencji przemysłu prywatnego, to fabryki, zakładane przez hurtownie stowarzyszeń spożywców, opłacają się i rozwijają doskonale. A tajemnica ich powodzenia jest równie prosta, jak odkrycie tkaczy z Rochdale. Hurtownia spółdzielcza produkuje nie na wolny rynek – nieprzewidywany i zależny od przypadkowych koniunktur, lecz na zorganizowany, pewny i obliczalny rynek stowarzyszeń spożywców. Zatem w małym tylko stopniu bać się może ryzyka (tak bardzo podbijającego ceny produkcji), współzawodnictwem zaś może być zagrożona tylko wtedy, gdyby nie zdołała sprostać gustom swoich odbiorców, co rzadko się zdarza, gdyż rynkowi tak dobrze sobie znanemu nietrudno jest dogodzić.

W taki to sposób działając, Angielska Hurtownia Spożywców, która powstała w r. 1863, a do własnej produkcji przystąpiła w r. 1872, stała się z biegiem czasu największym przedsiębiorcą wytwórczym Anglii. Łącznie z hurtownią szkocką posiada ona dziś 227 fabryk z blisko 50 tysiącami robotników. Większość tych fabryk już przed wojną, kiedy je zwiedzałam, była imponująco urządzona nie tylko technicznie, lecz także pod względem higieny i estetyki. Hurtownia owa już wtedy posiadała własne wagony, statki handlowe, kopalnie węgla i plantacje kolonialne. Dziś, gdy dokonywa ona około 120 milionów f. szterl. obrotu rocznego i zaopatruje ogromną społeczność siedmiu i pół miliona członków, a opiera się na spółdzielniach, mających obrotu 220 milionów f. szt. rocznie, jej przedsiębiorstwa wytwórcze przedstawiają się zapewne jeszcze bardziej wspaniale.

Rozpoczęcie własnej produkcji postawiło jednak przed spółdzielczością spożywców pewne specjalne zagadnienie, mianowicie zagadnienie pracy najemnej.

Będąc wyznawczynią poglądu, że człowiek nie powinien być wyzyskiwany przez drugiego człowieka i wiedząc, że praca najemna bywa wszędzie na świecie terenem największego wyzysku, hurtownia angielska (a za nią inne hurtownie spółdzielcze) długo nie mogła rozstrzygnąć, jaki ma być jej stosunek do robotników, zatrudnianych przez jej zakłady przemysłowe. Próbowano ich zrobić współwłaścicielami fabryk hurtowni, wprowadzano bony, które miały im zwracać część zysków, osiągniętych przez produkcję danej fabryki i które mogły być następnie realizowane bądź w sklepach spółdzielczych, bądź w inny sposób. Wszystkie te środki, mające zapobiegać wyzyskowi robotników i zapewniać im udział w sprawiedliwszym podziale dochodu społecznego, okazywały się z najrozmaitszych powodów niedogodne lub niepraktyczne. Ostatecznie kwestia ta pozostaje teoretycznie otwartą do dziś dnia. W praktyce jednak we wszystkich niemal krajach zarzucono system bonów i bezpośredniego udziału robotników w zyskach fabryk spółdzielczych. Wszędzie natomiast zakłady te starają się zapewnić robotnikowi możliwie najlepsze warunki pracy i płacy, pozo-

stawiając jednak w mocy system najemny. Przy czym jego zachowanie motywuje się w taki sposób, że każdy robotnik może być jednocześnie członkiem poszczególnej związkowej spółdzielni, a tym samym – współwłaścicielem przedsiębiorstw hurtowni, korzystającym z dobrodziejstw kooperacji w tym samym stopniu, co wszyscy stowarzyszeni. A jeśli jest najemnikiem – powiada się – to jest nim u samego siebie. Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się to załatwieniem sprawy tak całkiem na czysto i dokładnie. Bo gdy inni członkowie dają spółdzielni korzyści, płynące z ich siły nabywczej i otrzymują w zamian równoważne pożytki, to członkowie spółdzielni, będący jednocześnie robotnikami jej zakładów przemysłowych, przynoszą jej nadto korzyści, płynące z ich siły wytwórczej. I za tę część zasług, dla wspólnego dobra podejmowanych, nie mają pozornie żadnego równoważnika. Mówię pozornie, bo w gruncie rzeczy równoważnikiem – poza warunkami pracy i płacy, o których napomknęmy jeszcze później – jest jednak poczucie, że się pracuje nie dla prywatnej kiesy, lecz dla dobra ogółu, do którego się samemu należy. Mnie ta satysfakcja, o ile nie byłaby złudzeniem, wystarczyłaby za wiele innych rzeczy. Mam wrażenie – oparte na tym, co widziałam – że wystarcza ona i większości robotników przemysłu, prowadzonego przez kooperację spożywców. Tak czy owak wyjście to na razie okazało się dla obu stron dogodne. Jeśli mimo to, niestety, zatargi między spółdzielczością spożywców a jej pracownikami zdarzają się, możemy przecie śmiało powiedzieć, że o ile w przemyśle prywatnym są one zjawiskiem codziennym, to w przemyśle spółdzielczym obserwujemy je tylko wyjątkowo.

Rozszerzając wciąż swoją produkcję, spółdzielczość spożywców musiała prędzej czy później trafić na zagadnienie wytwórczości rolnej. Z początku zdawało się, że hurtownie spożywców będą mogły i tę dziedzinę produkcji wziąć w swoje ręce. Ściślej mówiąc, zdawało się tak Anglikom i angielska hurtownia próbowała tej drogi. Zakupiła kilka folwarków, by mieć z nich własne dostawy dla swoich stowarzyszeń. I kiedy przed samą wojną zwiedzałam wielką spółdzielnię spożywców w dzielnicy londyńskiej Woolwich, to zaproszono mnie tam do sali jadalnej pracowników na obiad, którego wszystkie potrawy pochodziły z własnych przedsiębiorstw rolnych Angielskiej Hurtowni Stowarzyszeń Spożywców.

Niebawem jednak okazało się, że ten sposób zaopatrywania spółdzielczości miejskiej w produkty rolne nie jest najbardziej celowy, a nade wszystko, że produkcja rolna w większości krajów europejskich wymaga całkiem innego rodzaju spółdzielczości. Ten inny rodzaj stworzyli najliczniejsi mieszkańcy wsi, chłopci, oczywiście, nie angielscy, gdyż Anglia w porównaniu z innymi krajami chłopów prawie że nie ma. Ale jak, dzięki gospodarce opartej na robotniku przemysłowym, stała się ona pionierką kooperacji spożywców, tak znów kraje, oparte głównie na rolnictwie i to rolnictwie chłopskim, stały się pionierami w dziedzinie spółdzielczości rolnej. Wzięto się zaś do rzeczy, organizując to, co w wielkim przemyśle tak całkowicie zawiodło, mianowicie spółdzielcze zrzeszenia wytwórcze i przetwórcze. Dokładniej mówiąc – zrzeszenia warsztatów rolnych, do czego drobna własność rolna wybornie się nadała.

Spółdzielnie rolników rządzą się ściśle tymi samymi zasadami, co spółdzielnie spożywców. Są tak samo zrzeszeniami dobrowolnymi, otwartymi dla wszystkich, a opartymi na solidarności, braterstwie i wzajemnej pomocy stowarzyszonych w myśl pięknego zawołania „Jeden za wszystkich – wszyscy za jednego”. Obowiązuje w nich tak samo zasada zniesienia supremacji kapitału i podziału dochodów nie w stosunku do ilości wniesionych udziałów, lecz w stosunku do wartości dokonanych ze spółdzielnią transakcji zakupu czy sprzedaży płodów rolnych lub hodowlanych. W związku z tym przestrzegana jest, ma się rozumieć, na

zebraniach ogólnych i zasada – jeden człowiek, jeden głos, nie pozwalająca na zmajoryzowanie spółdzielni przez tych, którzy by chcieli nimi rządzić li tylko z tytułu swych osobistych możliwości finansowych. Takie stawianie sprawy nie czyni, naturalnie, spółdzielczości pociągającym interesem dla ludzi gustujących w tym, żeby pracowały na nich jedynie ich pieniądze. Czyni ją natomiast w najwyższym stopniu dobrym interesem dla tych, co umieją ze spółdzielnią rzetelnie współpracować, zbywając w niej swe produkty lub czyniąc w niej swe zakupy. A że takich ludzi okazało się na świecie ogromnie dużo, więc ich skromne (zwrotne w razie wystąpienia) udziały składają się na dostatecznie wielki kapitał zakładowy, a ich obroty są dla spółdzielczości wystarczającą rękojmią powodzenia i rozwoju.

W krajach rolniczych o wysokiej kulturze spółdzielczość wiejska wkroczyła niemal we wszystkie dziedziny potrzeb i wytwórczości włościan i obejmuje swymi organizacjami często większość drobnych warsztatów rolnych. Pochód owej spółdzielczości zaczyna się najczęściej od kas pożyczkowo-oszczędnościowych, które są tak doniosłe i pomocne nie tylko w gospodarce indywidualnej, ale i przy powstawaniu dalszych form wiejskiego współdziałania. Owe zaś dalsze formy to nade wszystko spółdzielcze mleczarnie, maślarnie i serowarnie. Po nich, albo też równolegle z nimi zaczyna się rozwijać spółdzielcza organizacja zakupu maszyn rolniczych, narzędzi, nawozów sztucznych, nasion i pomocy gospodarskich. Obok nich rozwijają się spółki zbytu płodów rolnictwa, ogrodnictwa i hodowli, na koniec spółdzielnie specjalnie, takie jak spółdzielcze młyny, rzeźnie, elektrownie wiejskie, krochmalnie, przetwórnice owoców, suszarnie warzyw, pasieki i jako najmłodsza latorośl kooperacji wiejskiej – spółdzielnie zdrowia.

W krajach, gdzie spółdzielczość wiejska należycie jest rozwinięta, dokonała ona zupełnego przewrotu w poglądach na drobną własność rolną, którą zarówno pravicowe konserwatywne, jak lewicowe socjalistyczne sfery wszędzie uważały długo za raczej upośledzoną formę gospodarki. Przewrotu owego dokonali, rzecz prosta, nie sama tylko ideologia czy propaganda spółdzielcza, lecz ogromne sukcesy życiowe, jakie zostały na tej drodze osiągnięte.

Kooperacja rolnicza wydobyła z gospodarstw chłopskich siły, których nikt się w nich widzieć nie spodziewał, a kraje, gdzie umiano ją rozpowszechnić, wysunęły się na czoło przodujących w rolnictwie i handlu rolniczym. Rzecz przy tym charakterystyczna, że najpiękniej umiały ją rozpowszechnić bynajmniej nie wielkie mocarstwa, lecz małe liczbą narody jak Dania, Holandia, Czechosłowacja, Szwajcaria, Łotwa, Estonia, Finlandia, Szwecja, Norwegia. Mimo woli nastrocza się uwaga, że większość wymienionych tu nazw oznacza kraje nadbałtyckie, przodujące także w kooperacji spożywców, a nawet w ogóle w dziedzinie kultury życia zbiorowego. Wobec nieobliczalnego chaosu, w jaki zdaje się pogrążyć reszta Europy, przychodzi na myśl, że kto wie, czy to nie ze surowych krain bałtyckich wyjdzie nowa cywilizacja, odradzająca świat i człowieka. Podobnie jak niegdyś ożywcym źródłem cywilizacji były słoneczne ziemie śródziemnomorskie.

Spółdzielczość rolnicza rozwija się jednak oczywiście nie tylko w krajach nadbałtyckich i w ogóle małych, ale słabiej lub silniej wszędzie, gdzie tylko chłop ziemię orze. Na oczach dwu tylko pokoleń wyrósł cały olbrzymi nowy świat gospodarczy z chłopskiej spółdzielczości zrodzony. W samych krajach Europy bez Rosji Sowieckiej mamy dziś 205.000 kooperatyw rolnych, zrzeszających z górą 20 milionów gospodarstw, co stanowi 66% wszystkich drobnych warsztatów rolnych naszego kontynentu.

Wspomnieliśmy tu, że zasady spółdzielczości rolników i spożywców są te same. Z pozoru wygląda to na jakiś paradoks. Bo jakże te same zasady i takie same instytucje mogą służyć zu-

pełnie sprzecznym interesom. Dziecko przecież chyba wie, że drobnemu wytwórcy rolnemu iść musi o to, żeby produkty swej pracy po najlepszej cenie sprzedać, a ubogiemu spożywczy miejskiemu idzie znów o to, żeby te właśnie produkty wiejskie możliwie niedrogo kupić.

Ale ta przepaść sprzecznych interesów między wsią i miastem wydaje się tak istotną i nieprzebytą tylko ludziom, co myślą kategoriami starego świata. Bo najpierw ta przepaść jeśli nie jest całkiem pozorna, to w każdym razie jest w znacznej części stworzona, podtrzymywana i potęgowana przez kapitalistyczny system wolnego handlu i jego nieodrodne dziecię – nadmierny przerost pośrednictwa. Potem zaś – żądza uzyskania najniższych czy najwyższych cen, jakkolwiek istnieje, nie jest znów takim jedynym i bezwarunkowym pragnieniem ani u wiejskiego wytwórcy, ani u miejskiego spożywczy. A w każdym razie przestaje nim być stopniowo. Zwłaszcza jeśli będziemy mieli na uwadze bardziej twórczą i uświadomioną część ludności pracującej, to drobnym rolnikom i drobnym spożywcom idzie nade wszystko o to, żeby – z jednej strony wytworzyć i sprzedać, z drugiej – nabyć i spożyć produkty możliwie najlepsze i po cenach możliwie słusznym. I oto, żeby dochód społeczny, z tych czynności gospodarczych powstający, nie rósł z niczyją krzywdą i szedł o ile możności na użytek ogółu tych wszystkich, co się do niego przyczynili.

Otóż to właśnie uzyskuje się, stosując zasady spółdzielcze tak samo przy organizacji wspólnego zbytu płodów albo przetworów drobnego rolnictwa, jak i przy organizacji wspólnego zakupu artykułów codziennej potrzeby, aby wymienić tylko dwa główne pnie spółdzielczości, mającej już dziś mnóstwo pobocznych rozgałęzień. Jeśli jeszcze dodamy, że oba te typy spółdzielczości uciekają od pośrednictwa, że drobni zrzeszeni wytwórcy szukają bezpośrednio spożywczy, a zrzeszeni spożywczy – bezpośrednio wytwórcy, to w końcu obaj ci poszukiwacze muszą się z sobą spotkać we wspólnym interesie. Aby rzecz wyłożyć bardziej poglądowo, przypuśćmy, że cena korca kartofli na rynku detalicznym jest 6 zł. Daleko od tych rynków mieszkający chłop sprzedaje owe kartofle pośrednikowi najwyżej za 2 lub 3 złote, a oddalony od owego chłopu spożywcza kupuje ten sam korzec od ostatniego z kolei pośrednika za 6 zł. Natomiast spółdzielnia zbytu płodów rolnych, mająca bezpośrednią łączność ze spółdzielnią spożywców, sprzedaje jej te same kartofle po 4 albo 4 i pół złotego, a spółdzielnia spożywców sprzedaje je swoim członkom po 4 i pół albo po 5 złotych. W ten sposób wytwórcy uzyskują ceny wyższe niż dotąd, spożywczy nieco niższe niż dotąd, zysk wynikły z tej transakcji zostanie w majątku spółdzielni, a sprzeczność interesów między miastem a wsią stanie znacznie złagodzona. Z pozoru idzie tu o drobne grosze, lecz przy transakcjach na wielką skalę biorą się z tego wielkie sumy, oszczędzone przez spożywcę, zdobyte przez wytwórcę i nadto jeszcze wzbogacające zasób społeczny, umożliwiające rozrost tej akcji tak pożytecznej dla ogółu ludności. Wprawdzie na razie, zwłaszcza u nas, kooperacja rolników zbywa jeszcze przeważnie swe produkty na wolnym rynku i nie zawsze obywateli się bez pośredników, nie zawsze dociera bezpośrednio do spożywczy a zwłaszcza do zrzeszeń spożywców, które ze swej strony nie zawsze też docierają bezpośrednio do wiejskiego wytwórcy. To jest jednak ich ideałem, do tego dążą. I hurtownie spożywców, gdy tylko spostrzegły, jak wielkim dobrodziejstwem dla ludności wiejskiej są zrzeszenia drobnych warsztatów rolnych, zarzuciły niemal zupełnie angielską próbę prowadzenia folwarków rolnych na własny rachunek. Starają się natomiast wszędzie, gdzie to jest możliwe, zaopatrywać swe sklepy w produkty rolne, pochodzące bezpośrednio ze spółdzielni wiejskich.

Aby zakończyć ten przydługi rozdział, rzućmy jeszcze okiem na parę cyfr, dotyczących wszystkich rodzajów ruchu spółdzielczego na całym świecie¹². Otóż według statystyki z r. 1931, od którego to czasu rzeczy te posunęły się znacznie jeszcze naprzód, we wszystkich krajach świata bez Rosji Sowieckiej istniało wtedy 405361 stowarzyszeń spółdzielczych, które liczyły 69 milionów 500 tysięcy członków. Rosja, której świetnie się przed wojną zapowiadający ruch spółdzielczy uległ w związku z jej totalizmem państwowym ogromnym wypaczeniom i daleki jest dziś od naszych pojęć o dobrowolnym, demokratycznym współdziałaniu, na ogół nie jest dziś wliczana o statystyk spółdzielczych. Ponieważ jednak pewnym niekorzystnym przeobrażeniem i nadmiarowi kontroli biurokratycznej uległ ruch spółdzielczy również w paru innych państwach totalnych, takich jak Niemcy czy Włochy, które są tu jednak wliczone, więc dla orientacji zaznaczymy, że według oficjalnych liczb sowieckich na terenie tego państwa znajduje się jakoby 325879 kooperatyw z łączną liczbą 95 milionów 462 tysięcy członków.

Tak czy owak rzesza spółdzielców jest już na świecie olbrzymia, siła zaś materialna tego ruchu jest równie imponująca. Według cyfr, przytoczonych przez M. Rapackiego i J. Jasińskiego, kapitał obrotowy spółdzielczości we wszystkich krajach bez Rosji Sowieckiej wynosi przeszło 25 miliardów złotych. Aby tę cyfrę ocenić – powiada M. Rapacki – wystarczy przypomnieć „że cały budżet państwowy Rzeczypospolitej Polskiej nie przekracza 2 miliardów, a cały majątek państwa polskiego oceniany jest na piętnaście miliardów złotych”.

Są to cyfry najbardziej ogólne. Szczegóły znajdzie czytelnik w pracach, których tytuły przytoczyłam na początku tej książeczki i na których odpowiedzialność powyższą statystykę przytaczam. Danych o spółdzielczości nie brak zresztą w naszej publicystyce. Polska literatura spółdzielcza jest ponoć jedną z bogatszych i piękniejszych, jakie istnieją. Całkiem niewspółmiernie bogata w stosunku do samego ruchu, który, niestety, jak to niebawem zobaczymy, skromne dosyć – acz dla nas i tak bezcenne – zajmuje na świecie miejsce.

Dodam na koniec, że spółdzielczość nie poprzestaje na samej tylko organizacji spożycia i wytwórczości warstw pracujących. Jej ogromne, wciąż rosnące kapitały społeczne pozwalają nadto zakładać banki spółdzielcze, wszelkiego rodzaju instytucje ubezpieczeniowe dla członków i pracowników, pozwalają im też prowadzić szeroko pomyślaną akcję kulturalną, oświatową i wydawniczą. Szkoły, kursy spółdzielcze, kolonie letnie, domy wypoczynkowe i ludowe, odczyty, filmy, naukowe instytuty, prasa fachowa i popularna, książki teoretyczne i broszury propagandowe stanowią dorobek myśli spółdzielczej praktycznej oraz badawczej, który skutecznie wychowuje typ nowego światłego człowieka i obywatela. Dorobek, uzupełniający te zdobycze duchowe, które przynosi sam już tylko udział w stowarzyszeniach spółdzielczych, będących wszędzie i zawsze wzorową szkołą niezależnego humanitarnego myślenia, samorządu oraz inicjatywy i sprawności gospodarczo-społecznej.

12 Cyfry podane tutaj posiadają znaczenie wyłącznie orientacyjne. Obejmują one przy tym zarówno spółdzielczość zrzeszoną, jak i spółdzielczość niezrzeszoną w Międzynarodowym Związku Spółdzielczym (przyp. aut.)

STANISŁAW THUGUTT

INNI LUDZIE

„SPÓLNOTA” NR 14 Z 1932 R. [ZA:] WYBÓR PISM I AUTOBIOGRAFIA

STANISŁAWA THUGUTTA, WARSZAWA 1939

„Inni to musieli być ludzie w Rochdale (Roczdel) niż gdzie indziej”, tak zaczyna swoją piękną historię pionierów spółdzielczości Holoyake (Holioak). Niewątpliwie byli inni. Gdyby wszyscy to chcieli rozumieć i pamiętać, inaczej by dziś na pewno było na świecie. Otóż dlaczego inni?

Nie byli bogatsi od innych. Kiedy młodej spółdzielczości trzeba było dopomóc pożyczką, najbogatszy z nich zdobył się na 5 funtów (160 złotych) – nazwano go milionerem.

Nie byli wykształceni. Dziwiono się, że potrafili sami sporządzać protokoły swoich posiedzeń i prowadzić swoje rachunki.

Nie zajmowali żadnych stanowisk wybitnych. Poza spółdzielczością jeden z nich zaledwie dobił się stanowiska radnego miejskiego.

Nie zaczęli w dobry czas. Założyli swoją spółdzielnię po przegranym strajku i wśród takiej nędzy, że w trzydziestotysięcznym mieście około półczwarta tysiąca ludzi zarabiała mniej niż 3 zł 20 gr tygodniowo.

Nikt im nie pomagał. Nikt się nimi nie opiekował. Chwilę otwarcia ich kramiku powitał szyderczy wybuch śmiechu z „szalonych tkaczy”. Później dopiero przyjeżdżali do nich z podziwem i uznaniem profesorowie, posłowie, księżęta, później, kiedy już stanęli mocno na nogach.

Czymże więc byli „inni”? Tym, że wierzyli w jakiś ideał i tym po wtóre, iż sobie zadali nadludzki bez mała trud, żeby ten ideał uczynić rzeczą żywą, namacalną, dla każdego dostępną. Po 10 czy 12 godzinnej pracy poświęcali swój czas i swoje siły, żeby wśród śmiechu i drwin, przeszkód i nienawiści budować lepszy świat. Słusznie ich Holoyake nazywa „sumieniem robotniczym”.

Mieli odwagę i mieli wytrwałość, której nic nie mogło ugiąć ni złamać. Robili błędy, z których zawsze umieli wyciągnąć naukę. Szli naprzód jak woda, która musi znaleźć sobie ujście. Mieli w sobie spokojną nieprzemogłą siłę. Co większa, mieli w sobie do końca – w nędzy i potem w bogactwie – poczucie obowiązku. Nigdy ani cienia samolubstwa. Wszystko, co robili, robili dla wszystkich, żeby ich wyrwać z niewoli nędzy, z pohańbienia, ciemnoty.

Byli inni, i my dziś inni jesteśmy. Jakkolwiek dziś jest źle, nie powie nikt, że oni pracowali, walczyli i zwyciężali w lepszych warunkach. Różnica jest ta tylko, że oni byli „sprawiedliwymi”, którzy szukali dobra, a dziś ludzie, ogarnięci samolubstwem, zachowują się jak tchórze, walczący o wyjście z palącego się domu, choćby po trupach.

Gdybyśmy ich czcili nie tylko ustami, ale sercem i naśladownictwem, byłoby inaczej i lepiej.

MARIAN RAPACKI

WSPÓŁDZIAŁANIE ORGANIZACJI ROLNICZYCH Z ORGANIZACJAMI SPOŻYWCÓW

„SPOŁEM” NR 21/I932

W początkach bieżącego roku pisma Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej podały następującą wiadomość: „Przed Senacką Komisją do Spraw Rolnictwa w Stanach Zjednoczonych stanął w ubiegłym tygodniu p. John Simson, prezes Związku Farmerów Stanów Zjednoczonych i przedstawiając najzupełniej wyczerpujące dowody, zeznał, co następuje: W. B. Estes, farmer z Littleton, Colorado, wysłał do firmy A. A. Blakely Comp. w Denver siedem jagniąt, które zostały sprzedane firmie Swift & Co za 3 dol. 30 cent. Od sumy tej potrącone mu zostały 2 dol. 55 cent. za ubezpieczenie, nadzór i prowizję firmy Blakely, a pozostałe 75 centów wypłacono mu za jego siedem jagniąt. (Czek ten przedstawił p. Simson Komisji Senackiej).

Po przejściu jagniąt do rąk firmy Swift & Co, farmer Estes prosił Departament Rolnictwa Stanów Zjednoczonych o ścisłe przeprowadzenie dochodzeń, co się dalej z jego jagniętami stało, aż do momentu, kiedy dostały się one do rąk konsumentów jako żywność. Departament po ścisłym przeprowadzeniu dochodzeń stwierdził, że konsumenci za powyższe siedem jagniąt zapłacili razem 83 dolary 70 centów.

„Jadąc tutaj, dodał p. Simson w końcu, zapłaciłem w wagonie restauracyjnym za dwa kołtety jagnięce 85 centów, tj. o 19 centów więcej, niż Estes otrzymał za swoje siedem jagniąt”.

Prasa amerykańska dodaje zwykły w tych wypadkach komunał: komentarze zbyteczne.

A jednak życie domaga się komentarzy. Życie domaga się wyciągnięcia wniosków z tego jaskrawego może, ale jednak charakterystycznego przykładu tego, co się dzieje nie tylko w Ameryce, ale i na całym świecie, i u nas w Polsce, w stopniu, przeciętnie biorąc, wyższym jeszcze, niż gdzie indziej.

Życie stawia przed nami pytania i domaga się ich rozwiązania pod grozą nieobliczalnych skutków dla całego kraju i jego ludności.

Dlaczego na wsi, w niektórych okolicach kraju rolnik otrzymuje za litr mleka 7-8 groszy, a w Warszawie litr lichego mleka kosztuje 40-45 groszy? Dlaczego drobny rolnik na targu w małym miasteczku otrzymuje za swoje żyto niemal połowę tylko tej ceny, za którą sprzedaje to żyto na giełdzie warszawskiej wielki kupiec zbożowy?

Dlaczego rolnik oddawać musi dwie całe duże gęsi za sumę, którą płaci konsument za mały kawałek gęsiny w restauracji wielkomiejskiej?

Rozumiemy dobrze, że od chwili wyjścia produktu z rąk rolnika-producenta do chwili otrzymania go przez konsumenta w stanie gotowym do użytku powstaje szereg kosztów, świadczeń i usług, które muszą być wynagrodzone, że trzeba opłacić transport, przeróbkę, magazynowanie itp. żeby jednak producent – rolnik osiągał za swój produkt niejednokrotnie piątą lub jeszcze mniejszą część tego, co za ten produkt płaci konsument, to to w żadnej mierze nie może być uzasadnione. Coś tu jest nie w porządku w naszym aparacie rozdzielczym. Coś, co stwarza wielki ciężar, kładący się na barki z jednej strony rolnika – producenta, z drugiej miejskiego konsumenta.

W obliczu tych ciężarów sprzeczne, zdawałoby się, interesy rolnika-producenta, który za produkt swej pracy chce uzyskać najwyższą cenę, i konsumenta w mieście, który rad by zań jak najmniej zapłacić – stają się na raz solidarne: rolnik widzi, że nie konsument płaci mu za jego produkt nadmiernie niską cenę. Konsument zaś stwierdza, że nie rolnikowi płaci za swoją strawę codzienną cenę nadmiernie wysoką. Widzą oni, że między nimi zjawia się kosztowny aparat pośrednictwa, którego ciężar spoczywa na barkach ich obu. Udoskonalenie tego aparatu, zmniejszenie jego kosztów leży we wspólnym interesie rolnika i konsumenta.

Nie dość jest uświadamiać sobie solidarność swych interesów i przyczyny wspólnych ciężarów. Trzeba pamiętać, że „z wiary naszej – wola nasza, z woli naszej – czyn nasz będzie”. Trzeba, ażeby mur, rozdzielający rolnika od konsumenta, przez podanie sobie dłoni poprzez ten mur – stał się mostem zgody i porozumienia między oboma warstwami pracującymi – wiejską i miejską i żeby one obie zrozumiały, że ten, kto chce je powaśnić – pragnie je wyzyskać.

Oczywiście, nie ma mowy o tym, ażeby poszczególny rolnik-producent wchodził w porozumienie z pojedynczym odbiorcą-konsumentem przy pomocy jakiejś skrzynki do listów w piśmie miejskich i wiejskich i przesyłał mu swoje produkty paczką żywnościową wraz z zapewnieniami swojej przyjaźni. Obie strony muszą być zorganizowane. Stosunki zaś gospodarcze muszą być nawiązywane bezpośrednio między organizacjami rolników i konsumentów. Ze strony rolników musi to być organizacja zbytu, ze strony konsumentów – organizacja zakupu.

Można przypuszczać, że jedną z przyczyn trudności, w jakich znalazły się nasze spółdzielnie rolniczo-handlowe w obecnym kryzysie, jest to, że zbyt wielką wagę przywiązywały do zakupu potrzebnych rolnikowi artykułów, a zbyt małą do zbytu jego produktów. Nawet biorąc pod uwagę olbrzymie rozbieżności struktury gospodarczej, liczby podawane dla obrotu produktami rolnymi przez organizacje spółdzielcze dla zbytu farmerów amerykańskich będą tutaj wymowną ilustracją. Prezydent Federal Farm Board takie liczby podaje dla roku podatkowego 1930/31: wartość ogólna produktów sprzedawanych przez organizacje spółdzielcze farmerów w Stanach Zjednoczonych wynosiła w powyższym roku olbrzymią sumę 2400.000.000 dolarów (dwa miliardy, czterysta milionów dolarów, tj. około 22 miliardów złotych). Ilość farmerów zorganizowanych w spółdzielniach zbytu wynosiła: w spółdzielniach zbytu żywca 297000; zboża – 250000; produktów mleczarskich – 166000; bawełny – 160 tys.; owoców i warzyw – 56000; wełny – 41700; drobiu – 28500; tytoniu – 13000; różnych produktów – 87800.

Niestety, w Stanach Zjednoczonych tej potężnej organizacji zbytu po stronie rolników nie odpowiada równie potężna organizacja zakupu po stronie konsumentów. Przeciwnie – ruch spółdzielczy spożywców jest tam zaledwie w powijkach i czyni dopiero pierwsze kroki na drodze swego rozwoju.

Podobnie przedstawia się sytuacja w Kanadzie. Tam natomiast nastąpiło w ostatnich latach jak najściślejsze zbliżenie pomiędzy wielkimi organizacjami zbytu farmerów kanadyjskich a potężną angielską organizacją spożywców. Wymiana wizyt zarówno przywódców obu ruchów w tych krajach, jak i fachowców w zakresie obrotu poszczególnymi artykułami doprowadziła tam do ścisłego porozumienia, które w najbliższych latach wyrazi się na pewno miliardowymi sumami obrotu pomiędzy obu organizacjami spółdzielczymi, jak to ma już miejsce obecnie w stosunkach ruchu angielskiego z organizacjami spółdzielczymi rolników duńskich i nowozelandzkich.

Doświadczeni i praktyczni przywódcy angielskiego spółdzielczego ruchu spożywców prędko spostrzegli się, że doktryna integralności spółdzielczości spożywców jest, na razie przynajmniej, nierealna. Prowadzenie przez spółdzielnie spożywców farm rolnych, zresztą na małą skalę, dało wyniki ujemne. W 1924 r. na Międzynarodowym Kongresie Spółdzielczym w Gandawie wysunięty został program współpracy organizacji spółdzielczych producentów i konsumentów. W Sztokholmie w 1927 r. doznał on bliższego sprecyzowania w referacie przywódcy ruchu szwajcarskiego, B. Jaeggi. Linią przewodnią jego tezy jest organizowanie się drobnych rolników jako wytwórców w spółdzielniach zbytu i ich centralach, zbywających swe produkty centralom spółdzielni spożywców, oraz organizowanie się zarówno rolników, jak i konsumentów miejskich w spółdzielniach zakupu (spożywców), które by dostarczały rolnikom nie tylko artykułów spożycia, jak i innym konsumentom, ale i artykułów potrzebnych im w produkcji rolnej (nawozów sztucznych, narzędzi rolniczych, nasion itp.).

Innymi słowy, kanałami dopływu towarów na wieś powinny być, zdaniem Jaeggi, spółdzielnie spożywców, kanałami odpływu produktów rolnictwa ze wsi – spółdzielnie rolników dla zbytu produktów, pozostające przez swe centrale w bezpośrednim związku z krajowymi i zagranicznymi centralami spółdzielni spożywców.

Jest rzeczą jasną, że dobrze zorganizowana spółdzielcza organizacja zbytu produktów rolnych, będąca w stałym i bezpośrednim kontakcie z silną i rozgałęzioną organizacją spółdzielczą spożywców – to najidealniejsze rozwiązanie problemu racjonalizacji wymiany pomiędzy wsią i miastem, to znaczne zredukowanie jej kosztów i zgodne podzielenie uzyskanej stąd różnicy pomiędzy drobnego rolnika-producenta i spożywcę w mieście.

Stąd też palącą potrzebą chwili w Polsce staje się dzisiaj:

1. stworzenie silnej spółdzielczej organizacji zbytu produktów rolnych;
2. rozszerzenie i wzmocnienie sieci spółdzielczej organizacji spożywców zarówno na wsi, jak i w mieście;
3. zawarcie stałej umowy przez centrale obu tych organizacji na dostawę – odbiór określonych produktów rolnych;
4. zawarcie stałych umów przez centrale spółdzielcze zbytu produktów rolnych z centralami spółdzielczymi spożywców zagranicą celem eksportu tamże nadmiaru produktów rolnych; ułatwienie odbioru artykułów kompensacyjnych (herbata, kawa, korzenie itp.).

WERBOWANIE CZŁONKÓW

„SPOŁEM” NR 3/1932

Od najdawniejszych czasów za najlepszy sposób łączenia i bratania ludzi uznawano wspólne ucztowanie. Przy przekształcaniu materii i stosunków, w produkcji i polityce, występują kolizje sprzecznych interesów. Przy spożywaniu przyjemność ma przewagę nad przykrością, antagonizmy słabną, ludzie stają się bardziej towarzyskimi. Stąd wniosek, że organizacja spożycia może być ogniskiem solidarności i ogarnąć szersze koła ludności niż jakakolwiek inna organizacja. Przemawia za tym i ekonomia.

Produkcja jest tym zjawiskiem gospodarczym, na które ekonomia najwcześniej zwróciła uwagę; ale już w połowie zeszłego stulecia wielu ekonomistów zaczęło wyodrębniać grupę zjawisk, dotyczących spożycia jako końcowego aktu produkcji. Ostatecznie celem produkcji jest przekształcenie materii na użyteczności, stanowiące źródło trwałego czy przejściowego zadowolenia ludzi. Dlatego czynnik ludzki w odróżnieniu od czynników mechanicznych zajmuje coraz ważniejsze miejsce w ekonomii. W życiu gospodarczym siłą nadającą ruch są potrzeby ludzkie, ulegające ciągłym zmianom.

Okresy wielkiej pomyślności, po której następuje wielkie osłabienie życia gospodarczego, powtarzają się co pewien czas we wszystkich cywilizowanych krajach. Chociaż różnią się w swoich przejawach pod względem intensywności i trwałości, w istocie są podobne w swoich zasadniczych cechach. Główną przyczyną kryzysu jest brak równowagi pomiędzy produkcją a konsumpcją, nadmierny rozwój konsumpcji albo spadek produkcji.

Przy niezorganizowanej produkcji i niezorganizowanej konsumpcji niepodobna przewidzieć, jak ułoży się stosunek podaży do popytu, czy wszystko wyprodukowane znajdzie nabywców, niepodobna uniknąć strat i marnotrawstwa, wynikających z oparcia produkcji na mniej lub bardziej zmyślnym zapotrzebowaniu, nie odpowiadającym rzeczywistym siłom nabywczym ludności.

Względy ekonomiczne, tak samo jak etyczne, mające na widoku rozwijanie w ludziach szczerości i towarzyskości, wskazują na wielkie znaczenie organizacji spożycia.

W sporach na temat roli producentów i konsumentów w życiu gospodarczym do niedawna przeważało zdanie, że ważniejsze jest dobre wytwarzanie niż dobre spożywanie, wytwórca – to pszczoła, a spożywca – truteń. Są to odgłosy uprzedzeń, opartych na starych podręcznikach ekonomii. Przy tym należy pamiętać, że człowiek jest bardzo skomplikowa-

nią istotą o wielostronnym zainteresowaniu i podział na wytwórców i spożywców może wyodrębnić tylko różne czynności tych samych osób. Wszyscy ludzie są spożywcami, różnią się tylko udziałem w różnych procesach produkcji.

W istocie nie chodzi o to, kto nad kim ma panować, tylko o osiągnięcie równowagi w życiu gospodarczym przez uzgodnienie produkcji z konsumpcją. Bez organizacji osiągnąć tego niepodobna.

Dla uwydatnienia znaczenia naszej pracy organizacyjnej przytaczam kilka zdań mądrych ludzi.

Profesor ekonomii, A. Marshall: „Trzeba koniecznie spożycie skierować na takie tory, żeby zwiększyć znaczenie spożywców”.

John Ruskin: „Mądre spożywanie jest daleko ważniejsze, niż mądre wytwarzanie. Zagadnienie życia zarówno każdej oddzielnej jednostki, jak i całego narodu, polega nie na tym, ile on wytworzy, lecz na tym, na co te wytwory zostaną użyte”.

Erazm Majewski: „Nie wszyscy rozumiemy, iż tajemnica potęgi gospodarczej nie leży w samej oszczędnej twórczości, ale w większej mierze w oszczędnym używaniu. Obcy nam jest zmysł oszczędności, jak również organizacji sił twórczych. Trudno też obrachować, ile corocznie tracimy na ten drodze, ale to pewna, że tylko w tej otchłani toną siły nasze”.

Profesor Karol Gide: „Celem zakładania spółdzielni spożywców, z naszego punktu widzenia, jest nie tylko tworzenie środka oszczędności, albo udoskonalonego mechanizmu wymiany, albo ośrodka ekonomicznej wiedzy, albo ogniska solidarności – wszystko to jest dobre, ale jest jeszcze coś wyższego: jest to stworzenie nowego organu w organizmie społecznym, który by po raz pierwszy obdarzył głosem, pragnieniem i świadomością ten bezkształtny i bierny tłum, to stado baranów, nie umiejących nawet beczeć, nazywających się spożywcami”.

Jeżeli nawet teraz, przy panującej anarchii w spożyciu, spożywców mają pewien wpływ na życie ekonomiczne, to jaką byłaby ich potęga, gdyby wszyscy byli zorganizowani w spółdzielnie i federacje, mieliby swoje składy hurtowe wspólnych zakupów, wytwarzaliby niezbędne dla nich produkty w swoich własnych warsztatach!”

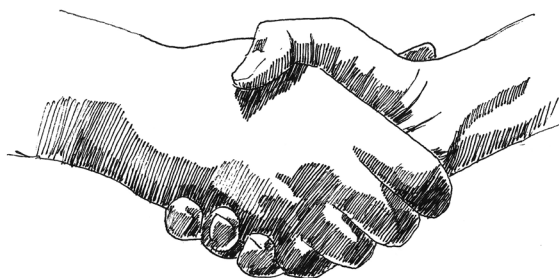
O potrzebie i znaczeniu organizacji spożywców mówiliśmy już dosyć. Na konferencjach okręgowych i w „Społem!” (Nr. 4, 7, 8, 18) podane były najlepsze sposoby werbowania członków. W tym celu powołano wydziały społeczno-wychowawcze w spółdzielniach, rady okręgowe, instruktoriat propagandowy w Warszawie, gdzie zawsze otrzymać można potrzebne wskazówki praktyczne. Cała sprawa sprowadza się więc do rzetelnego wykonania otrzymanych wskazówek. Materiału ludzkiego nie brak – w sklepach naszych prawie połowa obrotu pochodzi z zakupów nie członków. Gdyby każdy członek zarządu, rady nadzorczej i pracownik spółdzielni uważał za swój obowiązek zwerbować choćby tylko jednego członka na miesiąc, naszej organizacji byłby zapewniony wzrost o 150000 osób rocznie.

Statystyka lat ostatnich wskazuje, że przypływ nowych członków do spółdzielni był dotąd dziełem raczej przypadku, niż planowo prowadzonej akcji organizacyjnej. W 1925 roku przybyło 37000 członków, w 1926 r. – 25000, w 1927 r. – 15000, w 1928 r. – 18000, w 1929 r. – 23000, w 1930 r. – 17000. Jest 10 takich spółdzielni, które w ciągu jednego roku potrafiły podwoić liczbę swoich członków, ale w połowie spółdzielni przypływ nie pokrywa liczby występujących albo wykreślonych, jako „martwych”, i w rezultacie ogólne zestawienie wykazuje zmniejszenie liczby zorganizowanych spożywców. Poza małą aktywnością władz

i pracowników spółdzielni jedną z przyczyn osłabienia ruchu asocjacyjnego w Polsce jest rozbudzenie przesadzonych nadziei co do roli państwa i usuwania przez nie wszystkich trudności. Sprzyja to lenistwu społecznemu i osłabia rozwój instytucji samopomocy. Marshall, opisując splot nieszczęść, jakie dotknęły Anglię na początku zeszłego stulecia, dodaje: „a co najgorsza, została przyjęta metoda pomagania biednej ludności, która podkopała niezależność i siłę ludu”. Na szczęście, nie na długo.

Naród polski, otoczony przez państwa agresywne, może istnieć jedynie opierając się na silnej samopomocy społecznej i silnym uczuciu narodowym. Z odzyskaniem niepodległości nie skończyła się rola patriotycznej inteligencji polskiej, nie zastąpi jej żadna biurokracja. Jak dawniej, tak i teraz trzeba z niesłabnącą energią rozwijać akcję samopomocy i jednania członków dla spółdzielni, pamiętając, że „dla innych narodów spółdzielczość jest tylko siłą dalszego rozwoju społecznego w kierunku sprawiedliwości, dla nas zaś jest jeszcze czymś więcej, bo jest także siłą obrony narodowej, siłą, mogącą ustrzec przed zagładą i zniszczeniem” (słowa Abramowskiego).

SPÓŁDZIELNIA
SOCJALNA.
CHCIEĆ WIĘCEJ
DLA INNYCH



SPÓŁDZIELNIA DALBA. WYŻSZA PÓŁKA ODPOWIEDZIALNOŚCI SPOŁECZNEJ

Spółdzielnia Dalba jest jedną z wielu spółdzielni socjalnych w Polsce, ale aktualnie jedyną, która postanowiła zająć się warzeniem piwa. Prowadzony przez Dalbę Browar Spółdzielczy w Pucku to także pierwszy browar spółdzielczy w Polsce i szósty na świecie zatrudniający osoby z niepełnosprawnością umysłową. Browarnictwo nie kojarzy się z sektorem społecznym, ale słuchając i obserwując działania Agnieszki Dejny i Janusza Golisowicza, nie można oprzeć się wrażeniu, że w tym wypadku praca ma przede wszystkim charakter terapeutyczny. Spółdzielnia zatrudnia 12 osób niepełnosprawnych intelektualnie, które pracują przy produkcji i przy pracach pomocniczych. Cały zysk przeznaczany jest na reintegrację społeczną.

Dalba jest spółdzielnią osób prawnych. Formalnie jej założycielami są Miasto Puck, Gmina Krokowa i Puckie Stowarzyszenie Wspierające Osoby Niepełnosprawne Umysłowo „Razem”, prowadzące Warsztaty Terapii Zawodowej. Jednak głównymi motorami spółdzielni jest wspomniana dwójka menadżerów, którzy w krótkim czasie stworzyli jedną z najbardziej oryginalnych i ambitnych firm. Pod względem jakości produktu, marketingu, jakości organizacji może śmiało konkurować ona z najlepszymi browarami rzemieślniczymi w Polsce, a pod względem społecznej odpowiedzialności wobec swoich podopiecznych i lokalnej społeczności zostawia w tyle wiele zakładów pracy chronionej z wieloletnim doświadczeniem.

Spółdzielnie inwalidów kojarzą się przede wszystkim z wykonywaniem prostych, powtarzalnych czynności. Myśląc o pracy osób niepełnosprawnych w wykonaniu większości warsztatów terapii zajęciowej (WTZ) czy spółdzielni socjalnych, często myślimy o nie zawsze dobrej jakości rękodziele, usługach porządkowych czy wykonywaniu prostych przedmiotów. Janusz Golisowicz, jeszcze jako kierownik puckich WTZ, chciał dla swoich podopiecznych czegoś po-

nad to, bo doskonale wiedział, że „jego chłopaków” stać na więcej. Pomysł na warzenie piwa wydawał się początkowo nieosiągalny, szczególnie że żadne z pomysłodawców nie znalazło się wtedy na browarnictwie. Jednak determinacja i pasja pomogły przezwyciężyć setki problemów organizacyjnych, prawnych i finansowych.

Inicjatywa Janusza i Agnieszki łamie stereotypowe podejście do osób z dysfunkcjami, udowadniając, że ludzie ci są w stanie pełnoprawnie funkcjonować w społeczeństwie. Założycielom nie chodziło tylko o stworzenie miejsc pracy dla osób wykluczonych z rynku. Chcieli stworzyć wyjątkowe miejsce, gdzie praca będzie dodatkową terapią, przedsięwzięcie, w którym stanowiska pracy będą dostosowane dla osób niepełnosprawnych intelektualnie i będą wymagały od nich dodatkowego rozwoju i wysiłku. **„Chcemy w ten sposób złamać taki stereotyp, że «owszem, grabie tak, ale już nic bardziej ambitnego».** Z doświadczenia pracy z naszymi chłopakami, którzy uczą się już kapslować i etykietować, wychodzi na to, że jednak można. Trzeba po prostu włożyć w to więcej pracy i serca” – mówi Agnieszka Dejna¹³.

Takie podejście do osób wykluczonych zasługuje na szczególne uznanie w czasach, w których spółdzielnie inwalidów, mające status zakładów pracy chronionej, reklamują się możliwością „optymalizacji kosztów” i uzyskiwania zniżek na PFRON¹⁴, a firmy trafiające do rankingów najbardziej odpowiedzialnych i etycznych przedsiębiorstw w Polsce mają zatrudnienie osób niepełnosprawnych na poziomie niecałego procenta. Mimo że o społecznej odpowiedzialności biznesu, wartościach społecznych, wolontariacie pracowniczym itd. mówi się coraz więcej, to jednak jeśli weźmiemy te inicjatywy pod lupę, zza marketingowej otoczki wyłania się zawsze ta sama chęć maksymalizacji zysku. Profesjonalnych firm, bo tak można śmiało powiedzieć patrząc na poczynania Browaru Spółdzielczego, które w swoim działaniu nie kierują się chęcią zysku ponad wszystko, jest w Polsce bardzo niewiele. Warto więc przyrzec się, jak działa Dalba i do jakich sięga wzorców.

O browarze spółdzielczym opowiada Agnieszka Dejna

Muszę Was rozczarować. Powołując do życia Spółdzielnię Socjalną Dalba, nie zastanawialiśmy się w ogóle nad „korzeniami” przedsiębiorczości społecznej. Jedyna idea, jaka nam przyświecała, to chęć wprowadzenia konkretnej zmiany na lepsze w życiu grupy osób z niepełnosprawnością intelektualną i psychiczną.

Z jednej strony towarzyszyła nam frustracja Janusza, że w organizacji (Puckie Stowarzyszenie „Razem” – przyp. red.), którą współtworzy od 16 lat, nie ma żadnej chęci do zmiany, jest stagnacja i marazm, urzędowy „minimalizm” skoncentrowany na zarządzaniu dotacją na prowadzenie WTZ; z drugiej strony moja potrzeba zmiany tego, co robiłam wcześniej, wyrwanie się z matni projektów, dotacji, papierów, klepania po plecach, politycznej i koleżeńskej zależności na każdym poziomie działalności organizacji społecznych.

W oboju z nas niezależnie, bo pracowaliśmy w różnych miejscach, narastało przekonanie, że działanie na podstawie dotacji do niczego dobrego nie prowadzi. Organizacje będące na takim

13 „Najbardziej nietypowy browar w Polsce” <http://www.nadmorski24.pl/aktualnosci/21831-najbardziej-nietypowy-browar-w-polsce.html> (dostęp: 29.11.2015)

14 Porównaj np. <http://www.swit.com.pl/pfron/> (dostęp: 29.11.2015)

państwowym „zasiłku” nigdy nie będą samodzielne i niezależne. Natomiast otwierając przedsiębiorstwo społeczne możemy połączyć misję społeczną ze swobodą działania i prowadzenia takiej aktywności (w tym również terapii), która w danej sytuacji jest najbardziej sensowna.

Dwie podstawowe wartości, jakie nas definiują to: po pierwsze swoista autarkia, poleganie na samym sobie i nieustanne dążenie do niezależności, po drugie – bardzo mocne pilnowanie społecznego aspektu naszej działalności. Mając kontakt z innymi przedsiębiorstwami społecznymi, na przykład spółdzielniami socjalnymi, takimi, które są biznesowo udane, dobrze działają i zarabiają pieniądze, widzimy, że na pytanie o to, co robią w ramach swojej misji społecznej, nie potrafią wiele powiedzieć, a niektórzy ograniczają się do stwierdzenia „przecież byliśmy bezrobotni, a teraz mamy pracę”.

Mimo tego, że dopiero niedawno wystartowaliśmy z produkcją i sprzedażą piwa, prowadzimy obecnie trzy duże projekty społeczne, w znacznej mierze finansowane z własnych środków. Gdybym chciała podejść do tego jak wiele znanych mi spółdzielni, czyli w sposób formalny, to nie musielibyśmy nic zrobić. Spółdzielnie socjalne zobowiązane są do przeznaczania części swoich zysków na cele społeczne. Jeśli jednak tych zysków nie ma, to mogą uznać, że nie muszą w żaden sposób się wysilać. My mieliśmy w zeszłym roku dużo inwestycji, więc księgowo zamknęliśmy rok na stracie. Moglibyśmy więc uznać, że nie stać nas na finansowanie działań społecznych. Uważam jednak, że taka sytuacja nie zwalnia nas z odpowiedzialności za misję firmy, przyjęte na początku założenia i naszych pracowników.

Dla nas ważny jest przede wszystkim rozwój człowieka pozostającego pod naszą opieką. W przypadku osób z niepełnosprawnością intelektualną nie wystarczy dać im pracy. Trzeba także pracować ze społecznością lokalną, w której taka osoba funkcjonuje oraz z jej rodziną. 90% naszych pracowników nie miało na początku dostępu do pieniędzy, które u nas zarabiali. Okazało się, że ich rodziny pasożytowały na ich zarobkach, uzurpując sobie prawo do całkowitego decydowania, na co będą przeznaczone te pieniądze. To jest odzieranie tych ludzi z godności, a mało kto widział w tym jakiegokolwiek problem. Wiadomo, że część tej pensji musi trafić do domowego gospodarstwa, ale jeśli nasi pracownicy nie będą mieli nawet kieszonkowego, to nigdy się nie usamodzielnią. Potrzebują takiego stałego treningu, bo jak nie nauczą się korzystania z pieniędzy, nie uzyskają nawet cienia niezależności. To trudna praca zarówno nad naszymi podopiecznymi, jak i ich rodzinami i sąsiadami.

Pojąć głębie

Wychodzimy z przekonania, że nie da się zbudować wartości człowieka poprzez ciągłe zasiłkowanie, niezależnie w jakiej postaci. Czujemy się odpowiedzialni za nasz zespół i wiemy, że samo zorganizowanie im pracy i wypłacanie pensji nie pomoże im w przełamaniu barier społecznych. Dlatego realizujemy projekty, które pokazują chłopakom inny świat i podnoszą ich poczucie wartości. Chcemy pokazać im, że mogą robić rzeczy wyjątkowe i że w żaden sposób nie są „upośledzeni” czy wykluczeni. Są to czasami proste pomysły, jak wyjazd na kajaki czy żeglowanie, ale ostatnio porwaliśmy się na bardzo trudne przedsięwzięcie, czyli projekt „Pojąć głębie” – innowacyjny program nurkowania o charakterze terapeutycznym i rehabilitacyjnym, wzmacniającym niezależność osób niepełnosprawnych.

Jak ekipa dowiedziała się, że będzie nurkować, to przed pierwszym wyjazdem część osób odmówiła wejścia do samochodu, który miał nas zawieźć na zajęcia. Zachowałam się

wtedy bardzo niespółdzielczo, powiedziałam im, że wyrzucę ich z pracy, jeśli nie wsiądą do auta i nie pojadą nurkować. Po drugim wyjeździe nie mogę się opędzić od ich pytań, kiedy będzie kolejny wyjazd. Poczuli, że robią coś absolutnie wyjątkowego. Nurkowanie, jakby na to nie patrzeć, zalicza się do sportów ekstremalnych, a oni nie tylko nurkują, ale uczestniczą w projekcie, który przygotowuje ich do uzyskania stopnia nurka niepełnosprawnego, co jest przedsięwzięciem pionierskim. Kiedy nasz projekt się zakończy, to takie kursy na stopień nurka niepełnosprawnego będą organizowane na całym świecie. Oni czują, że to jest coś wyjątkowego, że niezależnie od tego, czy ludzie zaszukadają cię jako „debila”, to możesz pokazać, że potrafisz robić rzeczy, o których im się nawet nie śniło. To są główne założenia naszej spółdzielni. Po to ją założyliśmy, żeby łamać schematy i wprowadzać w życie związanych z nami ludzi – aż boję się teraz użyć tego sformułowania – „dobrą zmianę”.

Myślimy o tym, żeby w przyszłą zimę zabrać ich na narty. Są oczywiście ludzie, którzy pytają: „a nie możecie ich po prostu zabrać pod namiot?”. No więc nie. Nie możemy. Wychozimy z założenia, że mamy dać im coś innego, wyjątkowego, co będzie katalizatorem zmiany, coś, co udowodni im, że mogą żyć inaczej, a namiot, tudzież łóżko polowe albo karimatę to oni mają na co dzień w domu. Jak chcesz zapewnić wyjątkowe przeżycia dzieciakowi z bogatej rodziny, to nie umieszczasz go w pałacu, tylko wysyłasz na survival, albo właśnie pod namiot, żeby zobaczył inne życie. Więc u nas jest odwrotnie. Spółdzielnia ma zarabiać na tyle dobrze, żeby stać nas było, by takiego naszego „Kowalskiego” zabrać do czterogwiazdkowego hotelu czy do SPA, bo tego nikt inny mu nie zapewni. I tylko wtedy będzie mógł poczuć się wyjątkowy.

Górna półka

Staramy się robić wszystko na jak najwyższym poziomie. Nasze piwo, mimo że jesteśmy młodym browarem, już dziś uchodzi za napój „z górnej półki”. Nie oszczędzamy na surowcach i jakości produkcji. To samo dotyczy naszej odpowiedzialności za niepełnosprawnych. Z niektórymi Janusz związany jest od wielu lat. Nie chodzi nam o to, żeby zapewnić im „jakąś egzystencję” i integrację, tylko żeby te „usługi” były na jak najwyższym poziomie.

Dlatego w kanonie naszych wartości, nawiązując do klasycznych wartości spółdzielczych, najwyżej stawiamy autonomię ekonomiczną. Uważam, że ona jest kluczem do wszystkiego. Bez niej nie ma mowy ani o demokracji, ani o niezależności, ani o niczym innym. Ważna jest też dla nas działalność na rzecz społeczności lokalnej. Czujemy, że to co robimy, nie jest naszą prywatną inicjatywą, ale jesteśmy coś winni społeczności, wśród której działamy. Spółdzielnia jest formalnie inicjatywą międzygminną, pośrednio więc jesteśmy związani z lokalnymi mieszkańcami. Dlatego w miarę możliwości wspieramy też szkołę czy uczestniczymy w lokalnych imprezach.

Zdecydowanie najmniej istotne w naszym przypadku są zasady demokratycznej kontroli. Dla mnie demokracja kończy się na poziomie walnego zebrania, które ma za zadanie wytyczać kierunek i kontrolować zarząd. Bieżące decyzje należą do zarządu, bo na tym właśnie polega zarządzanie. Na podejmowaniu decyzji i na braniu za nie odpowiedzialności. Tylko od etosu osób zarządzających zależy, co uznają za priorytet i jak zdefiniują swoją odpowiedzialność za powierzone im zadania. My uznaliśmy, że nie będziemy warzyć tylko piwa. Naszym mottem jest „piwo, które warzy więcej”, bo tak naprawdę warzymy także zmianę w ludzkim życiu.

ŚLADAMI PIONIERÓW ODPOWIEDZIALNOŚCI SPOŁECZNEJ

Przykład Dalby i Browaru Spółdzielczego dobrze ilustruje zasadę, którą twórca „Nowego Liskowa”, ks. Wacław Bliziński, wskazał jako fundament sukcesu każdego przedsiębiorstwa społecznego: „Kiedy inicjator – społecznik będzie liczył, że damy na to, jakaś podróż, książka, zebranie dużo kosztuje, a może żal mu groszy na znaczek do listu, to taki niech się nawet do rzeczy nie bierze, bo praca społeczna zysku nie przynosi, przeciwnie, od początku wymaga ofiar.” Sukces w gospodarce społecznej zależy, zdaniem autora, „przede wszystkim od osobistej ofiarności inicjatora czy inicjatorów takiej pracy”.

Ta ofiarność objawia się przede wszystkim w odpowiedzialności i wytrwałości w dążeniu do wprowadzania zmiany społecznej. To różni przedsiębiorców społecznych od właścicieli „zwykłych” firm: dla tych pierwszych pieniądź zawsze będzie tylko środkiem do wyższego celu, a nie celem samym w sobie. Takie podejście oznacza też, że zysk nie może być wypracowany poprzez wyzysk czy oszczędzanie na pracownikach. Taka postawa jest jednak bardzo rzadka, nawet wśród osób zarządzających spółdzielniami.

We współczesnych podręcznikach zarządzania coraz silniej podkreśla się wagę „kapitału ludzkiego” i konieczność inwestowania w kompetencje i zadowolenie swoich pracowników. Warto wiedzieć, że pionierami takiego myślenia byli spółdzielcy, dla których hasło „człowiek – najlepsza inwestycja” było sprawą oczywistą na sto lat przed wymyśleniem Europejskiego Funduszu Społecznego. Przypomina o tym anonimowy artykuł z pisma „Społem” z 1930 roku. Podobne wątki pojawiają się także w prezentowanym wcześniej opowiadaniu Jana Wolskiego. Opisana w pierwszym rozdziale historia Heńka, któremu koledzy ze spółdzielni kupili kożuszek, przypomina, że spółdzielczość to przede wszystkim ludzie. Każda złotówka wydana na pracownika i członka przyniesie w dłuższej perspektywie korzyści dla wszystkich. Pracownik spółdzielni jest częścią spółdzielczej rodziny, dlatego należy pamiętać o nim nie tylko, kiedy jest „zdolny do świadczenia pracy”, ale także dbać o jego wypoczynek, zdrowie, rodzinę. Dlatego przypominamy także tekst Janiny Świećkickiej „W sprawie lotnisk” opowiadający o tym, jak przedwojenni spółdzielcy postanowili wykorzystać zasadę kooperacji do wspólnego organizowania wakacji dla swoich rodzin.

Spółdzielców można również wskazać jako pionierów coraz bardziej popularnej społecznej odpowiedzialności biznesu – ale takiej z prawdziwego zdarzenia, nie sprowadzającej się do deklaracji czy kilku akcji robionych przez firmy na pokaz. Wspieranie osób słabszych, wykluczonych, budowanie dobrych relacji z pracownikami i lokalną społecznością, tworzenie przedsięwzięć o charakterze ekonomicznym, dzięki którym rozwija się

lokalna kultura czy sport, nie musi być traktowane jako altruizm i filantropia, ale jako istotny element strategii organizacji. Wczytując się w prezentowane dalej artykuły można śmiało wskazać, mówiąc współczesnym żargonem – że pionierzy spółdzielczości potrafili doskonale dbać o kluczowe elementy budowania relacji z klientami.

*{ Korzyść materialna była wszędzie pierwszą dźwignią
w rozwoju kooperatyw i z niej dopiero podnosiła się
ta wyższa temperatura społeczna, którą kooperatywa
ma wytwarzać.*

(Stanisław Wojciechowski)

PRACA I PRACOWNICY W SPÓŁDZIELNI

BEZ ODPOWIEDNICH PRACOWNIKÓW NIE MA ROZWOJU SPÓŁDZIELNI

ANONIMOWY ARTYKUŁ, „SPOŁEM” NR 9/1930

Doświadczenie uczy, że bez wykształconego fachowo i spółdzielczo personelu – spółdzielnie rozwijać się nie mogą. Mimo tak oczywistej prawdy, kadry naszych pracowników – pozostają pod względem kwalifikacji na poziomie mocno niedostatecznym. Przeciętny pracownik spółdzielczy odbiega daleko od ideału, jaki byśmy pragnęli widzieć w spółdzielniach. Zamiast szybować śmiało i górnio do celu, z rozpiętymi szeroko skrzydłami, zamiast kształcić umysł, pogłębiać wiedzę zawodową, hartować wolę i konsekwentnie, z całą świadomością dróg i środków wywalczać rozwój i doskonalić działalność spółdzielni – pracownik taki tkwi apatycznie na wytkniętym mu odcinku pracy, ciesząc się lub trapiąc, w zależności od wysokości przypadających nań poborów.

Pracownik, bez względu na zajmowane stanowisko, nie będący jednocześnie spółdzielcą – jest mało pożyteczny w ruchu. Ponieważ od samych pracowników zależy, czy praca ich przynosić ma korzyści lub straty – przeto pracownik nieuświadomiony o wartości pracy spółdzielczej i odpowiedzialności za jej wyniki – najczęściej jest mało produktywny.

To, że nie posiadamy dotąd ogółu odpowiednich i przygotowanych spółdzielczo pracowników, jest winą systemu, jaki do zagadnienia pracy stosujemy. Dobór ludzi na stanowiska w spółdzielniach jest przypadkowy, lub zgoła niewłaściwy. Niejednokrotnie otrzymują posady, zwłaszcza odpowiedzialniejsze i lepiej płatne – osobnicy protegowani lub ustosunkowani. Nierzadko podobny system obsadzania posad jest przyczyną strat, a w parze z tym idzie podrywanie zaufania do instytucji spółdzielczej. Za mało zwraca się uwagi na stopień przygotowania fachowego i poziom moralny kandydatów, co mści się później.

Nie do pomyślenia jest fakt, aby ktoś nieobeznany z prawami mechaniki podjął się prowadzenia pociągu w roli maszynisty. Takiego śmiałka czekałoby ciężkie kalectwo lub śmierć. W spółdzielniach jednak spotyka się często, że za kontuarem sklepu stawia się człowieka, nie mającego zgoła żadnego pojęcia o handlu, właściwościach towarów, nieobeznanego z wagą, cenami, techniką sprzedaży, zamawianiem i przechowywaniem towarów, rodzajem zapotrzebowania i życzeniami klienteli. A skutek z tego taki, że obroty maleją, kupujących ubywa, odpisy i straty na zepsutych towarach nadmiernie wysokie, manka wyzerowane itd. Pracownik takiego typu prowadzi spółdzielnię do katastrofy. Faktem jest, że

olbrzymia większość spółdzielni załamanych lub wręcz zlikwidowanych upadła z racji nieodpowiedniego tak pod względem fachowym, jak i moralnym doboru pracowników.

Nagrobkiem dla takich spółdzielni mógłby być napis: „Zniszczone rękami nieodpowiednich pracowników”.

Praca w spółdzielni musi oznaczać więcej niż fizyczny wysiłek. Aby była twórcza, pożyteczna i owocna, wymaga nie tyle energii cielesnej, ile zapału, inteligencji i rozumu. Koń, który tylko rozporządza siłą, ma dziś konkurenta w postaci samochodu czy pługą motorowego. Za pewnik można przyjąć, że spółdzielnia posiadająca źle dobrany personel – zostanie pokonana przez konkurenta, dysponującego wyćwiczoną i zgraną obsługą.

Nie towar, lecz pracownik, jest wartością przedsiębiorstwa

Trzeba przyznać, że handel prywatny zdaje sobie sprawę ze znaczenia, jakie posiada dla przedsiębiorstwa odpowiedni personel. Większe firmy bardzo starannie dobierają pracowników i drogą kursów pragną ich kształcić i wychować współpracowników, zainteresowaniem rozwojem przedsiębiorstwa. Każdy rozsądny pracownik magazynów zdaje sobie sprawę, że nie kapitał ulokowany martwo w towarach, lecz inteligentny pracownik – jest wartością firmy, gdyż on to przez umiejętną sprzedaż realizuje właścicielom zyski.

Pracowników w spółdzielniach należy otoczyć troskliwą opieką. Nade wszystko zaś zając się ich doksztalcaniem. Pieniądże włożone na podniesienie wiedzy fachowej i spółdzielczej pracowników – nie będą stratą. Przeciwnie, nakład taki będzie najlepiej pomyślaną inwestycją. Ze szkoleniem pracowników nie można zwlekać, ani oglądać się, aż tam kiedyś pozwolą warunki. Nie tylko w szkole specjalnie przystosowanej do potrzeb – lecz na drodze samokształcenia – można osiągnąć dobre rezultaty. Niech w każdej spółdzielni będzie biblioteka fachowo-spółdzielcza dla użytku pracowników. Niech będą pisma spółdzielcze przez personel czytane. Niechaj odbywają się stałe konferencje z pracownikami, na których należy wyjaśniać zadania pracownika i podawać sposoby doskonalenia pracy, wreszcie okręgowe kursy – a już sprawa ruszy z miejsca. Ponadto każdy odpowiedzialny pracownik powinien być zgłoszony na spółdzielcze kursy korespondencyjne, przy czym koszty nauki nie powinny nadwyręzać jego budżetu, spółdzielnia łożąc na naukę – ma w zamian prawo wymagać systematycznej pracy nad kształceniem się, a w miarę czynionych postępów w nauce zyskuje na sprawności personelu.

Szkolony bowiem pracownik – będzie wydajniejszy w pracy, a przez doskonalenie się w zawodzie, jak i drogą nabierania przeświadczenia o społecznych wartościach ruchu spółdzielczego – zacznie świadomie pracować nad rozwojem spółdzielni. Zrozumie, że przyszłość i powodzenie zatrudniającej go instytucji jest zarazem jego przyszłością, jego powodzeniem, a urzeczywistnienie ideałów ruchu spółdzielczego – zwycięstwem sprawiedliwości i poprawą bytu wszystkich spożywców.

Na drodze podnoszenia wiedzy zawodowej – da się rozwiązać zagadnienie płac pracowniczych. Równorzędnie bowiem z doskonaleniem metod pracy, zdobywaniem umiejętności – wzrasta wydajność pracy i dochodowość instytucji, co umożliwia podnoszenie wynagrodzenia pracownikom i stwarzania coraz lepszych warunków pracy.

Spółdzielnia zatrudniając pracowników powinna stale troszczyć się o to, aby byli oni jak najsilniej z jej losami związani, życie wyznacza pracownikom w ruchu wielką i odpowiedzialną rolę. Trzeba tylko, aby odczuli to zarówno sami pracownicy jak i władze spółdzielni.

JANINA ŚWIĘCICKA

W SPRAWIE LETNISK

„SPOŁEM” NR II/I932

Koniec roku szkolnego się zbliża. Rodziny urzędnicze i tzw. sfery inteligenckie, które doceniają wartość spędzenia choć kilku tygodni letnich na wsi, każdej wiosny bardzo poważnie krzątają się około sprawy wynalezienia odpowiedniego lokum dla swoich najbliższych.

Rodziny robotnicze nie przywiązywały dotychczas wielkiej wagi do sprawy letnisk. Złożyły się na to dwie przyczyny.

Pierwsza – to niezaprzeczenie cięższy ich stan materialny w porównaniu z rodzinami pracowników umysłowych; drugi – to fakt, że robotnicy, wyszedłszy niedawno ze wsi, w której spędzili swe niezbyt wesołe dzieciństwo, a potem obfitą w ciężką pracę młodość, przywędrowawszy do miasta, poczuli się w nim stosunkowo dobrze. Wieś dla nich nie jest, jak dla przeciętnego letnikowicza, przedmiotem romantycznych wspomnień, raczej ponurym koszmarem znojących i monotonnych dni. Toteż do wsi nie tęsknią. Daleko większy ma dla nich urok miasto i przedmieście z jego niewybredni rozrywkami. Pochłonięci „rozkoszą” przedmieścia, zapominają, że dzieci ich, które ani w przeludnionym domu, ani na ulicy czystym powietrzem nie oddychają, rosną anemiczne i zwiędnięte za młodu. Nie zdają sobie sprawy, że to wiejskie powietrze, którego sami mieli wiele w swym dzieciństwie i które może dało im ten zapas, z którego czerpią siły w niemniej trudnym, lecz tylko na inny sposób, niż na wsi – życiu miejskim, jest niesłychanie potrzebne ich dzieciom.

Zorganizowanie wyjazdu na wieś, zarówno dla zubożałej inteligencji pracującej, jak i niezamożnych rodzin robotniczych, pomimo kryzysu, nie powinno przedstawiać wielkich trudności, gdy zważymy, że różnica w kosztach utrzymania może pokryć koszty podróży i wynajęcie izby.

To też, nie zważając na kryzys, wyślijmy swoje rodziny na wieś.

Potrzeba jest matką wynalazków.

W dążeniu do obniżenia kosztów urządzenia się taniego na letnisku, spróbujmy zorganizować się wspólnie. Miałoby to i tę dobrą stronę, że oprócz redukcji kosztów pozwoliłoby gospodyniom domu wypocząć przynajmniej przez krótki czas, gdyż czynności gospodarcze w takim małym kolektywie mogłyby wykonywać na zmianę z innymi uczestniczkami letniska.

Zorganizowanie kilku rodzin i wynalezienie odpowiedniej miejscowości nie byłoby trudne, gdyby znalazł się ktoś, kto wzięłby inicjatywę w swoje ręce.

Na początek nic należałoby organizować dużych grup, a raczej kilka mniejszych, gdyż w prowadzeniu każdej zbiorowej pracy należy mieć wprawę, nie trzeba przeto stwarzać sobie na razie zbyt wielkich trudności do pokonania.

Jest to wdzięczne zadanie dla Kół Czynnych Kooperatystek.

Wzory i wskazówki, jak prowadzić rachunki w takim zbiorowym gospodarstwie domowym, chętnie nadeśle spółdzielnia letniskowa p. n. „Promień słońca” w Warszawie, ul. Grażyny 13, która już niejednokrotnie takie wspólne letniska z wielkim powodzeniem urządziła.

KS. PRAŁ. WACŁAW BLIZIŃSKI

DZIAŁALNOŚĆ SPÓŁDZIELNI I ORGANIZACJI ROLNICZYCH W ŁISKOWIE

REFERAT WYGŁOSZONY NA ZJEŹDZIE SPÓŁDZIELNI W WILNIE,

W DNIU 18 GRUDNIA 1927 ROKU¹⁵.

*Cierp a pracuj! i bądź dzielny,
Bo twój naród nieśmiertelny;
My umarłych tylko znamy,
A dla ducha trumn nie mamy.*
Juliusz Słowacki.

Życie człowieka to walka o byt, w której do zwycięstwa różne prowadzą drogi, przez doświadczenie innych nam wskazane. Do nas należy wybrać najpewniejszą, najkrótszą, a więc skorzystać z przykładu tych kulturalnych społeczeństw, które ją odnalazły i z powodzeniem przekształciły – wąską na razie ścieżkę na szeroki gościniec, równie dogodny dla słabych, jak silnych, równie dostępny dla ubogich, jak możnych. Całe masy ludzi są dzisiaj niezadowolone ze swego losu; rośnie wyzysk, i przewaga kapitału – tego pana możnego, z którym walka jest trudna, stąd mnożą się nienawiści, walki klasowe.

Otóż – lekarstwem, a przynajmniej jednym ze środków gojenia tych ran społecznych, polepszenia wzajemnych stosunków, jest spółdzielczość.

Kiedy przed laty dwudziestu paru zostałem naznaczony na probostwo, a pragnąłem parafianom moim nie tylko „nieba, ale i chleba” przychylić, wówczas począłem rozglądać się w środ-

15 Tekst został wydany w formie broszury jako „Odbitka z Czasopisma Spółdzielni Rolniczych”, Warszawa 1928.

kach, które by do tego chleba jak najkrótszą prowadziły drogą. Wpadły mi wtedy do rąk książki o spółdzielczości, o kooperatywach, zwłaszcza zagranicznych. U nas bowiem w Polsce te rzeczy w ogóle nie miały jeszcze wielkiego zastosowania, a już w Kongresówce, w której ja pracowałem i pracuję, prawie że ich nie było. Kiedy czytałem, jak wielkie rezultaty osiągnęły te kooperatywy, – dajmy na to – Roczdelska w Anglii, gdzie dwudziestu paru robotników założyło niewielki spółdzielczy sklep, a po latach kilkudziesięciu, nie oni wprowadziły, ale ich dzieci, doczekały się wielkich wyników w postaci już własnych magazynów, fabryk, kolejek, a nawet okrętów dla sprowadzania własnych zamorskich produktów – to po prostu wierzyć mi się nie chciało; myślałem, że w tym wszystkim jest przesada. Kiedy jednak potem sam przystąpiłem do tej pracy, to – naturalnie, w znacznie skromniejszym stopniu – doszedłem jednak do przekonania, że tam nie było żadnej przesady, żadnego kłamstwa, że istotnie drogą współpracy, drogą spółdzielczości dojść można do nadzwyczajnych rezultatów, można dla społeczeństwa, a zwłaszcza biednych, uzyskać więcej nawet, niż człowiek myśli, jeżeli naprawdę chce w tej dziedzinie pracować.

Na cyfrowe poparcie tego, co mówię, należałoby może cytować przykłady zaczerpnięte z zagranicy, lub wzory z dziejów naszych, jednakże (choć to może nie wypada, może trącić będzie jakimś samochwalstwem) – mówić zamierzam o pracy spółdzielczej, w którą sam jestem wpłątany, którą znam bliżej. Będzie to celowe chociażby z tego względu, że wywody swoje mogę oprzeć na cyfrach dobrze mi znanych, a dalej, że to jest praca, którą, zdaje się, niejeden oglądał, lub jej rezultaty sprawdzić może.

To też, pozwólcie, że mówić będę o pracy społecznej w Liskowie.

Przytaczam tę wioskę jako pewien przykład, niekonieczny do naśladowania, ale jako przykład, że nie ma bodaj wsi, która by się znajdowała w gorszych warunkach, a choćby w tak złych warunkach, w jakich ta wioska była. Przede wszystkim zła komunikacja. Przez kilka lat mieliśmy do najbliższej stacji około 100 kilometrów, do szosy przeszło 20 – i to drogi okropnej, jak najgorszej, zarówno w czasie suszy, jak i niepogody. Następnie – ciemnota w parafii wielka, bo przy bardzo nawet pobłażliwej statystyce, stwierdziłem podczas kolędy, jaką odbywałem przez pierwszych parę lat, że było 87 procent analfabetów, a w liczbie tych 13 procent nie analfabetów wielu było takich, co umieli tylko czytać – nieraz tylko na książce od nabożeństwa i to własnej. Jak widzimy, warunki oświaty były, jeżeli nie gorsze, to w każdym razie nie lepsze, niż gdzie indziej.

Dalej bliskość Prus, dokąd prawie połowa parafian, przeważnie młodzież, wychodziła na zarobki. Z tych Prus na zimę przynosiła wprowadzić trochę marek, ale więcej jeszcze zgorszenia i zepsucia tak, że to wychództwo raczej do ujemnych zjawisk kulturalnych należy zapisać.

Następnie – stosunki tak się ułożyły, że ówczesne dwory (było ich cztery) raczej przeszkadzały, niż pomagały w pracy. Natomiast muszę koniecznie na tym miejscu stwierdzić, że dzisiaj jest zupełnie inaczej.

W ogóle ówczesne warunki były jak najgorsze. Do tego wreszcie i sam proboszcz (a mam na myśli siebie) był bez najmniejszych kwalifikacji. Urodzony na bruku warszawskim, nie miałem prawie pojęcia o wsi. Do lat jakichś dwudziestu paru wieś polską widziałem po większej części tylko z okien wagonów kolejowych lub znałem z powieści, z książek, a jeżeli chodzi o rolę, o wiadomości przyrodnicze wsi polskiej w ogóle – zaledwie zapamiętałem coś niecoś z botaniki. Położenie więc moje jako proboszcza było nadzwyczaj trudne i często trzeba było tych rolniczych informacji, zwłaszcza praktycznych, czerpać od swego furmana i to dosyć zrzęcznie.

Podkreślam te ciężkie warunki pracy, żeby chwiejnych zachęcić, żeby stwierdzić, że nie ma właściwie takiej złej placówki, na której by roboty nie można rozpocząć i nawet nieraz z dosyć dobrymi wynikami prowadzić.

Naturalnie, do tych ciężkich warunków dochodziła jeszcze jedna wielka trudność – jeżeli szło o prowadzenie jakiejkolwiek pracy obywatelskiej; mianowicie rząd zaborczy rosyjski, który prześladował każdą pracę kulturalną, a zwłaszcza pracę wśród ludu. Najbardziej zaś zwalczał ją wówczas, kiedy się chciało przez gromadę działać, zdając sobie sprawę, że gdzie gromada, tam siła. Inną drogą, innymi sposobami tej siły nie można było stworzyć, jak drogą zrzeszenia. Trzeba więc było dobrze się zastanowić, jakiego szyldu użyć, ażeby przed wzrokiem policji zataić właściwe nasze cele i ludzi do zrzeszenia doprowadzić. Dlatego to, jako pierwszą spółdzielnię, założyliśmy sklep spółkowy, pod firmą „Gospodarz”. Była przy tym duża trudność w napisaniu ustawy dla tej spółdzielni, bo pomimo, że się zwracało do ówczesnych pism ludowych o jakiejkolwiek informacje w tym względzie, wszędzie otrzymałem odpowiedź, że są wprawdzie nieliczne spółdzielnie po miastach (jak np. Merkury, Towarzystwo Kolejowe „Jutrzenka”), nie mogą jednak służyć za wzór dla spółdzielni wiejskiej. Właściwie musieliśmy sami sobie kuć nową oryginalną ustawę.

Po pewnych potajemnych nawoływaniach, zebrało się trzydziestu dwóch mądrzejszych gospodarzy i przy ich pomocy w roku 1902, czyli 25 lat temu, założyliśmy ten pierwszy sklepik spółdzielczy, który zarazem był jakby gospodą chłopską czy klubem. Do sklepu każdemu przecież wolno było przyjść. Policja nie mogła, nie miała tytułu rozpędzać zgromadzonych w sklepie chłopów. Podjęte zresztą były konieczne środki ostrożności i gdy jakiś żandarm zjawił się w sklepie, widział zawsze, że każdy coś kupował. A tymczasem my mieliśmy możliwość spólnego porozumienia się nad dalszym współdziałaniem, co prawda, na razie w tym celu, aby walczyć z miejscowymi żydami¹⁶, aby mieć dobry i możliwie tani towar. Jednak

16 Przez stulecia handlem w Polsce zajmowali się niemal wyłącznie Żydzi, wyrastając w handlu detalicznym na pozycję monopolistów. Pod koniec XIX i na początku XX w. zaczęła narastać konkurencja ze strony kupców-chrześcijan. Sprzyjały temu przemiany społeczne po powstaniu styczniowym, procesy urbanizacyjne, napływ ludności wiejskiej i drobnomieszczaństwa polskiego do zawodów handlowych (...) Na wsiach, (...) zakładano sklepy spółdzielcze, konkurujące z handlem prywatnym. Ich tworzenie wiązało się zwykle z propagowaniem bojkotu ekonomicznego. (za <http://www.sztetl.org.pl/pl/term/59,handel/> dostęp: 29.11.2015) Działalność ks. Blizińskiego wpisywała się w taki „narodowy” nurt spółdzielczości, w której Żyd-sklepikarz traktowany był jako główna konkurencja, najważniejszy „wróg” dla spółdzielni spóżywców. Nielatwe stosunki między Polakami a Żydami były wzmacniane przez walkę o pozycję w handlu. Różne punkty widzenia w tym sporze kulturowo-gospodarczym dobrze ilustruje zestawienie np. tych dwóch artykułów: Magdalena Gurazda „Żeby u Żydów nie kupować”: <http://www.zycie-pabianic.pl/wydarzenia/miasto/historia/zeby-u-zydow-nie-kupowac.html> Emilia Kalwińska „Żydowski handel we wspomnieniach mieszkańców Lublina” http://teatrnn.pl/leksykon/node/1601/%C5%BCy-dowski_handel_we_wspomnieniach_mieszka%C5%84%C3%B3w_lublina (dostęp: 29.11.2015) Te złożone okoliczności warto wziąć pod uwagę, kiedy czyta się historyczne teksty ukazujące konflikt między spółdzielczością spóżywców a żydowskimi handlarzami. Nie należy oczywiście usprawiedliwiać postaw antysemickich, które można było odnaleźć także i w niektórych publikacjach spółdzielczych (przyp. red.).

przy tej okazji mieliśmy możliwość poruszania najrozmaitszych spraw innych, ułatwiających nam życie na wsi. Dlatego też tę pierwszą spółdzielnię, ten sklepik spółkowy nazywamy matką wszystkich innych instytucji, które się następnie zrodziły.

Sklep nasz przechodził rozmaite koleje. Po latach trzech od chwili założenia, wskutek nieuczciwości subiekta, dawania towaru na kredyt, jak i dlatego, że w ogóle źle był administrowany, okazało się, że nie tylko tego kapitału, jaki włożyliśmy do niego – a był to kapitał 500-rublowy¹⁷), który przez pierwsze dwa lata doskonale się powiększał – nie zostało w trzecim roku, lecz zmalał on do 200 rubli, które przechowywały się w towarach. Groziła nam tedy katastrofa, bo poczęły odzywać się głosy już to niechętnych i nieżyczliwych, już to „napompowanych” przez wrogów mówiących:

– Pamiętajcie, jeśli dalej spółkę będziecie prowadzić, to nie tylko, że stracie udziały swoje, ale nawet, kto wie, czy was z gospodarki nie wyrzucą, bo wszak odpowiada się w takim sklepie całym majątkiem.

Naturalnie, wszystkie te głosy bardzo źle usposobiły ogół gospodarzy, zebranych na dorocznym zgromadzeniu. Jednakże idea spółdzielcza swoje zrobiła, znalazło się bowiem kilkunastu już wyrobionych przez spółdzielnię ludzi; gdy przyszło do dyskusji, to obok niechętnych byli i tacy, którzy mówili:

– Jak to? Dopóki nam szło dobrze, tośmy dziękowali zarządowi i cieszyliśmy się rozwojem spółki, a dzisiaj, gdy noga się poślizgnęła, mamy od razu zwinąć cały interes, ku ucieście wrogów? – Nie! Raczej wnieśmy po drugim udziale, poprawmy, co jest złego, zmieńmy zarząd, a spółce, która nam dawała duże korzyści, nie pozwólmy upaść!

I oto głosy te przeważały. Uchwalono, że każdy z członków dopłaci po 5 rubli do udziału. Od tego czasu karta, jak gdyby się odwróciła. Spółdzielnia nasza coraz więcej rośnie i dziś – po ludzku sądząc – po prostu nie boimy się, żeby groziło nam jakieś bankructwo, bo jesteśmy zabezpieczeni od ognia, mamy odpowiednie kapitały żelazne, a głównie doświadczenie.

Tak więc przełamanie tego jednego kryzysu ocaliło nam spółdzielnię, a nie tylko ocaliło, ale nawet zachęciło do tworzenia innych. Ten sklepik, który w pierwszym, drugim, trzecim roku istnienia targował rocznie mniej więcej 15000 złotych (jeśli przeliczymy ruble na złote), dzisiaj ten wiejski sklep spółdzielczy daje przeciętnie 1000 zł dziennie obrotu. Przyznaję, że jak na stosunki wiejskie, dosyć dużo. Dodam jeszcze, że z początku przez kilka lat mieliśmy naszego subiekta na pensji, jednak z czasem przeszliśmy na procenta. Jest on mianowicie wynagradzany w stosunku 3% od obrotu. Zrobiliśmy tę zmianę z dobrym skutkiem, bo o ile przedtem sklepowy nie dbał, a może nawet był kontent, gdy mało miał klientów, o tyle dzisiaj, będąc zainteresowanym, jest odpowiednio grzeczny, uprzejmy i zapobiegliwy. Sklepowy musiał złożyć 2000 zł kaucji, a i kwalifikacje jego moralne winny być jak najlepsze; przy tym zarząd i Związek Rewizyjny ma nad nim odpowiednią kontrolę.

Jak powiedziałem – sklep był pierwszą spółdzielnią i zarazem gospodą, na jej więc zebraniach poruszaliśmy cały szereg najrozmaitszych potrzeb. I tak powstała myśl, ażeby założyć piekarnię spółdzielczą. U nas w owym czasie przeważnie kobiety piekły chleb u siebie. Może to było i dobre, kiedy opał nic nie kosztował, lecz gdy stał się drogim, a zrozumiano, że i czas to pieniądz,

17 Po 10 rubli udziału od 32 członków. Sklepowy, czyli kierownik sklepu, dał 100 rubli kaucji, na resztę składały się prywatne datki (przyp. aut.).

wtedy, naturalnie, myśl wspólnej piekarni podjęto bardzo chętnie. Obecnie kobiety, zamiast piec chleb u siebie, przynoszą mąkę do piekarni za pokwitowaniem i za sto kilo mąki dostają 110 kilo chleba. A każda ma tyle ułatwienie, że w domu u siebie nie potrzebuje się kłopotać o ten chleb codzienny, bo wystarczy jej teraz posłać dziecko z kartką do sklepu, gdzie się na drugiej stronie odnotowuje, ile którego dnia wzięto kilo chleba. A chleb zawsze jest świeży, zawsze udany i kalkuluje się taniej. Spółdzielnia piekarska ma przy tym odpowiednią nadwyżkę, która dochodzi 3000 do 5000 złotych rocznie. Wypiekamy przez ostatnie lata 500-600 kilo chleba dziennie.

Piekarz otrzymuje wynagrodzenie w stosunku do wykonanej pracy, mianowicie otrzymuje 80 groszy za 100 kilo chleba wypieczonego, a 4 zł od 100 kilo bułek. Oprócz tego dostaje 2 kilo chleba dziennie, bo zresztą, gdyby nie dostał, to i tak zapewne wzięłyby sobie. Pomocnika również zgodziliśmy i płacimy mu miesięcznie 65 zł i 1 kilo chleba dziennie. Obaj są zadowoleni zupełnie z tego utrzymania.

Budowa pieca, w którym pomieści się od razu 80 bochenków chleba o wadze każdy 2 kilo, kosztuje około 1000 złotych.

Jak do poprzedniej, tak i do tej spółdzielni niezmiennie bym wszystkich namawiał, zwłaszcza, że ona daje podstawę do następnej kooperatywy, mianowicie spółdzielni rolniczo-handlowej, połączonej z budową czy też zakupem młyna.

U nas na podstawie tych dwóch instytucji powstała spółdzielnia rolniczo-handlowa, która w roku zeszłym dostarczyła węgla 50 wagonów, nawozu sztucznego 18 wagonów, wapna 8 wagonów. Obrót tej spółdzielni w roku zeszłym wynosił około 100000 złotych.

W roku 1916 nabyliśmy młyn parowy. Jest bowiem bolączką gospodarzy – wożenie mąki gdzieś daleko po wiatrakach, gdzie i czekać trzeba długo na zmielenie i uczciwość czasem szwankuje. Daleko lepiej przerabiać zboże we własnym młynie. Ponieważ młyn był mały, zdolny do przemielenia tylko 80 korcy na dobę, nie wytrzymywał kalkulacji; musieliśmy go sprzedać, a nabyliśmy inny, większy, za cenę 10000 zł do spółki z prywatnym gospodarzem, który mieł do 100 korcy na dobę. Z tym młynem nie jesteśmy jeszcze w porządku. Będziemy wówczas, gdy go całkowicie spłacimy i wówczas spółdzielnia rolniczo-handlowa znacznie lepiej będzie mogła rozszerzyć swoją pracę przez skup i magazynowanie zboża przy młynie.

Kolejną dalszą jest spółdzielnia budowlana.

Każdy z ludzi, zwłaszcza który więcej bywał poza granicą lub choćby nawet w Poznaniu, i oglądał pięknie zabudowane wioski, z ubolewaniem patrzył i patrzy na te nasze nieszczęsne, brudne, obdarte chaty, na te domy, które często gorzej wyglądają niż chlewy, kurniki czy inne zabudowania gospodarskie zagranicą. Otóż chodziło o to, żeby zewnętrzny wygląd wsi polskiej poprawić, zachęcić ludzi do normalnej budowy. Należy jednak wyjaśnić, że w ogóle wydatek na budowę domu mieszkalnego – to jest wydatek, z którym każdy gospodarz musi się bardzo liczyć. Bo gdy włoży pieniądze czy to w krowy, w konia czy w ziemię, w nawozy, to ma od razu korzyści i wydatek doskonale się opłaca. Natomiast wybudowanie ładnej chaty daje właściwie tylko przyjemność i wygodę, a korzyści, przynajmniej materialnej – nie przynosi. Otóż trzeba wspólnymi siłami dążyć do tego, aby tego rodzaju budowy możliwie ułatwić, a dojść do tego można przez zakładanie spółdzielni budowlanych, zwłaszcza tam, gdzie jest odpowiednia glina na cegielnię. W statucie naszej spółdzielni budowlanej, jako cel główny, było wskazane, że mamy się podejmować budowl domów mieszkalnych czy zabudowań gospodarczych w naszej okolicy na spłaty kilkuletnie, czyli na warunkach bardzo dogodnych; ale z zastrzeżeniem, że gospodarz, który by zamówił taki budynek, musi się zgodzić na jeden

z planów, jaki mu podamy. A w planach naszych uwzględniamy odpowiednie światło, wysokość, rozmieszczenie pokoi, a nawet przyzwoity stylowy wygląd zewnętrzny. Każdy gospodarz chętnie się zgodzi na te warunki, jeżeli mu się powie, że pieniądze za sprzedany dom stary da jako zadatek, a resztę spłaci w ciągu lat 6–9. Niestety, tego punktu naszej spółdzielni budowlanej dotychczas w czyn nie wprowadziliśmy, przynajmniej w całej pełni, gdyż nie mamy na to odpowiednich kredytów. Jeżeli rząd udzieli spółkom budowlanym odpowiedniego kredytu na ten cel, to nasze wioski bardzo prędko zmienią swój wygląd zewnętrzny. Tymczasem nasza spółdzielnia budowlana i tak sporo zrobiła w okolicy, bo, wyrabiając około 1 miliona cegły rocznie w piecu Hoffmanowskim, daje możliwość powstania około 30 budynków rocznie. Przez 6 lat istnienia spółdzielni postawiliśmy 180 budynków. Obrót w roku zeszłym był 53000 złotych. Przy cegielni istnieje też betoniarnia, która wyrabia 60000 dachówek rocznie (cementowych, dlatego, że glina jest na dachówki nieodpowiednia). W ogóle muszę powiedzieć, że u nas prócz innych są też jeszcze pewne trudne warunki. Weźmy na przykład trudności z wodą. Wykopać dołek pod fundament, a woda go w przeciągu dnia zaleje, ale wykopać studnię, to niech tylko będzie trochę suszej, wody w całej wsi niema. Zmuszeni więc byliśmy wybudować 5 studni artezyjskich na terenie wsi Liskowa, kosztem około 4-5000 zł każda, ponieważ jedna studnia ma 110-140 metrów głębokości. Trudności były więc wielkie, ale trzeba było je pokonać, zwłaszcza, kiedyśmy przystępowali do takiej spółdzielni jak mleczarska, która potrzebuje dużo wody i dobrej wody.

Wymieniłem już cztery spółdzielnie: spożywczą, piekarnię, rolniczo-handlową i budowlaną. Przez cały szereg lat spółdzielnie te oprócz innych stowarzyszeń miały oddzielne zarządy. Okazało się to trochę niepraktyczne z tego względu, że trzeba było do każdej spółdzielni oddzielnie wybierać zarząd i radę, kiedy zaś przyszło do składania rocznych sprawozdań, to należało na wiosnę nieomal codziennie zwoływać zebrania ogólne, przeważnie z tych samych ludzi. Dlatego też od lat czterech wprowadziliśmy to uproszczenie, że te cztery spółdzielnie połączyły się razem w jedną spółdzielnię rolniczo-handlową i mają jeden zarząd, jedną radę, tych samych urzędników i jedne książki buchalteryjne. Jednakże dla ścisłej kontroli w książkach tych każda spółdzielnia ma oddzielną rubrykę, czyli samorząd do pewnego stopnia został zachowany i o każdej z tych spółdzielni mamy zawsze szczegółowe oddzielne sprawozdanie. Te cztery spółdzielnie dają nam od kilku lat 12-20 tysięcy złotych czystej nadwyżki.

Przy okazji odpowiedzieć muszę na pytania, jakie mi często zadają ludzie, którzy do nas przyjeżdżają i rzeczywiście widzą kilka budynków zupełnie przyzwoitych. – Skąd na to wszystko wzięto pieniądze?

Otóż, jeżeli chodzi o początek, to jestem w kłopotcie, jak odpowiedzieć. Było niezmiernie trudno, musieliśmy się uciekać do najrozmaitszych sposobów. Żadnych zasiłków wtedy nie było, przeciwnie, trzeba było kryć się z tą robotą przed rządem rosyjskim. Urządzaliśmy rozmaite loterie, przedstawienia, jasełka, wypuszczaliśmy akcje, zaciągaliśmy pożyczki, otrzymywaliśmy też niekiedy drobne ofiary. Parafianom moim nawet nie proponowałem żadnych składek, bo prawdopodobnie nie dostałbym. Ale za to na propozycję, żeby dawali pomoc ręczną, niemal wszyscy parafianie się zgodzili tak, że na 800 gospodarzy przy budowie Domu Ludowego, zaledwie dwóch znalazło się takich, którzy nie okazali zupełnej pomocy – ani ręcznej, ani konnej. Dało to, oczywiście, ogromną oszczędność w kosztach przy budowie. Od szeregu lat instytucje te nie tylko nie potrzebują już żadnej pomocy, ale one pomagają jeszcze innym związkom kulturalnym, mając kilkanaście tysięcy rocznie czystych nadwyżek do dyspozycji,

tym bardziej, że członkowie się do tego przyzwyczaili, aby nadwyżek nie zabierać, lecz przeznaczać w pewnej części na cele filantropijne, na oświatę, biblioteki, czytelnie, na sierociniec, a znaczną większość pozostawiać na powiększenie kapitału obrotowego.

To też nasze spółdzielnie z każdym rokiem powiększają się, a wciąż coś nowego przybywa.

Dalej mamy spółdzielnię, która również powinna mieć jak największe zastosowanie po naszych wioskach, zwłaszcza tam, gdzie jest ciężko ze zbytem mleka. Jest to spółdzielnia mleczarska. Założona ona została w roku 1911, z wielką trudnością. Przez dwa lata poprzednie i ja i instruktorzy, którzy do nas przyjeżdżali, namawiali naszych gospodarzy, żeby taką mleczarnię założyć. Szło jednak bardzo ciężko. Najpierw nie mieliśmy przykładu w okolicy. Dzisiaj łatwiej jest niewiernego Tomasza przekonać, ale wówczas było to trudno robić, bo tylko na słowo honoru. Poza tym wśród większych właścicieli, a i wśród drobnych, panowały tendencje, żeby prowadzić gospodarstwo w ogóle bez inwentarza, bo krowa się nie opłaca. I tak, po dwóch latach namowy zapisało się przy otwarciu mleczarni zaledwie 9 członków. W liczbie tych 9-ciu byłem ja, miejscowy organista, obywatel ziemski, kościelny i zaledwie pięciu gospodarzy. Oczywiście mogły ręce opadać i zniechęcenie ogarnąć, widząc, jak słabo odczuli miejscowi gospodarze potrzebę takiej mleczarni, jednakże i tu wytrwałość swoje zrobiła, bo z 9-ciu członków zrobiło się po miesiącu 18-tu. Później zaczęło przybywać coraz więcej i więcej i dzisiaj mamy ich 1220. Kiedy wypłata w pierwszym miesiącu wynosiła 150 rubli, to dzisiaj dochodzi nieraz do 40000 złotych miesięcznie. Mamy też 9 filii, a w ogóle możemy powiedzieć sobie, że bardzo wiele mleczarni w kraju powstało dzięki temu dobremu przykładowi, na który przyjezdni patrzyli, a zachęceni doskonałymi wynikami, zakładali spółdzielnie u siebie. U nas zwłaszcza kobiety były z początku przeciwne założeniu mleczarni. Przyzwyczajone, żeby z tą kwaterką, czy kwartą masła jechać co tydzień na targ do miasta, gdzie była okazja zobaczenia się z sąsiadkami i trochę poplotkować, nie chciały tej okazji towarzyskiej i tego kręcenia się po jarmarkach stracić. Wiadomo również, że na ten dział gospodarczy, to jest na krowy, prawie że nie zwracano uwagi. Gospodarz nie liczył na zyski od krowy, trzymał ją dla nawozu i po to, że daje kapkę mleka dla dzieci, a cały dochód stanowiło jedynie te parę złotych, które gospodyni dostała za sprzedane na targu masło, co wystarczyło na kupno nafty, soli czy też bułki dla dzieci.

Natomiast zupełnie inaczej spoglądano na krówkę z chwilą założenia mleczarni. Gospodarze, którzy z początku oddawali cały ten dochód swoim żonom, gdy zauważyli, że kobiety po paru miesiącach zaczęły przynosić ze sobą jakoś za dużo pieniędzy, zainteresowali się i często nawet zwracali się do zarządu mleczarni z żądaniem, żeby kobietom nie wypłacać, bo to im się ten pieniądź należy. Zarząd był nieraz w kłopotcie. Jednakże te nieporozumienia tak się zwykle kończyły, że gospodyni proponowała:

– Dobrze, ja ci dam połowę pieniędzy, ale ty za to daj krowie więcej koniczyny, makuch i otrąb.

Przy takim porozumieniu zyskała i krowa i gospodarze, a przede wszystkim sama idea mleczarni coraz bardziej się rozpowszechniała.

(...)

Jeżeli cofnąć się myślą do tych pierwszych lat spółdzielni, gdzie 5 rubli udziału od krowy (dzisiaj 10 zł) było trudno od członka ściągnąć, to zrozumiemy, jak dalece uświadomienie członków posunęło się naprzód. Gospodarze, zaciągając na ten cel pożyczkę przez Państwowy Bank Rolny, wiedzą doskonale, że będą mogli łatwo ten dług spłacić, bo poprawa rasy bydła po-

ciągnie za sobą poprawę wydajności mleka. Również żywiciel krów przy 1000 sztuk kosztuje zaledwie litr mleka miesięcznie od krowy, ale przecież dzięki jego kontroli, krowa da przynajmniej jeden litr mleka więcej dziennie. Dlatego też takich kontrolerów obór musimy wszędzie przy mleczarniach osadzać, by przekonywać członków, że to nie jest wcale wydatek, ale tylko dobrze zrozumiany interes. Przy naszej mleczarni mamy też wzajemne ubezpieczenie krów; na wypadek padnięcia dajemy 50 zł od krowy. Nie jest to wprawdzie dużo, ale bądź co bądź w nieszczęściu przynosi pewien ratunek. Gospodarz, wiedząc, że dostanie te 50 zł, nie czeka aż mu krowa zdechnie, zarzynają, sprzedaje na mięso, skórę, mało co dołoży i do nowej krowy łatwo dochodzi. Mamy wreszcie jeszcze jedną spółdzielnię, którą również często spotyka się po naszych większych wioskach i miasteczkach. Są to tak zwane dzisiaj Kasy Stefczyka. Założyliśmy ją w roku 1910; prosperowała ona doskonale, choć miała na początku tę wadę, co i inne. Zawsze, jak się Kasa otworzy, jest moc zgłaszających się o pożyczkę, a mało takich, którzy chcą wkładać. Ale to jest zwykły tryb rzeczy, że ludzie muszą najpierw nabrać zaufania i pewności, że wkłady ich nie zginą. Wszak przed wojną banki miały tyle pieniędzy, że wprost nie wiedziały, co zrobić z tymi wkładami. Przez wojnę wskutek dewaluacji banki nasze dostały ogromnie w skórę, a głównie idea oszczędzania i dlatego przez parę lat i nasz zarząd musiał nieraz wysłuchać ciężkich skarg i zarzutów ze strony tych, którzy pieniądze włożyli. Bo aczkolwiek zwaloryzowaliśmy wkłady na 17%, a w rb. damy już 20%, co jest dużo więcej, niż kurs ustawowy przepisuje, to jednak stała się krzywdą. Tłumaczyliśmy członkom, że nie u nas jednych to się dzieje, że ma to miejsce w całej Europie, że jest to następstwo wojny, na której jeden stracił syna, drugi majątek, a inni stracili pieniądze. Stopniowo nastroje się uspokoiły. Obecnie mamy 42000 złotych drobniejszych wkładów, na pożyczkach 62000, udziałów 10.800, funduszu własnego 6900. Pożyczki wydajemy na 12%, a 10% płacimy tym, którzy u nas wkładają. W swoim czasie, ażeby propagować oszczędność, której brak daje się odczuwać w Polsce, otworzyliśmy jak gdyby oddzielną kasę dla dzieci i przez szkoły robiliśmy pewną agitację, z nadwyżek rok rocznie przeznaczając pewną ilość pieniędzy na książeczki, które rozdawaliśmy pomiędzy dzieci członków. Zaniechaliśmy tej propagandy podczas wojny. Obecnie znowu mamy ją wskrzesić. Trzeba powiedzieć, że w ogóle z kasami tam, gdzie one nie były, a gdzie są zakładane, gdzie nie ucierpiały tej katastrofy, jest lepiej, i lepiej jest tworzyć kasę tam, gdzie jej nie było, niż wznawiać je tam, gdzie były; wznawiać jednak swoją drogą trzeba.

Te instytucje, o których wspomniałem, są instytucjami o charakterze ekonomicznym, które dają nam przede wszystkim korzyści materialne. Ale nie tylko korzyści materialne. Te właśnie instytucje dały nam podstawę do całego szeregu rozmaitych urządzeń w parafii o charakterze oświatowo-kulturalnym.

A więc przede wszystkim Dom Ludowy, który zbudowaliśmy w 1908 r. Zbudowaliśmy go w ten sposób, że mamy w nim oprócz dużej sali do zebrań i przedstawień na 800 osób, Kasę Stefczyka i miejscowy sklep spółdzielczy. I bardzo dobrze, że w takim Domu Ludowym mieszczą się inne instytucje o charakterze ekonomicznym, dochodowym, bo one coś dają, czy to w postaci komornego, czy innego zysku, który obracamy chociażby na remonty, na niezbędne poprawki, podatki i ulepszenia tego domu.

Połączenie więc tego charakteru ideowego w Domu Ludowym z korzyścią materialną jest, moim zdaniem, bardzo wskazane.

W dalszym ciągu mówić będę o innej bardzo ważnej, a tak mało rozpowszechnionej u nas instytucji, mianowicie o kąpielach ludowych. Kąpiele te w Liskowie należycie się roz-

wijały przed wojną, a zwłaszcza ci, co służyli w wojsku, byli doskonałymi agitatorami w zachęcaniu do nich. Przyszła wojna i w 1915 r. kąpiele nasze przez wojska zburzono. Odbudowaliśmy je po raz drugi dopiero w roku 1922 przy pomocy zagranicznego Komitetu Walki z Epidemiami, który dał nam pieniądze na wewnętrzne urządzenie, z warunkiem jednak postawienia odpowiedniego budynku.

Istotnie, budynek murowany stanął, wewnątrz którego mamy łaźnię parową, 8 natrysków i 3 wanny. Kąpiele są czynne w piątki i soboty. W piątek dla kobiet, w sobotę dla mężczyzn. Opłata od łaźni i natrysków wynosi 50 groszy, a od wanny 1 zł. Młodzież szkolna płaci połowę.

Nie potrzebuję mówić, jak takie łaźnie są u nas w kraju potrzebne. Wszak, jak dotąd, lud jest bardzo zaniedbany pod względem czystości, jest brudny, niechlujny. Zwłaszcza tam, gdzie nie ma wody, gdzie nie ma blisko rzeki (jak np. u nas), dosłownie można powiedzieć, że się całe życie nie kąpie. A więc propaganda w tym względzie byłaby niezmiernie wskazana. Pod tym względem Rosja nawet stoi lepiej, bo jak przyjdzie sobota, to chłop rosyjski choć tylko raz na tydzień, ale tak się wyparzy, że go własna kobieta poznać nie może, taki czysty i wymyty. U nas zaś, jak wspominałem, chłop jest tak zaniedbany, że całe życie wody jego ciało nie widzi, chyba jak go deszcz porządnie zmoczy.

O innych stowarzyszeniach pokrótce tylko powiem. Mamy więc Straż Ogniową, które ze względu na bezpieczeństwo wszędzie są zakładane. Mamy Kółko Rolnicze, które właściwie powinno być w każdej parafii i obok własnych zadań, winno być jakby matką, rodzącą myśli inne i projekty społeczne. Pomijam już inne zadania Kółka, ale weźmy chociażby najważniejszą teraz sprawę – drenowania pól. Wszak, jeżeli to drenowanie pójdzie w takim tempie, jak u nas w centralnych punktach, to doprawdy za lat 10 zwiększymy obszar uprawny Polski o dwa razy, bo, oczywiście, produkcja odpowiednio się zwiększy; czyli – skarby mamy wielkie, roboty przed nami dużo, byleby się szczerze do niej zabrać.

W dalszym ciągu założyliśmy także Kółko Gospodyń Wiejskich. Kółko nasze utrzymuje ochronkę, czyli przedszkole, miewa pogadanki, sprowadza nasiona, dąży do poprawy rasy drobiu, a przede wszystkim uspołecznia kobiety. Słyszeliście już, że wywóz jaj kurzych jest u nas czasami większy, niż węgla z zagłębi naszych. Dzisiaj stoimy, zdaje się, na pierwszym miejscu pod względem wywozu jaj. Nie znaczy to bynajmniej, że doskonale ten dział drobiu jest prowadzony. Decyduje tu raczej skąpstwo i oszczędność spożycia, bo dzisiaj, niestety, dlatego tak dużo się sprzedaje, że matka żałuje dziecku jajka, żałuje lepszego przyprawienia strawy. To jajko w chacie jest tylko na święcone, albo, jeżeli ktoś zachoruje, to mu dadzą z kiełbasą, ale przedmiotem codziennego spożycia nie jest. Mógłby być jednak ten sam i większy wywóz, a spożycie wiele razy większe, niż jest dzisiaj, gdyby przystąpiono do racjonalnej hodowli kur.

Zwróciliśmy też uwagę na Stowarzyszenie Młodzieży, bo jeżeli wierzymy, że młodzież – to nasza przyszłość, to naturalnie, musimy jej pomagać w zorganizowaniu, musimy ją za młodu przyzwyczajać do pracy wspólnej, spółdzielczej.

Już to jest na świecie w pracy społecznej, że najtrudniej zacząć, z chwilą jednak otwarcia jednej instytucji, rodzi się konieczność powstania drugiej itd. Otóż dzięki temu, że cały szereg instytucji w Liskowie istniał, zwrócono uwagę na naszą wioskę i powstało u nas kilka zawodowych szkół, które spełniają doniosłą rolę już nie tylko na miejscu i w okolicy, ale obsługują nieomal całą Rzeczpospolitą. Jedną z takich szkół, która powstała w roku 1913 przy pomocy Centralnego Towarzystwa Rolniczego i przy pomocy kilku miejscowych obywateli, była szkoła rolnicza, od paru lat zmieniona na Szkołę Hodowlaną. Jest to właściwie

jedyna tego rodzaju szkoła w państwie naszym o pięciomiesięcznym kursie, wychowująca kontrolerów obór, względnie tych żywicieli hodowlanych, którzy mają pracować przy mleczarniach, Kurs, jak powiedziałem, jest pięciomiesięczny. Kandydatów mamy bardzo dużo. Od kandydata wymagają, żeby przedtem skończył jakąś szkołę rolniczą roczną, albo miał doskonałą praktykę obok ukończenia siedmioklasowej szkoły powszechnej. Wymagania są większe, gdyż dla krótkości czasu kandydat winien być dobrze przygotowany, wykłady są bowiem bardzo treściwe. A jak wielkie jest zapotrzebowanie na tych żywicieli, jest to dowodem, że uczniowie jeszcze nie skończą, a już wszyscy mają zapewnione posady, ba, nawet więcej jest posad, niż uczniów. Warunki pracy są bardzo dogodne, bo już na początku taki instruktor otrzymuje 100 zł, a później 200-300 zł przy całkowitym utrzymaniu.

Drugą, tak samo wyjątkową prawie dotychczas szkołą, jest Szkoła Mleczarska w Liskowie. Jest podobna w Rzeszowie, ale nasza z kursem pięciomiesięcznym. Może trochę za krótko trwa nauka, lecz zapotrzebowanie na mleczarzy jest tak duże, że należy ich na razie z pośpiechem wychowywać. Kandydaci są przyjmowani ze świadectwem 7 klasy szkoły powszechnej i po odbyciu kilkumiesięcznej praktyki przy mleczarni. Miejsc jest właściwie 40, a zgłoszeń z górą 200; przyjętych zostało ostatnio 48. Uczniowie ci już w lutym kończą, a 1-go marca rozpoczyna się nowy kurs. Tak w jednej, jak i w drugiej szkole bardzo dużo jest kresowiaków, bardzo dużo jest młodzieży z Wileńszczyzny i muszę podkreślić z wielkim zadowoleniem, że najlepsi uczniowie, najlepiej się sprawujący i wchłaniający wiedzę, to właśnie ci z kresów.

Inną jeszcze szkołą zawodową jest Szkoła Rzemieślniczo-Przemysłowa.

Niegdyś w Liskowie mieliśmy gimnazjum i ono trwało kilka lat, następnie 4 lata tylko seminarium nauczycielskie, ale doszliśmy do przekonania, że daleko więcej potrzeba Polsce ludzi o fachowym, zawodowym wykształceniu, niż ludzi z maturami, dyplomami itp. Na ich miejsce jest ta szkoła rzemieślniczo-przemysłowa, która dzieli się na dwa działy: jeden ślusarsko-mechaniczny, drugi ślusarsko-zabawkarski. Kurs jest 3-letni. Od wstępujących wymaga się wieku lat 14-tu i przynajmniej 5 oddz. szkoły powszechnej. Obok tego istnieje także szkoła zawodowa dla dziewcząt z 3-letnim kursem, gdzie uczą się kroju, szycia, haftu, kilimkarstwa, tkactwa, a poza tym w tym roku zostały otwarte kursy gospodarstwa domowego, gdzie jest nauka gotowania, prania, pielęgnowania dzieci, hodowli drobiu i innych przedmiotów kobietom potrzebnych.

Wreszcie, również dzięki temu właśnie skupieniu u nas różnych instytucji i szkół zawodowych, w roku 1920 nieomal że nam narzucono jedną z największych dziś instytucji w Liskowie, to jest sierociniec.

Zakład ten był zapoczątkowany podczas wojny w Białymstoku i utrzymywany przez amerykański Czerwony Krzyż. Kiedy bolszewicy w roku 1920 zaczęli się zbliżać do Białegostoku, wówczas dzieci przeniesiono do nas. Przeniesienie miało być chwilowe na lato, a nastąpiło dlatego, że jesteśmy bardziej w głębi kraju, a przy tym mieliśmy wolne budynki. Kiedy już niebezpieczeństwo minęło, zamiast budynki opróżnić i wracać, zwrócono się do mnie z prośbą, żeby dzieci na stałe zatrzymać, bo przeniesienie z powrotem pociągałoby wielkie koszty odbudowy itd. Postawiłem wówczas jako warunek, żeby rząd dał pieniądze na budowę odpowiednich pawilonów oraz wpłacił nam na utrzymanie dzieci. Rząd się zgodził. Amerykanie dali całe wewnętrzne urządzenie. Parafianie moi też przyczynili się, ofiarowując pod zakład 7 i pół morga na ten cel ziemi i w ten sposób kolonia ta u nas powstała. Są w niej przeważnie dzieci kresowe, mianowicie 250 na ogólną liczbę 320. Jesteśmy radzi, że te dzieci wyrwano ze

szpon bolszewickich, a prawdopodobnie i ze szpon śmierci głodowej, ale bardziej jeszcze, że pod opieką Sióstr Służebniczek dzieci te mają możliwość wychowywania się w zdrowym narodowym katolickim duchu. Należy dodać, że nasz sierociniec różni się od innych podobnych zakładów filantropijnych tym, że gdy inne wychowują dzieci do lat 12-13 tylko, u nas dziecko pozostaje od lat 3 do 18, to jest dopóki nie skończy szkoły powszechnej i zawodowej. Dopiero, kiedy skończy szkołę zawodową, dajemy mu jeszcze posadę i puszczamy w świat, czyli młodziu ta nie jest już ciężarem dla społeczeństwa. Przy sierocińcu jest też szpital na 30 łóżek i gabinet dentystyczny, tak, że dzieci są dostatecznie pod każdym względem obsłużone.

To są mniej więcej opisy tych zakładów, jakie założyliśmy, a o których – raz jeszcze podkreślam – mówię nie dlatego, żeby tu wywołać jakiś podziw czy pochwałę. Proszę mi wierzyć, że to, cośmy zrobili, to wszędzie można zrobić. Nie ma tu nic cudownego czy nadzwyczajnego. Trudno, oczywiście, żeby takie sierocińce wszędzie powstały, ale inne instytucje, zwłaszcza spółdzielnie, po większych wsiach i miasteczkach założyć można. Jeżeli czasem ludzie narzekają w takiej pracy, że to i owo zawiodło lub nie udało się, proszę mi wierzyć, że zazwyczaj bywa to skutek nieprzestrzegania koniecznych warunków. Jakież są te warunki, czyli czego potrzeba, ażeby zapewnić powodzenie w pracy społecznej?

Przede wszystkim osobistej ofiarności inicjatora, czy inicjatorów takiej pracy. Nigdy masa, tłum nie stworzyły i nie powołały niczego dobrego do życia. Zawsze daje inicjatywę jednostka, następnie dwie, trzy osoby się łączą, by akcję w całej pełni rozpocząć i masy wciągnąć. Należy jednak zacząć od siebie, trzeba, żeby jednostka (czy kilku ludzi) potrafiła poświęcić czas i pieniądze. Trzeba często nawet dosyć głęboko sięgnąć do własnej kieszeni. Ci zwłaszcza, którzy nie mają rodzinnych obowiązków, jak my, księża – nie powinni na ten cel grosza żałować. Kiedy inicjator – społecznik będzie liczył, że dajmy na to, jakaś podróz, książka, zebranie dużo kosztuje, a może żał mu groszy na znaczek do listu, to taki niech się nawet do rzeczy nie bierze, bo praca społeczna zysku nie przynosi, przeciwnie, od początku wymaga ofiar.

Drugim warunkiem jest wyrabianie ludzi na miejscu, źle by było, gdyby ktoś zabrał się do pracy i koncentrował całą siłę, całą znajomość rzeczy na sobie albo importował ludzi skądinąd i na nich budował tę pracę społeczną. Konieczne jest wyrabianie ludzi miejscowych, ludzi, którzy tam stale siedzą, którzy tę pracę daleko więcej umiują, niż każdy inny przybysz. Czasem spotykam się z zarzutem, dla mnie dość przykrym, że „póki ksiądz jest, to wszystko idzie, a później to wszystko upadnie”. Być może tak mogło być w początkach, jakieś 10 lat temu. Dziś już zupełnie śmiało mogę zapewnić, że oprócz jednego sierocińca, który potrzebuje przez czas pewien większej pomocy i opieki, wszystkie inne instytucje mają być zapewnione, same się rozwijają i rozwijać będą. Najlepszym dowodem tego jest, że każda z tych instytucji, mając 6-ciu członków rady i 3-ch zarządu, ma w zarządzie zazwyczaj wszystkich trzech miejscowych gospodarzy, a na 6-ciu członków rady – jeden jest ksiądz, jeden obywatel i 4 również gospodarzy małorolnych, czy bezrolnych, i ci tak się wyrobili, że jakiegokolwiek zmiany ze strony proboszcza czy inteligenta nie grożą całoci pracy, jak się tego niektórzy obawiają.

Dalszym warunkiem, żeby praca społeczna się rozwijała, jest wykluczenie z niej polityki. Chcesz politykować – to idź na wiec czy zapisz się do partii. My w pracy społecznej widzimy tylko członka mleczarni czy innej spółdzielni. Nie patrzyliśmy na przekonania, pragnęliśmy tylko, żeby był dobrym członkiem w spółdzielni. Jako fakt charakterystyczny przytoczę, że stowarzyszenie spożywcze liczy obecnie 180 członków, podczas gdy 3 lata temu liczyło około 300. Dlaczego nastąpiło tak znacznie zmniejszenie? Dlatego, że to byli

„wojenni” członkowie, którzy zapisali się do spółdzielni w ciężkich czasach dla otrzymania przydziałów. nafty, soli itp. Później ich nie widziano i dlatego wykreślono. Nie chodzi nam tyle o ilość, ile o jakość członka, który by brał czynny udział w pracy.

Ważnym również warunkiem jest należenie do Związku. Jeżeliśmy z początku przechodzili nieraz ciężkie bardzo chwile w naszej spółdzielni spożywczej, to dlatego, że Związkowi nie było. Z chwilą, kiedy dzisiaj jest, każda kasa, mleczarnia, czy spółdzielnia powinna bezwarunkowo zapisać się do Związku Rewizyjnego. Opowiadanie, że to wiele kosztuje – to to samo, co narzekanie, że asekuracja kosztuje. Przecież wszystko się nie pali, a jednak ubezpieczamy się od ognia. Musimy więc i tutaj się zabezpieczyć na wypadek różnych ewentualności, a właśnie najskuteczniejszym ubezpieczeniem jest zapisanie się do Związku i żądanie, żeby on udzielał porad, dawał odpowiednie uwagi, wskazówki, kontrolował działalność.

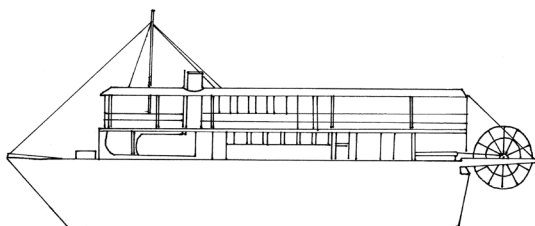
Dalszym warunkiem powodzenia jest angażowanie kobiet do tej pracy społecznej. Pamiętam, że kiedyśmy założyli Kółko Rolnicze i Sklep Spółdzielczy, to po roku ze zdziwieniem zauważyłem, że zamiast członków na zebraniach przybywać, to ich ubywało. Co było przyczyną? – Kobieta. Mianowicie mężowie nie dostali pozwolenia od swych żon na te pogadanki. Nie wiem, jak gdzie indziej, ale u nas kobieta ma w ogóle bardzo duży wpływ na męża i rodzinę. I oto żony po prostu terroryzowały swych mężów, gdy wracali do domów nieco później po takim zebraniu; choć wstydził się przyznać, że się boi kobiety, ale – by się więcej nie narażać – zebranie wołał opuścić. Dopiero kiedyśmy przekonali kobiety, że się przeciw nim nic nie spiskuje, że praca spółdzielcza wyjdzie na ich własne dobro, kiedyśmy je zaprosili na zebranie, do zarządu, stworzyliśmy koło kobiece itd. – wtedy się karta odwróciła i kobiety nie tylko nie przeszkadzały, ale zachęcały, często nakazywały swym mężom na zebrania chodzić, do spółdzielni należeć.

Wreszcie najważniejszym warunkiem jest wytrwałość. U nas Polaków tej wytrwałości jest w ogóle mało. Jesteśmy dosyć zapalnym narodem, siejąc, chcielibyśmy zaraz sprzątać, tymczasem wiemy, że nieraz jeden sieje, drugi dopiero szczęśliwszy zbiera. Praca, o której mowa, jest pracą na dłuższy okres. Poza tym, gdy tylko coś nam się nie uda, to rzucamy na innych wyrazy potępienia, niewdzięczności, głupoty, a nie szukamy w sobie przyczyny, w swojej duszy, w swojej inicjatywie, nie staramy się dowiedzieć, że może w nas leży przyczyna niepowodzenia, może za wcześnie zaczęliśmy, czy może nie z tego końca. Natomiast, jeżeli człowiek krytycznie się zanalizuje, weźmie się ponownie z wytrwałością chociażby po raz drugi lub trzeci do roboty, to bezwarunkowo doprowadzi sprawę do końca. Pamiętajmy, że „wiatr gasi łożówki, a rozplomienia pochodnie”, że przeszkody są na to, żebyśmy je zwalczali, a nie na to, żeby się im poddawać. A więc przeszkody powinny raczej nas podniecać do roboty, zwłaszcza, że tu chodzi o robotę wielką, która kładzie fundament pod szczęśliwą przyszłość Państwa naszego.

Wybaczenie, jeżeli was nieco znużyłem tym dłuższym przedstawieniem, ale to dlatego, że o tego rodzaju pracy nigdy chyba dosyć mówić. Zresztą pola do pracy dużo – a robotników stosunkowo mało, a do tych, co są, odzywam się słowami gorącej zachęty, słowami poety:

*Spółem, druhowie, naprzód a śmiało
Do spólnych celów zdążajcie wraz!
Gnuśnić beczynnie wam nie przystało!
Bo całej Polski nadzieja w was!*

SPÓŁDZIELNIA
KREATYWNA.
NA WŁASNYCH
ZASADACH



PAROSTATEK. JAK Z WIELU ŁODZI ZROBIĆ FLOTĘ?

W ostatnich latach w Polsce powstaje coraz więcej spółdzielni socjalnych wpisujących się w szeroko rozumianą koncepcję „przemysłu kreatywnego”, czyli działalności gospodarczej łączącej aktywność kulturalną i artystyczną z przedsiębiorczością. W powszechnej wyobraźni jest to domena wyspecjalizowanych agencji kreatywnych oraz rosnącej szybko armii freelancerów. Rośnie jednak liczba wolnych strzelców, dostrzegających korzyści z połączenia swojego potencjału z innymi, mającymi podobne umiejętności i wiedzę. Są gotowi to zrobić, jeśli nowej firmie uda się zachować równowagę między obowiązkiem, współodpowiedzialnością za zespół, a swobodą tworzenia.

Wiele osób współtworzących ten sektor gospodarki jest aktywna także w sektorze kultury – trudno oddzielić np. design czy opracowywanie scenariuszy gier miejskich od działalności kulturalnej i edukacyjnej. Dla ludzi, którzy nie chcą oddzielać swoich pasji od pracy kreatywnej, dobrym miejscem pracy okazują się „kreatywne kooperatywy”. Cieszyńska spółdzielnia socjalna „Parostatek” jest przykładem organizacji, która w spółdzielczości znajduje przede wszystkim elastyczność zapewniającą swobodę tworzenia i możliwość samorozwoju opartego na równowadze między działalnością kulturalną i zarobkową.

Praca w małych kooperatywach, umożliwiającą elastyczne dopasowanie czasu i miejsca pracy do indywidualnych potrzeb każdego z członków i członkiń spółdzielni, ma także duże znaczenie dla ludzi, którzy nie są w stanie albo nie chcą podjąć pracy na cały etat. Dotyczy to osób mających inne obowiązki, np. łączących pracę z opieką nad osobą starszą lub niepełnosprawną czy kobiet łączących pracę z wychowaniem dzieci. Taka uzgodniona z całym zespołem i zapisana w statucie elastyczność może być najważniejszą zaletą tego typu miejsca pracy.

Tego typu spółdzielnie mogą spotkać także problemy, takie jak: słaba stabilność finansowa, trudności administracyjne, trudności z pozyskiwaniem większych zleceń, wynikające najczęściej z niewielkiej skali działania. Problemy małej skali mogłoby rozwiązać przenoszenie czynności administracyjnych czy marketingowych na wyższy poziom – np. poprzez tworzenie związków branżowych, przejmujących część zadań od małych kooperatyw. Aby takie związki powstały lub zaczęły działać w ramach już istniejących struktur, potrzebny będzie lobbing samych spółdzielni i wyjście wyobraźnią trochę dalej niż najbliższe

podwórko. W tradycjach spółdzielczych możemy odnaleźć inspirujące wzorce, jednak same zasady organizacyjne dla przyszłych „związków spółdzielni kreatywnych” trzeba wypracować wspólnie od podstaw.

W tej części naszej antologii łączymy teksty poświęcone „kreatywnym” spółdzielniom pracy z wątkiem praw kobiet w spółdzielczości. Prezentujemy spółdzielnię socjalną „Parostatek”, prowadzącą Centrum Warsztatowe, w którym odbywają się m.in. warsztaty z rękodzieła, zajmującą się tzw. Żywą Architekturą (m.in. konstrukcje z żywej wierzby), organizuje także spacer, gry miejskie, spływy kajakowe, oraz projektuje nietypowe gadżety. Wywiad z członkinią spółdzielni zestawiamy z tekstami historycznymi dotyczącymi praw kobiet w ruchu spółdzielczym (referat Marii Orsetti i działaczki Szkockiej Ligi Kooperatystek dotyczące równouprawniania kobiet w spółdzielniach spożywców), a także z artykułem dotyczącym przedwojennej spółdzielni inżynierów („Grupa Techniczna”) i rozważaniami na temat związków spółdzielczości ze sztuką (tekst Edmunda Zalewskiego „Spółdzielczość i nowa sztuka”). Dzisiejsze „spółdzielnie kreatywne”, choć działają w innych sferach, takich jak rękodzieło, design czy informatyka, a swoją działalność opisują zupełnie innym językiem, łączą w sobie wartości i idee obecne w dawnych tekstach spółdzielczych.

Grupa techniczna

Historia spółdzielczości w Polsce zna przykłady do pewnego stopnia podobnych, choć działających w zupełnie innych warunkach, „kreatywnych” spółdzielni pracy. Przedwojennej warszawskiej spółdzielni inżynierów, „Grupie Technicznej”, opisanej przez Tadeusza Mianowskiego, towarzyszyły podobne idee, jakie dziś możemy odkryć wśród młodych techników w fab-labach, hackerspace’ach, teamach programistów, miłośników open source i wolnego oprogramowania, grupach coworkingowych... Trzeba jednak podkreślić, że dziś branża twórców, techników, inżynierów, rzemieślników i samouków nie jest wyłącznie domeną mężczyzn, co pokazuje dobitnie przykład Parostatku. W rozdziale o spółdzielniach kreatywnych prezentujemy więc zarówno idee spraw kobiet w ruchu spółdzielczym, jak i tworzenia inkubatorów nowych pomysłów technicznych i miejsc pracy dla ludzi chcących tworzyć we współpracy z przyjaciółmi podzielnymi ich zainteresowania.

Artykuł o „Grupie Technicznej” ma jeszcze jedną istotną wartość – jest opisem pomysłu na praktyczną formę edukacji zawodowej i wychowawczej, w której równie ważne jak samo świadczenie usług staje się kształcenie nowych kadr – kierowników i techników dla polskiego przemysłu. Wątek ten jest wart ponownej refleksji szczególnie w kontekście wzrostu zainteresowania reindustrializacją. Pozostawienie tego zadania „niewidzialnej ręce rynku”, bez kształcenia moralnie odpowiedzialnych i etycznych kadr, nie zmieni niczego w polskiej rzeczywistości.

O spółdzielni Parostatek opowiada Anna Falkiewicz

Zakładając spółdzielnię, nie interesowałyśmy się historią kooperacji. Istotne były dla nas współczesne odniesienia, dobre praktyki kooperatyw działających obecnie. Natomiast teraz zaczęłam się zastanawiać, czy może nie warto było poczytać trochę „klasyków”. Może znalazłybyśmy tam rozwiązania napotkanych problemów i nie popełniłybyśmy tylu błędów?

Parostatek założyło siedem dziewczyn. Od samego początku nasze zaangażowanie w tworzenie spółdzielni nie było równe – było dopasowane do indywidualnych potrzeb i możliwości. Dlatego od początku niektóre z nas były zatrudnione na cały etat, inne tylko na 1/8. Dość szybko jednak okazało się, że nie wiemy, jak liczyć zaangażowanie w pracę w spółdzielni i dzielić zyski, kiedy już zaczęły się pojawiać. Zaczęłyśmy wtedy poszukiwać odpowiedzi wśród już istniejących inicjatyw podobnych do naszej, albo u specjalistów z Ośrodków Wspierania Ekonomii Społecznej. Uczyliśmy się, jak zarządzać pracą, jak ją liczyć, wyceniać i opłacać w taki sposób, żeby nikt nie czuł się pokrzywdzony czy niedoceniony. Na tej podstawie wypracowałyśmy własny model zarządzania czasem, kompetencjami i finansami i myślę, że działa on całkiem dobrze, choć jego stworzenie nie było proste.

Teraz widzę, że znajomość trzeciej zasady roczdelskiej: „udział członka w nadwyżce proporcjonalny do jego świadczeń na rzecz spółdzielni” zaoszczędziło by nam sporo czasu i energii. Wychodziłyśmy z równościowych, idealistycznych założeń i trochę zajęło nam dojście do konkluzji, że równość w tym wypadku oznacza proporcjonalnie do wkładu pracy i wiedzy, a nie „każdemu po równo”. Wdrożenie zasad wynagradzania w taki sposób, by wszyscy zainteresowani się na niego zgodzili, jest niezwykle ważne dla spółdzielni opartych na wkładzie pracy.

Autonomia i elastyczność

Klasyczne zasady spółdzielcze są dla nas bardzo ważne i tkwią w każdej z nas, mimo że ich wcześniej nie znałyśmy. Najważniejsze są chyba autonomia i demokracja – czyli to, że każda z nas może czuć się współtwórczynią swojego miejsca pracy, że możemy o nim współdecydować i dogadywać się bez hierarchii, wywyższania się czy „szefowania”. Ważna jest także konieczność zaangażowania społecznego, ponieważ wybór spółdzielni socjalnej jako formuły prawnej dla Parostatku, był naturalną konsekwencją naszych wcześniejszych działań.

Oprócz zasad spółdzielczych warto także podkreślić znaczenie wartości „kobiecych”. Nie bez znaczenia jest dla nas możliwość samodzielnego regulowania trybu pracy i godzin, w których jesteśmy „w firmie” i w domu. Docelowo wartość elastycznego układania grafiku obowiązków domowych i zawodowych będzie prawdopodobnie rosła z kolejnymi dziećmi w naszej spółdzielczej rodzinie, ale nie planowałyśmy, że Parostatek będzie wyłącznie kobiecą spółdzielnią, tak się akurat złożyło. Znamy oczywiście feministyczne projekty spółdzielcze, przedwojenna Liga Kooperatystek¹⁸ czy nazwisko Marii Orsetti¹⁹ nie są nam obce, jednak nie będę udawać że znamy je bardzo dobrze. Za to teraz chętnie doczytam o tym co robiły nasze „babcie” – pionierki-kooperatystki.

18 Liga Kooperatystek to organizacja założona w 1935 roku przez środowiska kobiece skupione wokół spółdzielczości spożywców. Organizacja wzorowała się na angielskiej Lidze Kooperatystek założonej w 1885 roku. Pomysłodawczynią organizacji była Maria Orsetti. Działały w niej m.in. także Zofia Bednarczykowa, Maria Rapacka czy Janina Świącicka. Celem organizacji było propagowanie kooperacji wśród kobiet oraz walka o równouprawnienie kobiet w ruchu spółdzielczym. Por. Zofia-Chyra-Rolicz, „Kobiety do spółdzielni. Liga Kooperatystek w Polsce 1935-1944”, <http://lewicowo.pl/kobiety-do-spoldzielni-liga-kooperatystek-w-polsce-1935-1944/> (dostęp: 29.11.2015, przyp. red.)

19 Maria Orsetti (1887-1953): działaczka spółdzielcza, dokotr nauk społecznych, publicystka, tłumaczka. Działała w Lubelskiej Spółdzielni Spożywców, współzakładała Stowarzyszenie Spółdzielcze "Książka" oraz Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową. Współtwórczyni Ligi Kooperatystek.

Do spółdzielczości większość z nas trafiła z sektora pozarządowego. Wszystkie jesteśmy typem „zmieniaczek świata”. Większość dorosłego, więc i zawodowego życia byłyśmy zaangażowane w różne inicjatywy społeczne, najczęściej lokalne, rządzące się kolektywnymi, demokratycznymi zasadami. Gdy zakładałyśmy naszą spółdzielnię, zależało nam bardzo na zachowaniu tej kultury pracy, uzgadniania zasad, zgodnego dzielenia obowiązków itd. Myśl o tym, że możemy na bazie już istniejącego zespołu stworzyć własne miejsca pracy, dojrzewała przez kilka lat. Pomysł wyszedł ze Stowarzyszenia Serfenta, w którym działałyśmy. Stowarzyszenie zajmowało się promocją rzemiosła, organizacją warsztatów edukacyjnych, imprez i co jakiś czas okazywało się, że ktoś chce kupić od nas jakieś usługi lub wykonane w trakcie warsztatów przedmioty, a w formule prawnej stowarzyszenia nie mogłyśmy tego robić. Spółdzielnia jest więc miejscem pracy, ale też realizowania naszych społecznych pasji – zgodnie z zasadą troski o społeczność lokalną czy konieczność prowadzenia działań edukacyjnych. Nie jest to proste do pogodzenia, bo widzimy też, jak wiele naszych założeń dotyczących społecznego zaangażowania jest weryfikowanych przez życie i konieczność prowadzenia pracy zarobkowej. Ten temat – równowagi między pracą „komercyjną” a misją społeczną jest cały czas otwarty, wymaga regularnej czujności i dyskusji, i na pewno jeszcze nie raz będzie poruszany podczas naszych zebrań.

Budowanie od podstaw

Tu jest też przyczyna naszej największej słabości. Zakładając spółdzielnię, żadna z nas nie miała wcześniejszego doświadczenia w samodzielnym prowadzeniu firmy. Na początku brakowało nam wiedzy i wyobraźni jak poskładać wszystkie procesy, z których składa się „firma”. Mimo, że bardzo skorzystałyśmy ze szkoleń, jakie oferował wspierający nas OWES, nauczyłyśmy się tam podstaw marketingu, zarządzania, tworzenia procedur itd., to ta „startowa” opieka jest moim zdaniem niewystarczająca. Bardzo dużo czasu zajęło nam zrozumienie, o czym specjaliści z Warszawy do nas mówią. Nie miałyśmy żadnych punktów odniesienia, każda z nas znała swój fach, ale poskładanie tego w jeden organizm nie było proste. Znacznie więcej czasu poświęciłyśmy na zgłębianie tego, jak prowadzić działalność zarobkową, bo działalność wolontariuszek mamy chyba we krwi. Patrząc na liczbę zleceń wykonanych „do portfolio”, uważamy, że może mieć to niebezpieczne konsekwencje (śmiech).

Czytając zasady roczdelskie, zastanawiam się, na ile istotna jest dla nas zasada otwartości. Dyskutowałyśmy o tym wiele razy i teoretycznie jesteśmy jak najbardziej otwarte na nowe członkinie i członków, ale od założenia spółdzielni nikt nowy się do nas nie zapisał. Teraz zastanawiam się, czy czegoś przez to nie tracimy, albo czy nasza otwartość jest faktyczna, czy pozostaje tylko w sferze deklaracji. W przypadku spółdzielni pracy dołączanie kolejnych osób może nie być takie proste, szczególnie gdy już istniejący zespół łączy więzy koleżeńskie. To może stanowić jakąś barierę rozwoju i widzę, że jest to temat, nad którym warto jeszcze popracować. Trudność widzę w tym, że kiedy pojawia się nowa osoba, to nie zawsze rozumie zasady współodpowiedzialności. Gdy zamiast „gotowego” miejsca pracy, okazuje się, że trzeba to dopiero zorganizować, włożyć wysiłek, że spółdzielnia daje możliwości, ale też wymaga innego zaangażowania niż praca w „zwykłej” firmie, to okazuje się, że wielu osobom to nie odpowiada.

Współczesne zasady spółdzielcze mówią o otwartości w kontekście współpracy z innymi spółdzielniami. Nie myślałyśmy o tym wcześniej, ale gdyby trzeba było połączyć z kimś siły do zrealizowania większego zlecenia, to raczej nie miałybyśmy z tym problemu.

*{ Niech tylko kobiety raz przejrzą na swe widzące
oczy i pojmą, że poza spółdzielczością interesy
ludzkie zwykły się kłócić, ścierać, rozbiegać i wzajem
wykluczać, wtedy rzucą się gromadnie do zakładania
mocnych podwalin pod gmach spółdzielczości. Wtedy
też przyszłość kooperacji w Polsce będzie zapewniona.
(Kobieta w ruchu spółdzielczym – autor nieznany, 1919)*

ŚLADAMI LIGI KOOPERATYSTEK

Prawa Kobiet w ruchu spółdzielczym. Otwarte członkostwo.

Streszczenie referatu P. Hardstaff, przewodniczącej Szkockiej Ligi Kooperatystek, „Społem” nr 15-16/1930

Twierdzić można z całkowitą słuszością, iż kobiety nie zajmują dotychczas przynależnego im miejsca w ruchu spółdzielczym.

Materialny rozwój spółdzielczości, zależny od siły zakupu i od woli zakupywania w spółdzielniach, jest ściśle związany z kobietą: zarówno z kobietą – członkiem, jak i z kobietą – żoną członka.

Zatem tempo postępu ruchu spółdzielczego określają kobiety, pomimo nieznacznego udziału, jaki dotychczas przyjmują w jego kierownictwie. Te ostatnią okoliczność należy przypisać bądź temu, iż same są pozbawione praw członka, bądź też temu, iż zaniedbują ich wykorzystywanie, zadowolając się rolą podrzędną.

Wszystkie kobiety interesujące się postęпами ruchu spółdzielczego, powinny zwrócić uwagę na zagadnienie otwartego czy ograniczonego członkostwa.

Zazwyczaj, jeśli istnieją jakieś ograniczenia w przyjmowaniu na członków dowolnej liczby osób z jednej rodziny – to ofiarą ich pada kobieta. Ponieważ zaś przeważnie kobiety rozporządzają siłą zakupu – wszelkie przeszkody, jakie spółdzielnie stawiają przystępowaniu kobiet na członków, hamują własny ich rozwój i postęp.

Nic nie pomoże, jeśli wyłącznie mężczyźni będą zapalonymi spółdzielcami, gdyż nie mają oni mocy rozniecania w swych żonach entuzjazmu dla ruchu i skłaniania ich do lojalnych codziennych zakupów w spółdzielniach. Kobieta sama musi stać się częścią ruchu.

Niewiele stowarzyszeń w W. Brytanii stosuje jeszcze ograniczenia w przyjmowaniu członków i prócz nielicznych wyjątków, dostęp dla kobiet jest otwarty tak jak dla mężczyzn. Jednakowoż w niektórych spółdzielniach istnieją jeszcze ograniczenia. Niekiedy tylko jednej osobie z każdego ogniska domowego przysługuje prawo uzyskania członkostwa. W tych wypadkach członkiem jest przeważnie mężczyzna. Inne spółdzielnie stosują podwójne członkostwo, które polega na tym, iż prawo członka posiada zarówno mężczyzna, jak kobieta.

Wszakże w W. Brytanii podwójne członkostwo jest tylko pozorne. Faktycznie jedna osoba tylko jest członkiem, ta, mianowicie, której imię figuruje w książeczce członkowskiej na pierwszym miejscu. Prawo udziału w zebraniach spółdzielczych przysługuje jednej tylko z obu osób, przy czym zazwyczaj korzysta z tego prawa osoba zapisana na pierwszym miej-

scu. Niekiedy nawet wymagane jest jej pisemne zaświadczenie, aby z prawa uczestnictwa na zebraniu mogła korzystać druga osoba.

W innych krajach spotyka się istotne podwójne członkostwo, przy którym jeden udział uprawnia zarówno męża, jak żonę do brania udziału w zebraniach i głosowaniu. Metoda ta jest niezawodnie o wiele lepsza od innych form ograniczonego członkostwa. Wszakże nieograniczone otwarte członkostwo wydaje się być jedyną metodą demokratyczną, odpowiednią dla spółdzielni, pragnących wcielać w życie zasady i ideały spółdzielcze.

Argument, wysuwany zazwyczaj przeciwko otwartemu członkostwu, jest ten, iż powoduje ono zwiększenie liczby członków, ale jednocześnie redukuje przeciętną zakupów członkowskich. To prawda, ale z nie mniejszą słusnością można twierdzić, iż przyczynia się do powiększenia przeciętnych zakupów ogniska domowego, albowiem przez członkostwo obu rodziców i dzieci ożywia się w rodzinie zainteresowanie spółdzielczością.

W W. Brytanii niewiele jest już spółdzielni, które ograniczają swą działalność do działu żywności i artykułów domowego użytku. W niejednej spółdzielni młodzież ma możliwość nabywania przyborów do sportów i gier sportowych, jak golf, tenis, hockey, kolarstwo itp. oraz odpowiednich artykułów toaletowych. Młody chłopiec lub młoda dziewczyna wszystko zakupuje w spółdzielni, jeśli jest jej członkiem. Kiedy dziecko dochodzi do wieku, w którym samodzielnie zaczyna się troszczyć o swe ubranie, powinno być zachęcane do przystąpienia do spółdzielni i czynienia w niej wszelkich zakupów. Gdy młode pokolenie wcześniej nabiera przyzwyczajenia do zakupów spółdzielczych, rzadko później zwyczaj ten zarzuca. Już to jedno jest rzeczą ważną – ale nieobliczalne wprost korzyści płyną z pozyskania wpływu dodatkowych członków obu płci. Młodzież powinna być również zachęcona do oszczędzania i do posługiwania się spółdzielnią, jako bankiem dla drobnych oszczędności. Młodzi ludzie, gdy myślą o małżeństwie, zaczynają składać oszczędności. Jeżeli są członkami spółdzielni, to oszczędności te całkiem naturalnie będą do niej oddawać z obopólną korzyścią, zarówno dla stowarzyszenia, jak dla oszczędzającego. Ich członkostwo leży w interesie spółdzielni, albowiem, wzmagając fundusz udziałowy, umożliwia jej rozwój, otwieranie nowych działów, słowem, zwiększanie jej użyteczności.

Brak kapitału jest przeszkodą dla rozwoju spółdzielni. Podwójne członkostwo, które przy jednym udziale uprawnia do dwóch głosów, nie uwzględnia tej potrzeby. Niewiele jeszcze spośród naszych spółdzielni prowadzi dział artykułów aptecznych lub fryzjerie, pomimo iż chodzi tu o zaspokajanie potrzeb codziennych i nie powinno się zaniedbywać tych działów. Bardzo nieliczne dotychczas spółdzielnie założyły przedsiębiorstwa pogrzebowe, doprowadzając do znacznego obniżenia cen w tym dziale. Rozwój w tych wszystkich kierunkach wymaga kapitału. Otwartemu członkostwu towarzyszy wzrost kapitału udziałowego. Nasuwa się pytanie, w jaki sposób udziały mają być zbierane. Zazwyczaj odbywa się to w następującym porządku. Najpierw zapisuje na członka mąż i zwroty dywidendy służą do uzupełnienia jego udziału do wysokości wymaganej statutowo. Wówczas zapisuje się żona i znowu udział jej tworzy się za pomocą zwrotów dywidendy.

Kobiety nie zajmą nigdy należnego im miejsca w kierownictwie ruchu, o ile zasada otwartego członkostwa nie zostanie ogólnie przyjęta. Ze względu na tysiące kobiet zatrudnionych w przedsiębiorstwach spółdzielczych jest niezmiernie ważne, aby odpowiednia liczba kobiet spełniała funkcje dyrektorskie. Gdy chodzi o zaspokajanie specjalnych potrzeb kobiet i dzieci, jest bezwzględna koniecznością, aby spółdzielnia przy doborze asortymentu

korzystała z kompetencji kobiet w zakresie urządzenia domu i pielęgnacji dziecka. Większość zarządów grzeszy jednostronnością, gdyż składa się zupełnie albo przeważnie z mężczyzn. Nie mniejszą jednostronność spowodowałby skład wyłącznie kobiety. Jeżeli nawet przyjąć, iż podwójny głos rodzinny otwiera kobietom te same możliwości, co mężczyznom dla służenia ruchowi w organach kierowniczych – to jednak jest to pewnego rodzaju ograniczeniem członkostwa, ponieważ wyłącza z ruchu tę dorosłą młodzież obojga płci, której nie sądzonym jest założenie własnego ogniska domowego. A jednak powyższe osoby mogłyby nabywać w spółdzielniach ubranie i inne przedmioty, a współpraca ich w organach kierowniczych mogłaby być szczególnie cenna. Wszelkie ograniczenie członkostwa jest niedemokratyczne i hamuje postęp. Wymogi prawdziwego demokratyzmu i istotnego postępu ruchu spółdzielczego – to równe prawa, równe obowiązki i odpowiedzialność dla wszystkich – nikt nie powinien być pozbawiony możliwości oddawania usług w kierownictwie. Otwarte członkostwo stanowi krok w tym właśnie kierunku. Skoro ruch spółdzielczy we wszystkich krajach uzna w pełni prawa kobiety, gdy jej inteligencja i doświadczenie dopomogą do przezwyciężenia wielu przeszkód i powikłań, działających hamująco, skoro mężczyzna zrozumie, iż jedna płć sama nie sprostą zadaniu, że zarówno mężczyźni, jak kobiety, zrzeszeni w organizacjach spółdzielczych, muszą pracować wspólnie – wówczas ruch spółdzielczy czynić będzie szybkie postępy w skali międzynarodowej.

Podwójny głos rodzinny

Streszczenie referatu Dr. M. Orsetti z Polski

Zbytęcną wydaje się już dziś potrzeba bronięcia tezy, iż w ruchu spółdzielczości rola czynnika decydującego przypada kobiecie, ponieważ, skutkiem podziału pracy społecznej pomiędzy mężczyzną i kobietą, jej przypadło u udziale zarządzanie kolektywnym spożyciem ogniska domowego i rozporządzanie siłą zakupu rodziny miejskiej. Ta elementarna prawda jest już uznana wszędzie, gdzie kipi życie spółdzielcze i w teorii nie wywołuje żadnych obiekcji.

Niestety, pomiędzy teorią a rzeczywistością istnieje przepaść i praktyczna strona tego zagadnienia przedstawia jeszcze dotychczas żywotną doniosłość pierwszorzędnej wagi. Zagadnienie, jakie się tu nasuwa, można sformułować w sposób następujący: ustalić przyczyny oraz środki zaradcze dla paradoksalnego faktu, iż na ogół kobiety w swej masie odgrywają w ruchu spółdzielczym rolę mniej lub więcej nieznaczną i drugorzędną.

Próby wytłumaczenia tego dla ruchu spółdzielczego niezmiernie ujemnego zjawiska dadzą się podzielić na dwie grupy. Pierwszy charakteryzuje punkt widzenia indywidualistyczny, drugą zaś socjologiczny. Zwolennicy pierwszego poglądu, stojąc na gruncie czysto indywidualistycznym, są zdania, iż członkiem spółdzielni jest jednostka – mężczyzna lub kobieta, albowiem każdy jest spożywcą. Obrońcy poglądu socjologicznego twierdzą natomiast, iż elementarną komórką spółdzielczą jest nie poszczególne indywiduum, ale rodzina w swej funkcji ekonomicznej, czyli ognisko domowe. Ognisko domowe stanowi bowiem najmniejszą jednostkę składową kolektywnego spożycia społecznego. Pomimo indywidualistycznego charakteru dzisiejszego stroju społecznego – zaspokajanie głównych potrzeb materialnych jednostki (pożywienie, mieszkanie) odbywa się z reguły kolektywnie w ramach

ogniska domowego (wyjątek stanowią ogniska domowe ułamkowe – osób samotnych). Wynika z tego, iż jednostka zapisana na członka spółdzielni, jest nim nie w charakterze osobistym, ale w charakterze przedstawiciela ogniska domowego.

Istotnie, powracając do głębszego, często zapożyczanego sensu spółdzielczości – musimy widzieć w spółdzielniach zrzeszenie ognisk domowych w celu kolektywnego zaspokajania ich wspólnych, elementarnych potrzeb, związanych przede wszystkim z odżywianiem.

Jeżeli zgodzimy się na takie postawienie sprawy – a o ile nam wiadomo, żaden teoretyk kooperatywu temu nie przeczy – nietrudno będzie wykazać, iż kobieta nie korzysta w ruchu spółdzielczym z takich praw, jak mężczyzna.

Fakt, iż rejestry spółdzielcze wykazują przytłaczającą większość mężczyzn, tłumaczy się po prostu tym, że mężczyzna figuruje w nich w charakterze oficjalnego przedstawiciela rodziny. Struktura rodziny bowiem grzeszy jeszcze ciągle brakiem demokratyzmu, pomimo wyraźnej i bezsprzecznej ewolucji w tym kierunku. Prawa ojca rodziny uległy z biegiem wieków szczególnemu zwężeniu i w dalszym ciągu nie przestają w tym kierunku postępować – wszakże mężczyzna pozostaje oficjalnym przedstawicielem rodziny na zewnątrz i z tego tytułu członkostwo w spółdzielniach jest zapisywane zazwyczaj na niego.

Okoliczność powyższa staje się powodem sytuacji całkiem śmiesznych, gdy żony tych nominalnych członków, które swymi zakupami w spółdzielni przez cały rok rozstrzygają faktycznie o jej losie, nie są dopuszczane na zebrania spółdzielni, chyba z łaski, w charakterze gości. Czynnikiem decydującym staje się mężczyzna w sprawach, które leżą na ogół poza sferą jego kompetencji, jako że są sprawami rozszerzonego gospodarstwa domowego. Dla spraw tych mężczyzna nie ma zazwyczaj ani zrozumienia, ani zainteresowania, stąd pochodzi rozpaczliwa apatia zebrani członkowskich.

Sprzeczność ta, jak każda zasada kłamliwa, mści się srodze, sprawia bowiem, iż rzekomo demokratyczna struktura organizacji spółdzielczych staje się całkiem iluzoryczna, albowiem podstawowy postulat demokracji: „równa odpowiedzialność, równe prawa i równe obowiązki dla wszystkich członków kolektywu” została tutaj po prostu wywrócona na opak: jedni mają prawa, ale nie mają obowiązków, inni natomiast mają obowiązki, ale nie ponoszą za nie odpowiedzialności wobec pozbawienia praw.

Oczywiście, podobny stan rzeczy razi wrodzone każdej istocie ludzkiej poczucie sprawiedliwości. W fakcie, iż w organizacji wewnętrznej spółdzielni wymogom sprawiedliwości względem kobiety nie stało się zadość i jej wielowiekowa krzywda nie została wyrównana – można dopatrywać się jednej z głównych przyczyn owej chłodno-obojętnej postawy większości kobiet względem spółdzielczości, aczkolwiek geneza tego poczucia może nawet nie być przez nie jasno uświadamiana. W każdym razie sprawia to, iż ideały odrodzenia społecznego, jakie przyświecają spółdzielczości, i jakie jedyne są w stanie wywołać entuzjazm – nie zarysowują się przed kobietą z wystarczającą siłą, gdyż pozostają słowami. A bez entuzjazmu mas zrzeszonych w spółdzielniach, rozwijanie sprawy spółdzielczej jest niemożliwe.

Skutkiem tego nie jest zupełnie słuszne twierdzenie zwolenników poglądu indywidualistycznego, że całkowita odpowiedzialność za panujący stan rzeczy spada na ogólne warunki ekonomiczno-społeczne życia kobiet, a przede wszystkim na ich własną bierność. Ta ostatnia cecha ich usposobienia stoi na przeszkodzie, aby prawa i możliwości, jakie nadaje im spółdzielczość, zostały należycie wykorzystane. Pogląd powyższy opiera się zatem na założeniu, iż równouprawnienie formalne ruchu spółdzielczy zrealizował już od swego zarania.

W rzeczywistości jednak prócz przyczyn, podkreślanych przez kierunek indywidualistyczny istnieją, jakśmy widzieli, inne – natury prawnej i moralnej. Równouprawnienie obu płci nie jest jeszcze w spółdzielczości urzeczywistnione, pomimo tego, iż ani prawodawstwo spółdzielcze, ani statuty stowarzyszeń żadnych ograniczeń w tym względzie nie zawierają, w tym bowiem leży sedno zagadnienia. Zależnie od diagnozy zła różnią się oczywiście także proponowane środki zaradcze. Kierunek indywidualistyczny, nie uznając potrzeby żadnych głębszych zmian ustrojowych, ogranicza się do propagowania indywidualnego członkostwa kobiet. Odbywać się to może w dwojaki sposób. Albo na zasadzie tzw. otwartego członkostwa (open-membership), tj. przyjmowania na członków spółdzielni dowolnej liczby osób jednego ogniska domowego, lub też prowadzi do tego zmiana dotychczasowej taktyki zapisywania na członka mężczyzny, na korzyść gospodyni domu.

Z punktu widzenia zasad praktykę tego członkostwa uważać należy za błędną, ponieważ zapoznaje kolektywne podstawy spółdzielczości. Według niej członkostwo w spółdzielniach byłoby tak, jak w spółkach kapitalistycznych całkowicie i wyłącznie związane z wpłaceniem udziału – niezależnie od potrzeby i chęci aprowizowania się spółdzielczego. Jasne jest bowiem, iż członkostwo drugiej osoby ogniska domowego nie przysparza na ogół spółdzielni poważniejszego źródła nowych potrzeb i nowej siły zakupu. Dotyczy to zwłaszcza krajów o słabo rozwiniętym ruchu, gdzie spółdzielczość nie wyszła jeszcze poza dziedzinę potrzeb żywnościowych.

Również i z praktycznego punktu widzenia rozwiązanie, jakie przynosi „otwarte członkostwo” nie jest zadowalające, ponieważ wpłacanie podwójnego udziału w rodzinach niezamożnych, czyli najliczniejszych – stanowiłoby nieprzepartą trudność, pozostawia zatem kobiety z tych warstw poza nawiasem reformy, czyli koliduje z wymogami demokratyzmu. Drugie rozwiązanie kierunku indywidualistycznego, zmierzające do dania pierwszeństwa przy zapisywaniu się na członka kobiecie, wydaje się nam także wadliwe, w razie bowiem uogólnienia znaczyłoby wyłączenie mężczyzn. A przecież zwycięstwo idei spółdzielczej nie jest rzeczą łatwą – wymaga wysiłków mózgów i dobrej woli wszystkich. Spółdzielczość, jak każda wielka idea, interesuje wszystkich, ludzkość całą: zarówno mężczyzn jak kobiety, rozwiązanie takie grzeszy więc jednostronnością.

Przejdźmy do rozwiązań, które, wychodząc z założenia rodzinnego członkostwa, nadają faktyczne równouprawnienie dwóm głównym przedstawicielom ogniska domowego – mężczyźnie, jako głównej sile zarobkującej oraz kobiecie, jako faktycznej kierowniczce gospodarstwa domowego.

Istnieją dwa rozwiązania tego rodzaju, które przeszły już przez próbę życiową. Pierwsze, stosowane powszechnie w spółdzielniach szwajcarskich, polega na nadaniu drugiemu przedstawicielowi ogniska domowego prawa zastępowania członka nominalnego bez żadnych ograniczeń. Którykolwiek z małżonków może więc mieć głos decydujący na zebraniu spółdzielni i korzystać z biernego i czynnego prawa wyborczego. Liczba mandatów do organów kierowniczych na jedno ognisko jest ograniczona do jednego, ale jest rzeczą obojętną, czy takowy przypada osobie bezpośrednio zapisanej w rejestrze członkowskim, czy drugiemu przedstawicielowi jego ogniska domowego. (Spółdzielnia Bazylejska dopuszcza także jako przedstawicieli ogniska wszystkich jego pełnoletnich członków, co niezawodnie nie jest pozbawione znaczenia dla wciągania do spółdzielczości młodej generacji).

Zaletą metody szwajcarskiej jest jej prostota, słabą stroną niekompletność. W każdym razie w porównaniu do metod indywidualistycznych stanowi ona ogromny postęp.

Bardziej pełne rozwiązanie przynosi zasada: podwójny głos na ognisko domowe dla dwóch jego przedstawicieli, która polega na tym, iż dwaj główni przedstawiciele ogniska domowego rozporządzają niezależnie od siebie przy jednym udziale wszelkimi uprawnieniami członkostwa, z jednym zastrzeżeniem co do równoczesnego piastowania mandatów w organach kierowniczych, tak samo, jak w Szwajcarii.

Metoda podwójnego głosu rodzinnego stosowana jest przez niektóre spółdzielnie w Norwegii, które korzystają z bardzo liberalnego prawodawstwa (brak dotychczas specjalnego prawodawstwa spółdzielczego). Norweska Liga Kooperatystek dąży do upowszechnienia tej zasady w całym kraju i na jednej z ostatnich swych konferencji powzięła uchwałę w tym sensie.

W Niemczech propagatorem tej zasady jest wybitny kooperatysta, Bruno Zschätsch, redaktor wartościowego miesięcznika „Die Gemeinwirtschaft”, w którym w sposób systematyczny propaguje konieczność reformy w powyższym kierunku.

Zasada podwójnego głosu rodzinnego urzeczywistnia równouprawnienie pod względem płci i prócz trudności natury prawnej nie jest nam znany ani jeden poważny argument podważający jej uzasadnienie.

Konsekwencje takiej reformy byłyby niezawodnie bardzo rozległe i wyszłyby nawet poza ramy spółdzielczości, podnosząc położenie kobiety w rodzinie i w społeczeństwie. Kobieta znalazłaby w spółdzielczości zadośćuczynienie swej tęsknoty za sprawiedliwością społeczną w stosunku do niej, tęsknoty całkiem realnej, aczkolwiek może często nieświadomej. Przez to ustosunkowanie się jej do spółdzielczości uległoby pogłębieniu: nauczyłaby się ją cenić jako instytucję postępu społecznego, a nie ze względu tylko na korzyści materialne. Spółdzielczość zyskałaby przez to, być może, ową siłę moralnie odrodzeńczą, której potrzeba odczuwana jest dotkliwie we wszystkich krajach.

Zachodzi zatem potrzeba rewizji jednej ze słynnych reguł naszych czcigodnych przodków z Rochdale. Ale w rzeczywistości proponowana zmiana byłaby tylko rozbudową ich zasad w kierunku dalszej demokratyzacji, tj. w ich własnym duchu. Właściwie zmianie uległaby nie zasada, ale tylko sposób urzeczywistnienia postulatu demokracji: rozłożenia na wszystkich uczestników ruchu odpowiedzialności, praw i obowiązków. Formuła „jeden członek – jeden głos” to jakby pierwsze przybliżenie realizacji tego postulatu, przybliżenie, które, jak na ówczesne czasy, było niezawodnie wielkim postępem. Dziś nadszedł czas dla dalszych kroków dla osiągnięcia większego przybliżenia. Ma to właśnie na celu formuła „podwójny głos rodzinny”.

Przeprowadzenie tej reformy w praktyce utrudnione jest koniecznością odpowiedniej nowelizacji ustawodawstwa spółdzielczego. Z chwilą jednak, w której doniosłość tej sprawy zostanie uświadomiona, żadne trudności formalne nie będą stanowić przeszkody niepokonanej.

EDMUND ZALEWSKI

RUCH SPÓŁDZIELCZY SPOŁECZNY I NOWA SZTUKA (DROGI ZBLIŻENIA)

„RZECZPOSPOLITA SPÓŁDZIELCZA” (MIESIĘCZNIK) NR 1/1922

Może się wydawać zbyt paradoksalnym tytuł powyższy, z obojętnością czytelnicy przerzucą te kartki.

W kwietniowym numerze Rzeczypospolitej Spółdzielczej z roku zeszłego zamieściłem artykuł pt. „Idee piękna w ruchu spółdzielczym”. W artykule tym starałem się zaznaczyć i dowieść, że...

1) Ruch spółdzielczy jako ruch społeczny jest ruchem wybitnie reformatorskim i, jakkolwiek rozwija się na podstawach ekonomicznych i gospodarczych, to jednak wpływa niewątpliwie ze źródeł nieskończonych tęsknot ludzkości do ideałów Dobra.

2) Źródła te są wspólne zarówno dla ideałów Dobra, jak i dla ideałów Piękna, a z tych źródeł, wpływające dążenia ludzkie w jednym i w drugim kierunku, spotykają się na jednych i tych samych sferycznych szlakach marzeń i tęsknoty i na jednej i tej samej płaszczyźnie twórczej i konstrukcyjnej myśli społecznej.

Z tych założeń wychodząc, stwierdzałem, że w ruchu spółdzielczym istnieją wielkie idee piękna i że w rozwoju tegoż ruchu, budując nowe życie, rozwijamy również wszystkie nowe idee, wpływające z tych prawniejszych źródeł tęsknoty ku Doskonałości.

Budujemy nowe życie. To znaczy przez nasze organizacje spółdzielcze wywieramy wpływ na kształtowanie się stosunków społecznych, a pod naporem tych wpływów rozluźniają się i pękają okowy dotychczasowego ustroju społecznego, i nie jest to tylko czczym frazesem, że wpływy spółdzielcze z dziedziny życia gospodarczego rozciągają się na całe życie społeczne i że pewna zmiana jest nie abstrakcyjna, ale istotna.

Spółdzielczość, organizując gospodarstwo społeczne, jakkolwiek bezpośrednio dotyka tylko stosunków gospodarczych, to jednak jednocześnie odbija się na całej kulturze społecznej.

Wszędzie, gdziekolwiek powstają i powstaną osiedla spółdzielcze, jednocześnie prędej czy później ujmą one wszystkie zagadnienia życia zbiorowego.

Freidorf – Wolna Wieś, kolonia spółdzielcza w Szwajcarii, czyż nie dlatego została tak nazwana, że będzie rozwijała istotnie nowe wolne życie człowieka-spółdzielcy. Ziszczają się nieśmiertelne marzenia Owena, Fouriera i innych. Powstają kolonie spółdzielcze, samorządowe ognia federacji przyszłego ustroju Rzeczypospolitej Spółdzielczej.

Być może, iż są to gromkie słowa, ale w nich brzmi naprawdę spiżowy dźwięk współczesnych prac i poczynañ i zarazem echo dawnych marzeń praojców spółdzielczości.

Wolna Wieś – kolonia spółdzielcza odkrywa nowe horyzonty wspólnego zbiorowego życia i tym samym nowej kultury społecznej. I powstaje zagadnienie, jaka będzie ta nowa kultura społeczna. Czyż odziedziczy ona w spadku po świecie kapitalistycznym ferment i zgniliznę tych czasów, w których dusi się Sztuka, dusi się malarstwo, rzeźba, pieśń, muzyka, poezja, teatr, spętane „milionami” tych, dla których zadowolenia istnieją?

Przecież to fakt – Sztuka istnieje dzisiaj tylko dla warstw uprzywilejowanych. Kapitał zagarnął ją na wyłączną użyteczność bogatych snobów, spętał złotym przedziwem nieskończonej wartości pieniądza i zamknął w złotych klatkach salonów.

Ale malarze, poeci, muzycy – artyści duszą się w tej atmosferze blichtru i obłudnego kłamstwa. Już dawno z obozu szczerých artystów wyrывa się buntowniczy protest przeciwko spętaniu Sztuki i rozlega się okrzyk tęsknoty do nowego świata, świata przyszłości.

Wszystkie nowatorskie kierunki w Sztuce zbiegają się do granic nowego świata społeczności na linię demokracji ludowej, budującej nowy ustrój i nowy typ człowieka.

W malarstwie wszystkie nowatorskie kierunki, przez impresjonistów, ekspresjonistów, kubistów, formistów i futurystów idą po linii wielkiej tęsknoty do nowego, szczerého życia przyszłości. Zrywając z czczą i obłudną formułą naturalizmu, z kopiowaniem niedościgłej nigdy natury, z nieudolnym odtwarzaniem tego, co jest w naturze nieuchwytnie i niezmaterializowane, kierunki te poszukują innych form przetwarzania wrażeń i kontemplacji. Malarstwo to zrywa z ramami i stara się być na nowo malarstwem dekoracyjnym, wraca do swego monumentalnego przeznaczenia i chce być tym, czym było w wiekach dawnych. Malarstwo to związane jest z przeznaczeniem nowych form życia społecznego, którego rozwój wymagać będzie Sztuki monumentalnej dekoracyjnej, nie skrępowanej wymiarem ciasnych złotych ramek. Malarstwo to jest na drodze twórczych życiodajnych poszukiwań w walce z więzami realizmu i natury i dlatego jest jakby w tragicznych kurczowo bolesnych zmaganiach się, często niezdolne, przedziwne, ale zawsze twórcze. Oczywiście, pomijam te wszystkie bezmyślne naśladownictwa kabotyńskich modnisiów futuryzmu, ale w futurystycznych obrazach, właściwie kartonach Stryjeńskiej widzę całą swą gorącą wiarą zapowiedź tego, co powyżej²⁰ napisano, to jest malarstwa dekoracyjnego. O tej sztuce dekoracyjnej z przeznaczeniem dla życia społecznego mówili najwięksi impresjoniści francuscy, jak Cezanne, Gauguin i Van Gogh. Wszystkie przewodnie ich marzenia zbiegały się na płaszczyznę nie skrępowaną wymiarami i od nich te marzenia utrwalają się coraz bardziej i bardziej w malarstwie przyszłości.

20 Obrazy Stryjeńskiej w dorocznym salonie T-wa Zachęty Sztuk Pięknych pt. „Polowania Bogów”.

A teatr? Któż nie wie, że teatr współczesny przeżywa kryzys. Teatr dzisiejszy wycisnął naturalizm sztuki dramatycznej do ostatniego wysiłku i pozostawia już tylko mechaniczny kinematograf dla odtwarzania realizmu życiowego. Wystawy teatralne Reinhardta, Craig'a, Stanisławskiego, Appii dały wszystko, co można dać w złudzeniach realizmu, nastroju i symbolistyki. Wprawdzie warszawskie teatry nigdy nie widziały szczytów takich wystaw, wlokąc się w szarym ogonku tego, co na Zachodzie i u Stanisławskiego w Moskwie było potężną emanacją sztuki teatralnej, ale i u nas załamania wielkich artystów-reżyserów miały swój słaby odgłos. Teatr dzisiaj przeżywa również poszukiwania i eksperymenty takie same, jak malarstwo, jak cała Sztuka. Teatr także się czuje skrępowanym wymiarami sceny i widowni, wychodzi na zewnątrz, na ulice, na place, chce być widowiskiem, mieć to przeznaczenie z jakiego wyrósł. Czytajcie „Żywe Kamienie” Berenta, a dowiecie się, czym był teatr w wiekach średnich, wróćcie do studiów wstecz, do czasów helleńskich i z tego zrozumiecie współczesne dążenia teatrologii dzisiejszej.

To, co cechuje teatr, malarstwo, poezję – cechuje również muzykę. Ruch reformatorsko-społeczny nie może być obojętny wobec ruchu i usiłowań artystycznych, kierujących Sztuką na drogi piękna przyszłości. My idziemy ku wymarzonemu Jutru wszyscy razem, a budując to jutro nie może być dla nas obojętne, kogo mamy w naszych szeregach, kogo mamy za towarzyszy ogólnych prac w tym budownictwie. Twardą, ostrą i zachwaszczoną jest droga dla nas społeczników-spółdzielców i dla nich, społeczników-artystów, krzewicieli kultury przyszłości. Krok za krokiem zdobywamy wyjście w świat ideałów Dobra i Piękna.

Starajmyż się wzajemnie pojąć. Tak jak wyprowadzamy swą działalność na podstawie doświadczeń ekonomiczno-gospodarczych, tak i oni kierują się zdobyczami i doświadczeniami kultury. Tak jak nam, tak i im reakcja społeczna krzyczy, że to utopia i złudzenia. Tak jak z naszych poczwarek, drobnych spółdzielni, sklepików społecznych, wyrasta świetlana promienna idea spółdzielcza, tak z owych poczwarnych, urągających wszelkim utartym konwencjonalnym formułom – poczyną nową sztukę, wyrasta sztuka przyszłości, sztuka demokracji ludowej.

Nam i im ciasno i duszno w ramach kłamliwej, obłudnej cywilizacji współczesnej, i my i oni pragniemy wyjść w nowy słoneczny świat życia, który dla niewolników i czcicieli dnia dzisiejszego jest utopią, a dla wyznawców jutra jest świątynią pracy i myśli uwieńczonych Sztuką.

TADEUSZ MIANOWSKI

GRUPA TECHNICZNA

„SPÓŁDZIELCZOŚĆ PRACY” 1935, NR 3

Grono członków Związku Młodej Techniki, stowarzyszenia ideowego, zmierzającego w swym programie do radykalnej przebudowy społecznej poprzez przebudowę struktury gospodarczej i zrzeszającego młodych inżynierów, techników i studentów Politechniki Warszawskiej (w większości – dawnych uczestników walki o niepodległość) – założyło w Warszawie w 1933 r. spółdzielnię pracy pod nazwą „Grupa Techniczna”, jako – poniekąd – komórkę doświadczalną.

Głównym zadaniem tej Spółdzielni (przynajmniej w okresie początkowym) nie jest zatrudnienie zarobkowe u siebie wszystkich swoich członków, lecz tworzenie warsztatów pracy, prowadzonych nie w celach zysku, ale dla współdziałania z czynnikami państwowymi i społecznymi przy organizowaniu planowej produkcji w ramach gospodarki uspołecznionej. W warsztatach tych członkowie Spółdzielni będą mieli możliwość zastosowywać z pożytkiem dla Polski swoją wiedzę zawodową, uzdolnienia społeczne i inicjatywę, a przy tym będą się zaprawiać w pracy zespołowej.

Spółdzielnia nie ma na celu zysków. I całość swych nadwyżek bilansowych przekazuje przede wszystkim na własne fundusze społeczne, a resztę (w mniejszej części) – na różne cele społeczne. Żadnego oprocentowania udziałów ani dywidendy w stosunku do zarobków Spółdzielnia swoim członkom nie przyznaje.

Okres początkowy tej młodej placówki był jednym pasmem trudności, wymagających od członków dużego zapału, wytrwałości i poświęcenia dla sprawy spółdzielczej obok zwykłych kwalifikacji organizatorskich i fachowych. Członkowie-założyciele zebrali z trudem wśród siebie minimalny kapitał udziałowy i z nim stanęli do pracy.

Mimo że statut przewiduje możliwość wykonywania robót we wszystkich dziedzinach pracy technicznej, przypadek sprawił, że większość członków – to elektrycy; i do tej wyłącznej branży została ograniczona początkowo działalność spółdzielni.

Przy poszukiwaniu odbiorców pracy „Grupa Techniczna” zwróciła się do instytucji publicznych i wojskowych, ze względu na solidność tych instytucji jako kontrahentów.

Lecz tu wyłoniła się poważna trudność w postaci konieczności składania wadium przy przetargach oraz kaucji w gotówce w wysokości 5% od sumy kosztorysu, a nawet w poszczególnych wypadkach, wynikających z charakteru robót, kilkakrotnie większej. Tu jednak przejawiała się siła zespołowa członków, którzy, działając każdy we własnym zakresie, uciekali się do pożyczek papierów wartościowych i obligacji od krewnych i znajomych, po czym składali je do Spółdzielni. Tak został zdobyty kredyt bezprocentowy.

Spółdzielnia otrzymywała roboty na przetargach przez oferowanie najniższych cen. Nieraz o połowę niższych od konkurencyjnych. Mimo że kalkulację swych kosztorysów opiera zawsze na zdrowych podstawach ekonomicznych i przewiduje niewysoką nadwyżkę 10%. Do większych zysków nie dąży, sądząc, że nie godzi się dorabiać na Skarbie Państwa.

Przy kupnie materiałów stosowana była początkowo zasada indywidualnych wysiłków ze strony poszczególnych członków, którzy wykorzystywali swe osobiste stosunki i wpływy i zadłużali się prywatnie do poważnych nieraz sum, ponieważ dostawcy nie chcieli przyjmować zobowiązań Spółdzielni. Wiele robót nie doszło do skutku tylko z tego powodu, że nie można było zdobyć materiału bez całkowitego pokrycia należności w gotówce przy odbiorze. A materiał stanowi poważną pozycję w wydatkach, przewyższającą np. w dziedzinie instalacji silno-prądowych parokrotnie koszt robocizny.

W miarę wykazywania pomyślnych rezultatów pracy, warunki się polepszały. Powoli został wyrobiony kredyt na podstawie zaufania kupców już do samej Spółdzielni.

„Grupa Techniczna” za solidne wykonywanie robót została polecona instytucjom państwowym, a zarządzeniem Ministerstwa Spraw Wojskowych zwolniona została od składania wadium przetargowego przy robotach dla wojska.

Od początku swej działalności Spółdzielnia wykonała szereg instalacji siły i światła. Dla Okręgowego Urzędu Budownictwa Nr 1: na lotnisku wojskowym na Okęciu, w koszarach w Palmirach, w 1 PAPL, w wojskowym więzieniu śledczym. Dla Funduszu Kwaterunku Wojskowego, dla Województwa Warszawskiego, dla Państwowych Zakładów Tele i Radiotechnicznych i wiele innych.

Sumy bilansowe za rok 1934 wynoszą 266 tysięcy złotych, w tym nadwyżka stanowiła 22500 zł. Nadwyżka ta w całości została przelana na fundusze społeczne i cele społeczne.

Rok bieżący rozpoczął się pod znakiem powiększenia obrotów. Roboty obecnie wykonywane stanowią już poważną sumę około 800 tysięcy zł. Składają się na nie: przeprowadzenie linii kablowo-telegraficznej Łowicz – Krośniewice dla Ministerstwa Poczty i Telegrafów, wyrażające się w sumie około 400 tysięcy zł oraz linii Warszawa – Otwock w sumie około 240 tys. zł; w Wojskowym Instytucie Geograficznym – około 100 tys. zł, w Centrum Badań Balistycznych – 35 tys. zł, w Wojskowych Zakładach Pirotechnicznych w Rembertowie – 6500 zł, i inne drobne. Spółdzielnia bowiem nie pogardza robotą w sumie nawet kilkunastu złotych.

Ciekawa jest struktura wewnętrzna „Grupy Technicznej”.

Członkami Spółdzielni jest jedynie niewielka grupka, licząca obecnie 19 zaledwie inżynierów i techników. Z tych – 4 tylko pracuje w spółdzielni zarobkowo i ma powierzone stanowiska kierownicze. Reszta zaś, pracując zarobkowo gdzie indziej, ma obowiązek specjalizowania się w tych dziedzinach technicznych, które będą uwzględnione przez Spółdzielnię w przyszłości przy rozszerzaniu przez nią działalności.

Pracujący na stanowisku kierowniczym inżynier-nieczłonek oraz kilku techników będą z czasem wchłonięci przez Spółdzielnię na członków, o ile zżyją się z tą placówką i przejmą się jej atmosferą ideową.

Następna grupa stale zatrudniona – to monterzy, których jest około 40. Ci nie należą do Spółdzielni, chociaż dążenia członków idą w kierunku przyjęcia ich z czasem po odpowiednim przygotowaniu ideowym. Tymczasem wielu z monterów przedstawia materiał zbyt surowy na spółdzielców z powodu braku na razie skłonności do uspołecznienia. Urobienie ich może zająć wiele czasu. Czynnikiem, łączącym obie te grupy (członków-inżynierów i monterów) ma być wspólna kasa samopomocowa (na razie w projekcie).

Wreszcie trzeci grupa – to materiał w Spółdzielni płynny i dlatego niemożliwy do zrzeszenia w jej ramach. Są to robotnicy niefachowi, angażowani do każdej poszczegółnej roboty za pośrednictwem urzędów pośrednictwa pracy. Zajęcia dla niewykwalifikowanych mają w „Grupie Technicznej” charakter dorywczy. Po wykonaniu przygotowawczych prac ziemnych (co trwa miesiąc lub parę tygodni) element robotniczy odpada, pozostaje tylko praca montażowa dla techników i monterów. Spółdzielnia czyniła próby przerzucenia robotników, wyróżnionych za pracowitość, uczciwość czy inne zalety, do miejsc następnej roboty, lecz tu napotykała na energiczny sprzeciw ze strony miejscowych bezrobotnych.

Wobec braku możliwości wyrobienia społecznego robotników niefachowych przez stałą pracę, „Grupa Techniczna” musiała zastosować względem nich przy określaniu zarobków stawki akordowe. Akord, traktowany tu jako konieczność, stosowany jest zbiorowo w stosunku do zespołów mniej więcej dziesięcioosobowych. Liczebność zespołów akordowych uzależnia się tu od narzędzi i techniki wykonywanych robót.

Wpłaty dniówkowe robotników niefachowych, których liczba dochodzi okresami do 350, wahają się od 4 do 6 i pół złotego, są więc o wiele wyższe, niż w innych przedsiębiorstwach. Monterzy zarabiają do 18 zł. Nawet chłopcom-uczniom, którzy pomagają monterom, są wypłacane niewielkie zarobki, co nie jest (wbrew prawu) nigdzie praktykowane.

Trzeba zaznaczyć, że Spółdzielnia nie miała nigdy żadnych nieporozumień z pracownikami, jak również z dostawcami lub instytucjami, dla których pracowała.

„Grupa Techniczna” bardzo się różni od normalnych spółdzielni pracy.

Zaznaczyliśmy już na wstępie zasadniczą różnicę, polegającą na tym, że cel zarobkowy, dominujący w normalnej spółdzielni – tu odsunięty jest (przynajmniej na razie) na plan wtóry.

Konsekwencją tego jest dziwny (jeśli patrzeć na sprawę pobieżnie) fakt, że z 19 członków Spółdzielni, zaledwie 4 w niej zarobkuje.

A następnie – że przy tak małej liczbie zatrudnionych w Spółdzielni członków, pracuje w niej kilku techników-nieczłonków, kilkudziesięciu monterów (około 40) i jeszcze większa ilość okresami zatrudnionych robotników niefachowych.

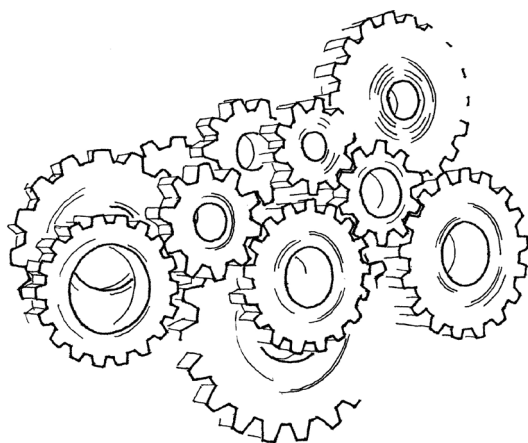
Z powierzchownej obserwacji można by było wyciągnąć przedwczesny wniosek, iż jest to zwykłe przedsiębiorstwo kilku zręcznych osób, wyzyskujące pod firmą spółdzielczą pracę nieczłonkowską. Wniosek ten jednak byłby całkiem niesłuszny, niesprawiedliwy i krzywdzący „Grupę Techniczną”, która jest placówką o wielkiej już dziś wartości społeczno-gospodarczej i olbrzymich możliwościach rozwojowych w przyszłości.

W powolnym procesie wychowawczo-selekcyjnym dokona się z czasem – niewątpliwie – skooperatyzowanie pracy w obecnie prowadzonym przez Spółdzielnię, pierwszym jej, ale bynajmniej nie jedynym (jeśli idzie o przyszłość) – dziale pracy (elektrotechnicznym).

Ale Spółdzielnia ta ma zamierzenia i możliwości przejawiać swoją aktywność i na innych jeszcze odcinkach pracy. Zwłaszcza wdzięcznym polem dla niej będzie teren spółdzielni robotniczych w przemysłach budowlanym, w robotach ziemnych i innych, którym to spółdzielniom „Grupa Techniczna” mogłaby dostarczać kierowników fachowych, delegując do tej roli swoich członków, których pracą by kierowała i ponosiła za nią odpowiedzialność.

Ale jest to już specjalne zagadnienie, wymagające osobnego potraktowania i to nie w jednym, ale w kilku artykułach.

WSPÓLNOTA IDEI.
RAZEM, MŁODZI
PRZYJACIELE!



OGNIWO – ZAPLECZE DLA DZIAŁAŃ OBYWATELSKICH

Spółdzielnia pracy Ogniwo w Krakowie powstała w 2014 roku z inicjatywy kilkunastu społeczników i aktywistów miejskich. Chcieli stworzyć centrum aktywności społecznej – przestrzeń otwartą dla różnych grup i ruchów, poszukujących miejsca na spotkania i organizację wydarzeń społecznych i kulturalnych. Klub, kawiarnia, biblioteka, miejsce twórczego fermentu i dyskusji to nietypowy „rynek”. Twórcy Ogniwa nie ukrywają, że najważniejszym „produktem” spółdzielni mają być idee.

Jest to przedsięwzięcie wyjątkowe, bo sprawy gospodarcze stoją tu zdecydowanie na pozycji podrzędnej wobec spraw ideowych. Zarabiane pieniądze w pierwszej kolejności mają utrzymać lokal i pozwolić na realizowanie działań, które spółdzielczy kolektyw uzna za ważne. Na wyróżnienie zasługuje forma prawna spółdzielni. Poszukując najlepszej formuły dla swojej działalności, umożliwiającej zarówno wkład kapitałowy, jak i zaangażowanie poprzez pracę, młodzi ideowcy zdecydowali się na utworzenie spółdzielni pracy – niewykluczone, że jest to jedna z niewielu, jeśli nie jedyna spółdzielnia pracy powołana w ostatnich latach w Polsce.

Obecnie najwięcej nowo powstających spółdzielni to spółdzielnie socjalne – jest to związane z dotacjami, które można pozyskać na start i założenie spółdzielni socjalnej. Dofinansowanie w wysokości od kilkudziesięciu do nawet ponad stu tysięcy złotych znacząco wpływa na motywację nowych spółdzielców socjalnych. Jednak przy zakładaniu spółdzielni pracy nie ma żadnych bonusów. Co najmniej dziesięcioro członkiń i członków musi nie tylko wymyślić, co chcą robić, nauczyć się, jak prowadzić wspólne przedsiębiorstwo, ale też wyłożyć własne, zaoszczędzone pieniądze jako kapitał założycielski. Żeby pozostać w zgodzie z prawem spółdzielczym, członek spółdzielni pracy musi być zatrudniony na spółdzielczą umowę o pracę. Nie ma mowy o żadnych „śmieciovkach”, pracy na czarno lub członkostwie bez świadczenia pracy. Z przynależnością do spółdzielni pracy nierozłącznie związana jest konieczność etatowego zatrudnienia. W obliczu nieustannej mantry o „uelastycznianiu” rynku pracy w Polsce – samo podjęcie się utworzenia spółdzielni pracy jest jak manifest ideowy. Jak rękawica rzucona wszystkim mitom tworzonym przez kapitał i przedsiębiorców narzekających na kodeks pracy, „roszczenia” pracowników, „zły ZUS” i inne obowiązki pracodawcy związane ze świadczeniem pracy w formie umowy o pracę.

Członkinie i członkowie Ognia znają doskonale idee przyświecające pionierom spółdzielczości. Sami przyznają, że lektura prac Abramowskiego, Mielczarskiego, Wolskiego miała znaczący wpływ na ich decyzję. Od lat działają aktywnie w ruchach na pograniczu organizacji społecznych i polityki. Współtworzą wiele inicjatyw kulturalnych, ekologicznych i politycznych – Kraków przeciwko Igrzyskom, Prawo do miasta, Kolektyw Modraszek, Partię Zielonych, Krakowski Chór Rewolucyjny i obecnie także nowo powstałą Partię Razem. Spółdzielnia Ognia jest dla nich przede wszystkim stabilnym i niezależnym finansowo zapleczem dla wszelkiego rodzaju działalności polityczno-społecznej.

Opowieść jednego z twórców Ognia, Michała Maleszki, opowiadającego o odnowie spółdzielczych i propaństwowych idei, zestawiamy z tekstami działaczy przedwojennego „Społem” – Mariana Rapackiego oraz Stanisława Thugutta. Oba traktują o roli ideowej i wychowawczej spółdzielczości, o konieczności nieustannego doskonalenia się i pracy nad sobą członków spółdzielców. Dotykają oni także kwestii znaczenia spółdzielczości, i szerzej – oddolnej kooperacji – dla budowy odrodzonego polskiego państwa. W innych warunkach społeczno-politycznych warto do tych idei powrócić. Mogą się one okazać pomocne w tworzeniu nowoczesnego patriotyzmu, otwartego i opartego o poszanowanie dla wspólnego dobra.

O spółdzielni Ognia opowiada Michał Maleszka

Pomysł na założenie spółdzielni „wykluwał się” dość długo. Ludzie, którzy założyli Ognia, znają się od wielu lat. Wspólnie działają w przenikających się inicjatywach społeczno-politycznych. Większość po uszy zaczytana w pismach klasyków spółdzielczości i ruchów lewicowych, większość bez stałej stabilnej pracy, wszyscy marzący o budowaniu lepszego, opartego na wartościach świata.

Ognia miało z jednej strony zapewnić w miarę stabilny byt osobom, które nie miały stałej pracy, z drugiej strony ich praca miała działać na rzecz większej struktury – kolektywu aktywistów społecznych, dla których lokal Ognia byłby miejscem spotkań i zapleczem do realizowanych działań. Spółdzielnia jest pewnego rodzaju eksperymentem i wyzwaniem, próbą przeniesienia znanej i opisanej na kartach „klasyków” teorii do realiów współczesnego świata.

Znamy bardzo dobrze kanon idei spółdzielczych, ale nie trzymamy się wszystkich z równą mocą. Najważniejsze jest dla nas demokratyczne zarządzanie i demokratyczna współwłasność. Mniejsze znaczenie ma zasada neutralności politycznej, bo Ognia to inicjatywa na wskroś lewicowa. Nawiązujemy zdecydowanie do tradycji spółdzielni ideowych, dookreślonych politycznie, które swoją aktywnością starały się kształtować świat w duchu wartości bliskich wszystkim członkom.

W kooperatywach spożywców istotny jest wzrost liczby członków i zasada, że żółdek wszyscy mają taki sam, bez względu na wyznawane poglądy i religię. W spółdzielni takiej jak nasza dla utrzymania jedności i zgody niezbędna jest jakaś wyższa idea, wspólna wizja lepszego świata, dalekosiężny cel, który chcemy osiągnąć bez względu na przyziemne spory i nieporozumienia. Cel ten można osiągnąć tylko poprzez wspólną pracę i to nie tylko fizyczną, ale także pracę nad sobą, nad umiejętnością powściągnięcia swojego ego, uczeniem się pracy zespołowej, współodpowiedzialności, współdzielenia sukcesów i klęsk. Tego niestety nikt nie uczy w Polsce. Trzeba do tej wiedzy dochodzić poprzez mozolne próby i błędy. Na-

wet lektura klasyków spółdzielczości niewiele pomaga, bo z posiadania wiedzy „jak powinno być”, nie wynika jeszcze, że umiemy to zrobić.

Związek przyjaźni

Jedną z takich inspirujących lektur są na pewno „Związki Przyjaźni” Edwarda Abramowskiego. Jednak co z tego, że wiemy, jak powinien działać „wzorcowy” kolektyw wolnych i współpracujących ze sobą obywateli, kiedy na tę piękną ideową teorię nakładają się zwykłe, przyziemne historie ludzkie – sympatie i antypatie, drobne i większe egoizmy, zbyt duże JA, za mała asertywność, miłość, nienawiść, gniew, emocje – cała złożoność ludzkich spraw i charakterów. Szczególnie tarcia o symboliczną czasem rację i chęć zrobienia czegoś po swojemu bywa przeszkodą w podejmowaniu wyważonych decyzji na które zgodzi się cały kolektyw. Jednak, jak to często powtarzamy: „lepiej mieć razem spółdzielnię niż osobno rację”. Ta myśl to nieustanne przypominanie sobie i innym, że spółdzielnia to przede wszystkim praca nad sobą samym.

Gdybym miał powiedzieć, co było bardzo ważne na samym początku, co jest takim kamieniem węgielnym pod Ogniwo, to oprócz oczywistych idei myślę że fundamentalne jest doświadczenie wspólnej, fizycznej pracy. Kiedy zdecydowano już o wynajmie pomieszczenia, zaczął się remont realizowany własnymi siłami. Przy remoncie pracowali wszyscy bez względu na płeć. Pomagali też sympatycy nie będący członkami spółdzielni, a raczej przyszłymi klientami. W trakcie takiej pracy dociera się praca zespołowa. Szybko stają się widoczne wady i zalety poszczególnych osób. W takiej wspólnej fizycznej i spontanicznej pracy, nie motywowanej zarobkami, a chęcią zrobienia czegoś dobrego, przejawia się też „staro-spółdzielcze” pojęcie „praca radosna”. Szczególnie jak wspominamy tamten czas albo udzielamy wywiadów, to dziś ta ciężka i często niewdzięczna fizyczna praca wydaje się przede wszystkim fajną zabawą. Znój pozbawiony przymusu ekonomicznego staje się przyjemnością. To z pewnością ważne doświadczenie formacyjne dla całego naszego zespołu.

Żeby stać się członkiem spółdzielni musieliśmy zainwestować własne pieniądze, raczej bez większej nadziei na szybki zwrot. Wiadomo było od samego początku, że jeśli wkłady się kiedykolwiek zwrócą, to nie będzie to zbyt szybko, bo spółdzielnia nie powstała w celu robienia szybkich pieniędzy, a raczej powolnej rewolucji.

Dwie rewolucje

Rewolucja, którą robimy, ma dwa kierunki – podobnie jak w pismach starych spółdzielców. Kooperatywa była przez Abramowskiego czy Mielczarskiego traktowana jako kuźnia nowego człowieka – wolnego, ale umiejącego podporządkować swoją wolność wspólnocie, w duchu wartości: braterstwo, solidarność, współdziałanie. Bez braterstwa i solidarności nie da się niczego zbudować, a te umiejętności tworzy się przez pracę nad samym sobą i swoimi najbliższymi kolegami i koleżankami. Wolność pozbawiona solidarności niszczy i zmienia się w walkę, o to czyja wolność (czyje „ja”) jest ważniejsza. Od wielu lat – u najmłodszych z nas niemal całe nasze życie wolność w rozumieniu liberalnym, pozbawiona solidarności i odpowiedzialności za innych jest gloryfikowana jako „zaradność”, „przedsiębiorczość”, „sukces”, „satisfakcja”. Bardzo trudno jest wynurzyć głowę z tego morza egoistycznej propagandy i odnaleźć inne wartości pozwalające czerpać radość z życia społecznego – jak to mówili klasycy, z „życia grodnego”. W tym znaczeniu pierwsza rewolucja w Ogniwie dzieje się w nas samych.

Druga rewolucja ma wymiar społeczny i ideowy. Właściwie wszyscy w Ogniwie czujemy się spadkobiercami PPS-u, utożsamiamy się z polską lewicą demokratyczną, antytotalitarną i antykomunistyczną. Oprócz pionierów spółdzielczych inspirowuje nas postać Ignacego Daszyńskiego i innych działaczy walczących o lepsze życie dla szerokich mas Polaków. Dlatego nie chcemy, żeby nasz lokal kojarzył się z modną „klubokawiarnią”. Podkreślamy jego otwartość, zapraszamy przeróżne środowiska i inicjatywy, organizujemy wystawy, koncerty, spotkania dyskusyjne, wynajmujemy salę na zajęcia gimnastyczne, ruchowe, będziemy także gościć pielgrzymów, którzy przyjadą na Światowe Dni Młodzieży. Nasza otwartość na większość społeczeństwa jest bardzo duża. Nie tolerowalibyśmy w lokalu spółdzielni jedynie skrajnych poglądów prawicowych gloryfikujących przemoc albo egoizm.

Ta druga „pełzająca” rewolucja to budowanie od nowa egalitarnej i pomocniczej polskiej państwowości. Pod koniec XIX wieku w Polsce powstały zręby, z których później powstało państwo opiekuńcze: spółdzielcza służba zdrowia, domy robotnicze, teatry ludowe. My jesteśmy kolejną falą takiego myślenia o Państwie i wspólnocie. Od lat wspólnotowe wartości poddawane są nieustannym atakom. W efekcie żyjemy w kraju o dramatycznie niskim kapitale społecznym, sięgającym dna zaufaniu obywateli do państwa, obciążeni mitami o „przerośniętej” biurokracji, państwie koleśi i nieefektywności tego co wspólne. My w sposób praktyczny staramy się przeciwstawiać takim mitom. Ogniwo to nie jest „klubokawiarnia”, tylko przede wszystkim szkoła samoorganizacji i lewicowego patriotyzmu. Dla wielu ludzi w dzisiejszej Polsce patriotyzm i lewica to sprzeczność. Daliśmy sobie wmówić, że patriotyzm jest prawicowy. A to kłamstwo i cyniczna manipulacja. Socjaliści walczyli o niepodległość Polski, gdy fabrykanci, ziemiaństwo i endecy szukali schronienia u rosyjskiego cara. Spółdzielnie finansowały ogrom zaopatrzenia wojskowego dla legionów Piłsudskiego. Idee wspólnotowe i kooperacyjne były w przedwojennej Polsce znacznie żywsze niż obecnie i jednoznacznie odwoływały się do patriotyzmu i budowania polskiej państwowości – egalitarnej, solidarnej i pomocnej dla każdego najsłabszego ogniwa w społeczeństwie. Dlatego zaczynam od siebie, ucząc się współpracy i współodpowiedzialności budujemy nową kulturę organizacyjną i pokazujemy drogę innym. Cel jest jednak znacznie większy, stąd nasze zaangażowanie polityczne w budowanie nowej, równościowej, otwartej, przyjaznej i przede wszystkim solidarnej Polski.

Cel jest idealistyczny i rewolucyjny, szukamy pragmatycznych ram, by go realizować. To zaledwie jedno ogniwo, ale w kraju gdzie nawet nauczycielka w podstawówce mówi, że moja klasa to „nowe pokolenie Kolumbów”, bo będziemy zakładać firmy i traktuje to jako jedyny miernik sukcesu, trzeba nastawić się na wiele lat drwin i niewdzięcznej pracy. Pionierzy z Rochdale też nie mieli lekko, a nasza sytuacja w porównaniu z ich biedą, brakiem wykształcenia, ciężką wielogodzinną pracą w fabrykach wydaje się znacznie bardziej komfortowa.

Razem znaczy Społem

Znając historię wiemy, jak często okazywało się, że przedsiębiorstwa kooperatywne przetrzymywały największe kryzysy, są bardziej stabilne, nie generują takiego rozwarstwienia społecznego i, co za tym idzie, nie generują tylu problemów społecznych jako efektów ubocznych. Prace socjologów pokazują, że umiejętność kooperacji i zaufanie społeczne jest fundamentem rozwoju gospodarczego i dobrego życia. Nasze przedsięwzięcie wpisuje się

w nowy nurt ideowej spółdzielczości, który powoli wzbiera na całym świecie – możliwe że jako odtrutka dla dehumanizującego i bezlitosnego turbo-kapitalizmu, który postawił sobie za ideał przerobienie na pieniądze każdej wartości, każdego przejawu ludzkiej aktywności i uczuć, każdego surowca łącznie z wodą, powietrzem, przestrzenią.

Gdybym miał w tej chwili, po tych kilkunastu miesiącach wspólnej pracy powiedzieć, co jest dla nas najważniejsze, albo co uważamy za największy sukces, to byłby to fakt, że mimo często ognistych dyskusji i kipiących emocji nadal trwamy i rozwijamy się jako ze-spół. Ludzie z niedowierzaniem i podziwem patrzą szczególnie na to, że udaje nam się dogadywać w kilkanaście osób, że żaden szef nie wykrzykuje nam, co mamy robić, że każdy może mieć wpływ na to co i w jaki sposób spółdzielnia będzie tworzyć. To przykre, że niemal oczywista sprawa dla każdego „klasyka” spółdzielczości budzi dzisiaj zdumienie. Daje to do myślenia, jak bardzo cofnęliśmy się w rozwoju społecznym oddając dobrostan relacji społecznych „wolnemu rynkowi” i kultowi indywidualizmu. Jednak budzi nadzieję to, że nam się udaje i że rośnie zainteresowanie wspólnotowymi formami gospodarowania. Kiedy pierwsza rewolucja – ta wewnętrzna, będzie wystarczająco silna, to wtedy ta druga stanie się jej naturalną konsekwencją.

Kooperatywy to szkoły solidarności i demokracji – tak nas przekonywał Romuald Mielczarski. Rozwój kolejnych „Ogniw” wykuje w końcu cały łańcuch ludzi, którzy będą budować równowagę w naszym autorytarnym, elitarnym i postfeudalnym społeczeństwie.

{ *Wspólnota jest jedną z najdzielniejszych
współczesnych form walki idei solidarności
z bezmyślnością drapieżcy, jaki siedzi w człowieku*

(Józef Bek, 1917)

MARIAN RAPACKI

SPRAWA WYCHOWANIA SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO

„RZECZPOSPOLITA SPÓŁDZIELCZA” NR II, 1922

Lata niewoli politycznej minęły. Nie widzimy na ulicach żandarmów, ni wojsk zaborczych. W urzędach nie spotykamy się z przedstawicielami wrogiego państwa. Opadły z rąk kajdany. Jesteśmy wolni – zewnętrznie.

Trudniej jednak zmyć ślady niewoli z dusz ludzkich i charakterów. Tutaj spuścizna rządów zaborczych nie tak łatwo da się usunąć. Potrzeba będzie na to wielu lat mozolnej i celowej pracy społeczno-wychowawczej.

W spadku po czasach niewoli politycznej otrzymaliśmy między innymi ogromną ignorancję społeczeństwa w sprawach społecznych, a szczególnie gospodarczych. W ślad za nią poszło lekceważenie i niedocenywanie tych spraw przez naszą publicystykę.

Ograniczenia wszelkiego rodzaju pracy społecznej, pozbawienie wszelkiego prawie wpływu na gospodarkę gminną i państwową i związane z nią zagadnienia gospodarcze i społeczne, cenzura, zabijająca wszelką myśl społeczną – wyhodowały w naszym społeczeństwie bierność w zakresie zagadnień gospodarczych i brak wszelkiego zainteresowania nimi.

Literatura piękna, teatr, sztuka, polityka – oto czego szuka i co znajduje przeciętny czytelnik w naszej prasie i naszej publicystyce. To też sprawy gospodarcze znajdują się gdzieś w małym kąciку na szarym końcu i traktowane są z podziwu godną niezajomością przedmiotu.

Jeszcze gorzej rzecz się przedstawia w naszym szkolnictwie: przyroda, matematyka, łacina – wszystko to znajduje aż nazbyt szerokie uwzględnienie. Historia traktowana jest jako historia królów, wojen i politycznych przewrotów. Ale o naukach społecznych, o nauce gospodarstwa społecznego mowy nie ma. Uczeń uczy się dokładnie, ile pręcików ma lilia, czy piwonia, uczy się, jakie są zwyczaje małp i jak pisał Sienkiewicz „które są ogoniaste, a które ogonów nie mają”, uczy się, jak żyją zwierzęta, ale nikt mu nie powie, jak żyją ludzie, jak powstają i jak się rozwijają społeczeństwa, jak się narody rządzą, co to jest gospodarstwo społeczne. Uczy się łaciny i greckiego, które mu w życiu najczęściej nigdy nie będą potrzebne – ale nie wie nic o żywym państwie, o żywym społeczeństwie.

I oto wyrasta, wchodzi w życie, styka się ze zjawiskami społecznymi, z zagadnieniami gospodarczymi, musi je rozwiązywać, musi stosować do nich swe postępowanie – a nie ma pojęcia ani o ich istocie, ani charakterze ani o elementarnych zasadach i prawach nimi rządzących.

Nic też dziwnego, że uczy się je lekceważyć, że go one nudzą, że powtarza o nich, a co gorzej postępuje wobec nich według utartych frazesów i szablonów przeczytanych lub zasłyszanych od pierwszego lepszego gdzieś w kawiarni.

Trzeba powiedzieć, że jeśli idzie o zainteresowanie sprawami społecznymi i gospodarczymi, to klasa robotnicza polska, a po części także i włościańska, stanowiły chlubny wyjątek. Zbyt wielkie znaczenie posiadały dla nich te sprawy, aby mogły one je pomijać i nie interesować się nimi. Ale i te warstwy nie miały i mieć nie mogły w sprawach społecznych i gospodarczych należytego przygotowania i wiedzy. Znaleźć je zaś w społeczeństwie, odznaczającym się w tym zakresie wyjątkową ciemnotą, było niezmiernie trudno.

Ten stan rzeczy mógł trwać dopóty, dopóki za naszą gospodarkę państwową i społeczną nie byliśmy odpowiedzialni. Dziś położenie się zmieniło. Dziś przestaliśmy być poddanymi Romanowych, Hohenzollernów i Habsburgów, a staliśmy się obywatelami wolnej Rzeczypospolitej, gospodarzami we własnym kraju. Sami jesteśmy już teraz odpowiedzialni za naszą gospodarkę społeczną. I sami rozwiązywać musimy zagadnienia i decydować sprawy, które się wskutek przewrotu wojennego nie tylko się nie uprościły, ale, owszem, znacznie skomplikowały.

W tych warunkach stajemy wobec niebezpieczeństwa, że nieświadomość i brak przygotowania mas, pozwala wyciągać ręce po władzę i utrzymywać ją w ręku tym, którzy ją sprawują wbrew najistotniejszym interesom tych mas, lub robią z niej dla siebie dochodowy proceder. Pozwala kierować tymi masami nieukom i ciasnym doktrynerom. Nie rozumiejąc elementarnych zjawisk społecznych i gospodarczych, robotnik, chłop czy inteligent pracujący pozwala upadać, ba, często nawet sam rozbija swoje własne organizacje samoobrony i wyzwolenia. Częstokroć czyni to z poduszczenia tych, którym te organizacje stoją solą w oku i w których egoistyczne interesy godzą.

Pilną staje się zatem sprawą wychowanie społeczne i gospodarcze szerokich mas naszego społeczeństwa, dostarczenie im w tym zakresie dostatecznej ilości wiedzy i umiejętności.

Wychowania tego nie potrafi i nie może dostarczyć tylko szkoła. Może i powinna ona dawać przyszłym obywatelom większe przygotowanie do życia społecznego, do gospodarki zbiorowej, ale prawdziwą i najlepszą szkołą będą dla nich żywe, samorządne organizacje społeczne, a przede wszystkim organizacje spółdzielcze.

W organizacjach spółdzielczych uczestnik wchodzi w bezpośredni stosunek ze zjawiskami gospodarczymi i społeczno-organizacyjnymi. Stają przed nim zagadnienia tej natury, które musi sam rozstrzygać i rozwiązywać i sam bezpośrednio ponosić skutki swoich rozstrzygnięć i decyzji. Stosunkowo mały zakres gospodarki społecznej, objęty przez stowarzyszenie ułatwia orientację i obserwację. Stowarzyszenie staje się dla swego uczestnika pewnego rodzaju mikrokosmosem gospodarstwa narodowego, w którym on zaznajamia się doświadczalnie z zagadnieniami tego gospodarstwa.

Tego rodzaju poniekąd automatyczna działalność społeczno-wychowawcza stowarzyszenia jednak nie wystarcza. A nie wystarcza dlatego, że nie wszyscy członkowie biorą do-

statecznie żywy udział w życiu stowarzyszenia, nie wszyscy zresztą przyjmują bezpośredni udział w kierowaniu jego mechanizmem społeczno-gospodarczym. Niezależnie zatem od możliwie energicznego wciągania członków do współudziału w życiu stowarzyszenia, sprawa gospodarczego i społecznego wykształcenia członków powinna obok propagandy i uświadamiania spółdzielczego, a raczej łącznie z nimi, znaleźć dostateczne uwzględnienie w bezpośredniej działalności społeczno-wychowawczej naszych organizacji spółdzielczych.

Obok zatem tematów i przedmiotów czysto spółdzielczych w prasie spółdzielczej, na kursach, odczytach i pogadankach, w bibliotekach i czytelniach powinny być w szerokim zakresie uwzględnione nauki społeczne i ekonomiczne, zagadnienia społeczne i gospodarcze, sprawy gospodarki państwowej i komunalnej, ustroju państwa i społeczeństwa – słowem to wszystko, z czym żywy człowiek ciągle się styka i wśród czego żyje.

MARIAN RAPACKI

O IDEOWOŚĆ W RUCHU SPÓŁDZIELCZYM

(ARTYKUŁ POLEMICZNY)

*Widzę, pan pamięta
jaka komu etykieta
przyklejona i przypięta*.*

Otóż to! to etykieta!
*(St. Wyspiański – Wesele)

Rozpatrzmy po kolei zasadnicze tezy wyżej umieszczonego artykułu p. J. Hempla pod podobnym tytułem.

Teza pierwsza: Ruch spółdzielczy musi być ruchem ideowym, gdyż inaczej stanie się „kramikarstwem niezdolnym przynieść nawet nędznych bezpośrednich korzyści materialnych”, „sprawą żołądkową”, niezdolną wzbudzić niczyjego entuzjazmu, ani wywołać ofiarności.

Teza druga: Czystą krynicę ideowości stanowią jedynie tragiczne starcia społeczne, wówczas jedynie jawi się błyskawica idei. W naszych warunkach takim tragicznym starciem społecznym jest walka klas na tle ustroju kapitalistycznego.

Teza trzecia: Wysokie napięcie ideowe ruchu spółdzielczego w Polsce w okresie jego powstawania miało swe źródło w ówczesnej tragedii bytu narodowego, a spółdzielczość była wyłącznie narzędziem odrodzenia narodowego.

I teza czwarta: Ideologia „nacjonalistyczna”, związana tylko z pewnymi powierzchownymi warstwami społecznymi, nic wielkiego i dziejowo-trwałego nie rodzi ani sama nie jest trwała. Z chwilą wybuchu wojny przed ideowcami narodowymi otworzyły się inne możliwości działania i musieli się w nich rozpuścić. Poza tym ujawniło się, że „polska organizacja dla ochrony kapitalistów, przedsiębiorców i wszelkiego rodzaju posiadaczy”, czyli państwo polskie jest czymś równie mało ideowym, jak i inne, a za tym ideologia „narodowa” nie jest już w stanie ożywić ruchu spółdzielczego w Polsce.

Wniosek końcowy: „wielka nienawiść dziejowa robotnika do państwowości burżuazyjnej, do praw, zwyczajów i poglądów burżuazyjnych, to olbrzymie poprzecz tysiąclecia (?)

ciągające się przeciwstawienie i walka jest istnym wulkanem najczystszych płomieni ideowych". Kto się od tej „krynicy” oddziela – niech lepiej przestanie mówić o ideowości w ruchu spółdzielczym.

Co do pierwszej tezy jesteśmy zgodni. Żadnemu ze spółdzielców istotnych nie przyjdzie do głowy myśl, aby ją kwestionować. Autor przytacza zresztą na jej poparcie cały szereg zdań spółdzielców różnych obozów i kierunków.

A teraz teza druga: Autor upatruje jedyne źródło ideowości mas w „tragicznych” starciach społecznych, które dziś wyrażają się w formie walki klas na tle ustroju kapitalistycznego. Ideowość mas jest w pojęciu autora pewnego rodzaju szałem bojowym, wywołanym nienawiścią dziejową do społecznego wroga, pragnieniem zburzenia nienawistnego porządku. Budowanie nie może się obejść bez burzenia, a zdanie – miłość buduje, a nienawiść niszczy – to tylko bezmyślny i obłudny komunizm. Nienawiść, walka, burzenie – oto co zdaniem autora tworzy „ideowość” mas, oto wichry ideowe dmące swym żywym tchnieniem przez głowy i serca robotnicze, oto wielka i jaskrawa błyskawica idei. Wszystko inne – to „ckliwe kazania o beztreściwej i mglistej miłości bliźniego”. Ma się wrażenie, że ta właśnie jaskrawość, ta groza i tragizm, ta tytaniczna walka żywiołów pociąga i rozpala literacką wyobraźnię autora i doprowadza do pewnego rodzaju pomieszania pojęć ideowości z pojęciem, powiedzmy, podniecenia bojowego mas w walce społecznej.

Przed wszystkim zatem trzeba pewne pojęcia ustalić, obyśmy sobie nie mówili o czym innym pod tymi samymi nazwami.

Co to jest ideowość? Widzieliśmy już, jak ją ujmuje autor, spróbujmy jednak dokonać analizy istotnego znaczenia tego pojęcia.

Nie wchodząc we względność ludzkich pojęć w ogóle, możemy stwierdzić, że najogólniejsze ideały ludzkości ujęte są w trzech pojęciach: Prawdy, Dobra i Piękna. W zakresie tych trzech ogólnych ideałów mieszczą się już ideały sprawiedliwości społecznej, braterstwa, powszechnego szczęścia itp.

Działanie tych idei w umysłach i sercach jednostek i mas powstaje obok rządzących każdą jednostką ludzką instynktów pierwotnych: samozachowawczego, zachowania gatunku itp. Idee takie powstają jako czynniki nadrzędne, wyrastające na tle społecznego współżycia ludzi i wybiegają poza życie i indywidualny (fizyczny) byt jednostki. Powstają one dopiero w wyższych formach biologicznych w przyrodzie, jakie stanowią społeczeństwa ludzkie, a o potęgę więzi socjologicznych, których są wyrazem, mówi fakt, że działają niejednokrotnie silniej, niż instynkty pierwotne, nawet niż instynkt samozachowawczy.

Idee te i ideały zrodziło odwieczne zmaganie się człowieka o lepsze formy swego bytowania, wieczne dążenie do udoskonalenia i lepszego przystosowania zarówno środków technicznych, jak i organizacji socjologicznej do istniejących warunków. Co oznacza „ideowość”? Oznacza ona kierowanie się w czynach i postępkach jednostkowych czy zbiorowych dążeniami do pewnych „ideałów”, do zrealizowania pewnych idei.

Forma, w jakiej występują zmagania się ludzkości o lepsze jutro, jest wielce rozmaita: będzie to zarówno walka z potęgą przyrody, walka mas o lepsze formy społeczne, jak i cicha praca uczonego, poświęcającego całe swoje życie dla jednego odkrycia, mającego uszczęśliwić ludzkość lub pchnąć ją na nowe tory rozwoju. Będzie to również praca artysty, społecznika, robotnika, czy inteligenta, badacza i odkrywcy podjęta w myśl wyznawanej idei z poświęceniem swoich własnych jednostkowych interesów.

Oczywiście masowe ruchy społeczne, dążenia ideowe mas mają za tło przede wszystkim ulepszenie organizacji społecznej i jej rozwój, lub obronę przed jej zniszczeniem i dlatego najczęstszą **formą** tych ruchów jest walka bądź do wewnątrz, bądź na zewnątrz społeczeństwa, jest burzenie form nieodpowiednich, lub stojących na przeszkodzie rozwoju społecznego. Ale obok tej formy istnieją i inne. Autor powiada: budownictwo społeczne jest tylko jedną stroną tej samej sprawy, której drugą stroną jest burzenie. Odwróćmy to twierdzenie i powiedzmy, że burzenie jest tylko jedną stroną tej samej sprawy, której drugą jest – tworzenie. I ta druga strona, to tworzenie, może być i jest podejmowane z równie silnym napięciem ideowym przez masy społeczne, jak i burzenie. Walka, burzenie, nienawiść, może pociągać więcej pewne temperamenty, ponieważ rozbudza silniej namiętności natury ludzkiej. Jednak radość tworzenia społecznego bynajmniej nie jest obca masom, nie jest obca w szczególności klasie robotniczej, co niejednokrotnie udowodniła ona przywiązaniem i wiernością do tworzonych przez siebie instytucji, nawet wtedy, gdy one nie miały celu walki. Odmawianie klasie robotniczej umiejętności **ideowego tworzenia**, przypisywanie jej wyłącznie zdolności ideowego burzenia jest ujęciem wysoce jednostronnym i dla klasy robotniczej krzywdzącym. Szał bojowy, zapal wojenny spotykamy już na niższych szczeblach rozwoju form biologicznych. Radość tworzenia, instynkt twórczy znajdujemy dopiero na szczeblach wyższych, Zresztą tworzenie – burzenie, burzenie – tworzenie, to tylko gra słów, to tylko uproszczone rozumowanie pewnymi formułkami.

Wszelkie życie, a więc i życie społeczne, jest wiecznym ruchem. *Panta rhei* – wszystko płynie – oto, co znajdujemy w życiu społecznym. Formy stare przeżywają się, giną śmiercią częściej naturalną, niż gwałtowną, jednocześnie powstają, wyrastają i potężnieją formy nowe. I jedno, i drugie zjawisko obywa się często bez świadomej i celowej czynności „burzenia” lub „tworzenia” w sposób, w którym tych dwóch momentów uchwycić niepodobna, w sposób taki, jak pokolenia dawne ustępują miejsca nowym.

„Kooperatyzm ludowy – pisze Edward Abramowski – przygotuje im (kapitalistom) nie bohaterską śmierć w katastrofie rewolucyjnej, a zwyczajne bankructwo firm przemysłowych, niezdolnych do zwyciężenia nowych współzawodników”.

„Bohaterska śmierć w katastrofie rewolucyjnej” jednak pociąga więcej, jak już powiedzieliśmy, wyobraźnię literacką autora i wierzy on, że ideowość mas społecznych wyraża się wyłącznie w formie napiętych przez walkę namiętności, a całkowicie zapoznaje działanie twórczych prądów ideowych poprzez masy ludowe przebiegających – może nie w formie błyskawicy, rozdzierającej kartę dziejów, ale w formie stałego, gorącego prądu, ożywiającego instytucje, które bez niego byłyby bezduszne i martwe. Napięcie tych prądów nie zależy już, tak jak w pierwszym wypadku od napięcia tych czy innych namiętności (zarówno w dodatnim jak i ujemnym znaczeniu), ale od wielkości celu, od tej czy innej wartości, jaką masy przydają takim, czy innym swoim ideałom. Im droższy jest ten ideał ich sercu, im jest w ich rozumieniu wyższy, doskonalszy, tym większe jest napięcie prądu ideowego, który ożywia dążenie do jego realizowania.

Z pewnych ustępów artykułu wydaje się, że właśnie walka, ów wielki prąd, przebijający się przez bierną masę życia jest, zdaniem autora, celem, jakby ideałem społecznym mas. Poza nim, poza tym prądem nie ma już nic żywego, nic godnego życia. Pewnego rodzaju walka dla walki, jak „sztuka dla sztuki”. A jednak jeżeli odejmiemy tej walce jej cel, jeżeli go nie ujrzą i nie uświadomią sobie masy, to walka stanie się beztreściwą, bezduszną, zniechęcenie

musi zapanować nad początkowym zapałem, apatia zastąpi entuzjazm. I wreszcie zamrze prąd, ustanie ruch, zapanuje cisza i martwota.

W imię czego masy podejmują walkę? W imię odwiecznych ideałów sprawiedliwości społecznej, powszechnego szczęścia, opartego przecież jednak na „beztreściwej i mglistej”, zdaniem autora, miłości bliźniego, a chyba nie na walce i nienawiści. Walka jest tu tylko środkiem, bronią konieczną i potrzebną w wielu wypadkach, ale nie źródłem, ani tym więcej „jedyną krynicą ideowości”.

Warunkiem powstania idei społecznej, jak słusznie podkreśla autor, nie jest propaganda, ani żarliwe apostołstwo jednostek, ale nie jest także przeciwstawienie się i walka, które zawsze są jednym z objawów wcielania się idei w życie.

Warunkiem tym to przede wszystkim **świadomość społeczna mas**. Bez tej świadomości niemożliwa jest zarówno walka, jak i twórcza praca społeczna. Ma tle tej świadomości powstaje również idea i ideowość każdego ruchu.

Całe bogactwo kultury, całe skarbnice idei, tworzone w ciągu wieków przez społeczność ludzką, rozprowadzone między jednostki ludzkie, stanowiące jej ogniwa, ożywiają je i łączą wspólnym, choć niewidzialnym łańcuchem myśli, uczuć, pojęć i stają się w ten sposób źródłem świadomości społecznej.

Społeczeństwo ludzkie nie powstało po to, aby na jego tle rozgrywały się dzikie walki, jako domniemane źródło wszelkich prądów ideowych. Społeczeństwo ludzkie jest objawem współdziałania gatunku, jakich wiele spotykamy w przyrodzie w stopniu mniej doskonałym. Z najprostszych, a zarazem najistotniejszych swoich założeń, dąży ono do osiągnięcia harmonii i jedności wewnętrznej, gdyż inaczej samo istnienie jego byłoby bezcelowe. Przez tysiące lat istnienia społeczeństwa wytworzył się w jednostkach składających je ów instynkt społeczny, instynkt zachowania społeczeństwa, który, jak już wyżej zaznaczyliśmy, działa w jednostce ludzkiej niejednokrotnie silniej, niż jej własny instynkt samozachowawczy. Na tle tego instynktu rodzą się idee społeczne, idee solidarności i miłości bliźniego. Ale społeczeństwo jest tworem żywym, znajdującym się w stanie ciągłego doskonalenia swoich funkcji, ciągłego zastępowania starych form nowymi. Dzieje się to w szczególności wtedy właśnie, kiedy formy te przestają odpowiadać zasadniczym założeniom społecznym – współdziałania, solidarności, wspólności interesów ludzkiego gatunku. Zastępowanie takie nie obywa się bez tarcia, często nawet bez walk zaciętych. Są one jednak zawsze objawem chorobliwego stanu społeczeństwa, objawem dążenia do osiągnięcia nowego etapu równowagi.

W takim okresie znajdujemy się dzisiaj. Kapitalizm jest jaskrawym zaprzeczeniem solidarystycznych założeń społeczeństwa ludzkiego. Oparty na czynnikach egoistycznych, na wyzysku ogółu na rzecz jednostek, musi budzić naturalną reakcję, gdyż inaczej doprowadziłby do rozpadnięcia się samego społeczeństwa. Reakcja ta – to walka klas, walka społeczna.

Ale obok walki w łonie starego porządku odbywa się praca twórcza nad budowaniem nowego. Obie one – i praca, i walka mogą i powinny być ożywione jednym i tym samym ideałem, jedną i tą samą myślą, obie mogą być równie ideowe. Nie chcemy jednak, aby praca twórcza stawała się tylko narzędziem walki, tylko służebnicą niszczenia, gdyż w rezultacie stanie się, według słów Hercena, które w dziwny sposób zaczynają się wypełniać w Rosji:

„Gdyby cały ten świat wysadzić dzisiaj prochem w powietrze – to jeszcze odrodziłby się z popiołów burżuazyjnym, niestety”.

Burzenie może być tylko środkiem twórczości społecznej, a nigdy odwrotnie.

Ktokolwiek zatem usiłuje podporządkować walce klasowej ruch spółdzielczy, pojęty jako ruch społeczny, tworzący nowe formy bytu społecznego, zgodne z interesami proletariatu, i leżące na drodze postępu społecznego, na drodze realizacji najwyższych ideałów ludzkości, nie orientuje się w tym, jaką szkodę wyrządza proletariatu, którego interesów rzekomo chce bronić. Nie ma zdaje się pojęcia, które byłoby częściej, i celowo lub przez nieświadomość, fałszywie przedstawiane, niż tzw. zasada „neutralności”, a właściwie **niezależności** ruchu spółdzielczego. Najulubieńszym jednak komunalem jest ten, że spółdzielczość „neutralna” „nie uznaje walki klas”, że, przeciwnie, widzi tylko solidarność wszystkich i w imię tej solidarności nakłania robotników do zaniechania walki klasowej. Jedno jest w tym prawdziwe! Kooperacja istotnie uznaje solidarność, jako naturalną podstawę ustroju społecznego, widząc w spółdzielaniu i solidarności przyczynę powstawania społeczeństwa w ogóle. Ale **właśnie dlatego** kooperacja niezależna przeciwstawia się istnjącemu ustrojowi kapitalistycznemu, który z tymi podstawowymi zasadami społecznymi jest sprzeczny, który, postawiwszy egoizm jednostki jako zasadę, doprowadził społeczeństwa do stanu przesilenia, w jakim się dziś znajdują. Przeciwstawienie to wyraża się w tworzeniu form nowych, doskonalszych pod względem gospodarczym i społecznym, które zdaniem kooperatystów niezależnych, stopniowo wypierać będą formy, które w dzisiejszym stanie społeczeństwa przestają odpowiadać swemu zadaniu. Oczywiście powstawanie tych nowych form nie leży w interesie tych, którzy z obecnego ustroju ciągną swoje egoistyczne korzyści. To też, w sposób zupełnie naturalny, kadry kooperatyw wypełniają się tymi, którzy ponoszą cały ciężar istniejących stosunków, olbrzymią większością społeczeństwa – klasami nieposiadającymi, żyjącymi ze swej pracy, a nie z własności.

Działo się to i dzieje wbrew początkowej niesłuchanie silnej opozycji bałwochwalców walki klasowej, zwolenników fetyszyzmu klasowego, który im zaciemnia istotną rolę i znaczenie tej walki w rozwoju społecznym. Ideę kooperacji stworzyli bynajmniej nie ci, którzy swoje natchnienia czerpali z doktryny uniwersalności walki klasowej. Przeciwnie – ci ją usiłowali początkowo zabić i zdyskredytować.

I nie ideały walki klasowej popchnęły masy proletariatu do kooperacji – przeciwnie – usiłowały one przez długi czas kooperacji się bezskutecznie przeciwstawiać. Pęd do twórczości społecznej, ideały ucieleśnianej przez tworzone instytucje sprawiedliwości społecznej – oto, co pchało masy robotnicze do organizacji spółdzielczych.

Gdyby nawet rozczłodził rozkwitnął „w czasie wielkich walk społeczno-politycznych, rozpalających do białości nienawiści klasowej”, jak twierdzi autor, nie byłoby to dowodem dostatecznym, że źródło swoje miał właśnie w tych walkach. Ale tak nie było. Powstanie Stow. Sprawiedliwych Pionierów i cały pierwszy okres rozwoju kooperacji w Anglii przypada właśnie na czas po upadku ruchu chatystów, a przed powstaniem jeszcze nowoczesnych organizacji walki klasowej – tj. związków zawodowych i „Labour party”. Powstał on w okresie depresji w sferach proletariackich Anglii, utraty wiary w dotychczasowe metody działania, a komunizm owenowski, z którego brał natchnienie, miał mniej nawet wspólnego z ideą walki społecznej, niż obecny niezależny ruch spółdzielczy. A przecież ów właśnie rozczłodził był tą iskrą ideową, która zapaliła na nowo płomień przygasłej pochodni życia robot-

niczego w Anglii i niemało wpłynęła na powstanie innych typów organizacji proletariatu angielskiego.

Oczywiście na arenie życia społecznego działa jednocześnie cały szereg czynników, rozgrywa się spłot procesów społecznych i niełatwo nieraz wyneść co jest skutkiem, co przyczyną, co od czego jest zależne lub niezależne. Zbyt jednak ryzykowne wydaje się twierdzenie autora, że chrześcijaństwo – to produkt „ognistej nienawiści” do Rzymu, to wyraz „potwornego parcia mas w podziemiach państwa rzymskiego”. Parcia? Gdzie? Dokąd? Czyż chrześcijaństwo łączyło się ideowo w ścisły, logiczny sposób choćby z krwawymi dziejami powstań niewolników rzymskich, albo z wczesnym okresem walk patrycjuszów i plebejuszów? Czy w ogóle lepiej ruchów religijnych, mających swój specyficzny podkład psycho-społeczny nie przytaczać jako argumentu w sprawach społeczno-gospodarczych, jakkolwiek oczywiście wszelkie zjawiska społeczne pozostają ze sobą w pewnym mniej lub więcej luźnym związku. A już szczytem ryzykowności należy nazwać twierdzenie, że nienawiść do Rzymu, wzgarda dla kultury i potęgi rzymskiego Babilonu powodowała pierwszych chrześcijan do dobrowolnej ofiary męczeństwa na arenach cyrków rzymskich, bez cienia oporu, bez słowa protestu.

Stosowanie doktryny walki klasowej jako uniwersalnego klucza do rozwiązywania wszelkich zagadnień społecznych musi w rezultacie zawieść, tak jak używanie reklamowanych jako uniwersalne lekarstwa na wszelkie choroby środków leczniczych.

Przejdźmy do tezy trzeciej. Autor nie może zaprzeczyć, że ruch spółdzielczy w Polsce od samego początku odznaczał się wysokim poziomem ideowym, jakkolwiek nie posiadał ochronnego znaczka „klasowości”. Usiłuje zatem wyjaśnić ten fakt tym, że ideowość ta była wyłącznie skutkiem przeciwstawienia się rządowi zaborczym i narzędziem walki z nimi, źródło swe mając w tragedii bytu narodowego.

Nie ulega wątpliwości, że ruch spółdzielczy w Polsce ożywiony był w znacznym stopniu ideą odrodzenia narodowego i bynajmniej się tego wstydzić nie potrzebuje. Idea narodowa, jak to jeszcze później postaramy się wyjaśnić, wyrosła na tle samozachowawczego instynktu społecznego, jako dążenie do utrzymania i ochrony organizacyjnej jednostki socjologicznej, na której podstawie buduje się, żyje i działa społeczeństwo ludzkie. Instynkt społeczny samozachowawczy działa szczególnie silnie wtedy, gdy byt, sprawność działania, możliwość rozwoju jednostki są zagrożone. Naówczas tzw. „idea narodowa” góruje nad innymi dążeniami społecznymi, jakkolwiek ich nie zabija, lub nawet osłabia. Przeciwnie – ideały społeczne mas, jako wyraz dążeń do doskonalenia się organizacji społecznej, tworzą doskonałą harmonię z dążeniem do rozwoju narodowego. W tym wypadku ma to zastosowanie do początków ruchu spółdzielczego w Polsce. Były one bezwzględnie wyrazem dążeń społecznych polskich mas ludowych do zrealizowania swoich ideałów społecznych i gospodarczych – jednocześnie jednak harmonizowały z dążeniami narodowymi tych mas. Nie były one jednak bynajmniej wyłącznie narzędziem walki politycznej o niepodległość. Gdyby chodziło o tę walkę, to zarówno działacze, jak i masy znalazłyby dla swych dążeń o wiele lepszy wyraz w organizacjach politycznych niepodległościowych, jawnych i tajnych organizacjach oświatowo-kulturalnych, wreszcie gospodarczych o innym, niespółdzielczym charakterze. O charakterze organizacji zdecydował tu społeczny charakter ruchu.

I co do neutralności politycznej myśli się autor. Tak, jak dziś, jak i wówczas, organizacje te były politycznie najzupełniej neutralne i nawet organizując gospodarczo masy społeczne

celem przeciwstawienia tej organizacji gospodarczej polityce państw zaborczych – strzegły pilnie swej zupełnej niezależności od instytucji politycznych, nawet niepodległościowych. A przecież i dziś, jak i wówczas tendencje do wciągania ich w sferę wpływów organizacji politycznych istniały.

Nie było wówczas neutralności wobec caratu i kapitalizmu tak, jak i dziś nie ma neutralności wobec kapitalizmu. Stosowane są tylko odrębne metody przeciwstawiania się tym czynnikom niż te, które stosowane były lub są przez odpowiednie organizacje polityczne i zawodowe – ponieważ to wynika z samej istoty organizacji spółdzielczych.

Już to, co wyżej o idei narodowej powiedzieliśmy, stanowi zasadniczą sprzeczność z czwartą tezą autora, że tzw. ideologia „nacionalistyczna” (jeżeli autor tym określeniem nie obejmuje wyłącznie jej wykoślawień, które pod jej pozorem przemycają egoistyczne klasowe społeczno-gospodarcze interesy warstw posiadających, tj. tzw. „nacionalizmu”) – związana jest jedynie z powierzchniowymi warstwami społeczeństwa.

Tego rodzaju ujmowanie sprawy, stanowiące jeden z dogmatów ortodoksyjnego socjalizmu, jest do pewnego stopnia tragicznym nieporozumieniem, wynikającym z niezrozumienia istoty narodu, jako pojęcia socjologicznego i częstego utożsamiania go z pojęciem państwa.

Naród jest jednostką socjologiczną społeczeństwa ludzkiego, którego więź stanowi jednakowy język, a co za tym idzie i jednakowa treść tworzywa społecznego, którą – rozszerzywszy nieco to pojęcie – można by nazwać kulturą. Takie rozszerzone pojęcie kultury stanowi istotę człowieczeństwa, ponieważ *człowieka* nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić poza społeczeństwem, a co za tym idzie poza narodem. W tym ujęciu narodu i idei narodowej mieści się wytłumaczenie: 1. wzmagania się znaczenia idei narodowej w miarę wzrostu kultury i oświaty, 2. silniejszego odczuwania idei narodowej przez sfery kulturalne i oświecone, 3. wzmagania się idei narodowej w masach ludowych w miarę wzrostu ich kultury i oświaty, 4. pewnej supremacji idei narodowej w stosunku do innych dążeń społecznych, co ujawniło się szczególnie podczas ostatniej wojny, a co niejednokrotnie nadużywane bywa przez zręcznych kuglarzy politycznych w interesie klasowym warstw kapitalistycznych.

Na tym też tle powstała negacja idei narodowej przez teoretyków ortodoksyjnego socjalizmu i to właśnie nazywam tragicznym nieporozumieniem.

Kultura duchowa bowiem narodu, a z nią i myśl narodowa, jest również dziełem klas pracujących umysłowo i fizycznie, jak i fabryki, warsztaty, towary, będące jej zewnętrznym wyrazem. I ona również, jak i te ostatnie, zawłaszczona została na wyłączny bez mała użytek klas posiadających, dla których dostępne jest nieograniczone niemal używanie jej skarbów i bogactw i które mienia się być dzisiaj jedynymi jej wyrazicielami i rzecznikami. Proletariat, rzucając hasło wywłaszczenia wywłaszczycieli z dóbr materialnych, jednocześnie pozostawia w ich ręku kulturę narodową, a nawet odżegnuje się od niej, jako od produktu „burżuazijnego”. Tymczasem pierwsza rzecz, z której należałoby wywłaszczyć paśmożytnicze, zarówno duchowo, jak materialnie warstwy społeczne – to właśnie skarbnica kultury duchowej, tworzonej od wieków w narodzie przez umysły i ręce klas pracujących. Utożsamianiu idei narodowej z interesem klasowym burżuazji proletariat powinien był już dawno położyć kres. A tymczasem skutek tragicznego nieporozumienia teoretycy pewnego odłamu usiłują tę właśnie koncepcję narzucić proletariatowi, na szczęście bezskutecznie.

Jak już wspomniałem, źródło swoje ma to w znacznej mierze również utożsamianiu państwa z narodem. Państwo jest, jak wiemy, tą formą organizacyjną, w jakiej się najczęściej wyraża naród. Forma, wskutek swojego pochodzenia genetycznego, oparta na przemocy i przymusie, opanowana została, jak wszystkie wartości społeczne, przez klasy posiadające i reprezentuje przede wszystkim interes własności, a nie interes pracy. W okresie wzmożonych walk społecznych, kiedy kapitalizm doprowadził do absurdu ideę supremacji interesu własności, o tę właśnie formę – o wykonywanie władzy państwowej toczą się najzawziętsze walki. Dopóki jednak cały ustrój opiera się na zasadach interesów własności, dopóty i organizacja państwowa musi się stawiać ich wyrazem, nawet gdy władzę w państwie czasowa lub na stałe ujmą w swe ręce przedstawiciele interesów pracy. Niezgoda tendencji państwa z zasadami ustroju społeczno-gospodarczego, doprowadziłaby rychło do zburzenia całego życia społecznego. Tym się tłumaczy niemoc poczynań przedstawicieli klas nieposiadających na gruncie państwowym w sferze szerokich reform społecznych.

Niezależnie od tego, państwo, jako organizacja przymusu, sprzeczne jest z nowoczesnymi tendencjami do jak największej swobody jednostki ludzkiej, do wolności indywidualnej i zbiorowej. Władza w państwie zbyt łatwo dostaje się w ręce jednej warstwy lub nawet klikki, która siłą przymusu państwowego nagina swoich poddanych do swoich interesów i dążeń. Pod tym względem nie odbiegają państwa tzw. „burżuazyjne” w niczym od państw „proletariackich”, a gwałt zadawany wolności strajków, zmów, wolności pracy, zebrań, organizacji politycznych itp. w Socjalistycznej Federacyjnej Republice Rosyjskiej różni się chyba tylko swoją surowością od podobnych metod w kapitalistycznej i monarchistycznej Anglii, w drobnomieszczańskiej Francji czy w chłopskiej Polsce.

Do tej przydługiej dygresji zmusił nas autor swoim twierdzeniem, że ideologia narodowa, jako związana z pewnymi powierzchniowymi warstwami społecznymi, nic wielkiego i dziejowo trwałego nie rodzi i przy pierwszej okazji rozlewa się płytko i szeroko, w szczególności zaś nie jest związana z prądami, ożywiającymi masy społeczne. Trochę tu sprzeczności z tym, co twierdził autor poprzednio, pisząc:

„Ale ideowość nie może tu być czymś jednostkowym, to nie ogień rozżarzony w sercu jednego tylko człowieka, lub kilku jednostek. Bywają tego rodzaju porywy, lecz nic one nie przynoszą: przypominają tylko kwiat egzotyczny z cieplarni na śnieg wyrzucony”.

Jeżeli z ruchu spółdzielczego w Polsce nie pozostała „na lśniącej powierzchni śniegowej brudna, błotnista plamka”, to dowód, że **ideowość jego była i jest wyrazem dążeń mas społecznych, które go tworzą**. Bo nieprawdą jest ani to, że po uzyskaniu niepodległości państwowej, „rozlał się płytko i szeroko”, ani to, że jego działacze ideowcy porzucili go, aby się rozpuścić w innych możliwościach działania narodowego. Na pojedynczym wypadku i to powierzchownie ujętym nie buduje się takich twierdzeń. Przeciwnie: jest rzeczą widoczną, że ideologia ruchu okrzepła i zjedrniała, praca społeczno-wychowawcza wzmogła się i ruch pod względem społecznym wzmocnił swe kadry i rozwinął się silniej niż przed wojną. Działała tu właśnie większa swoboda warunków politycznych, która stworzyła również warunki podatne do powstania tzw. „klasowego” ruchu spółdzielczego w Polsce.

Nie potrzebuje się autor zatem obawiać o ideowość niezależnego ruchu spółdzielczego. Jego „neutralność” – to słuszne dążenie do uniezależnienia się od organizacji politycznych, którym się wydaje, że są czynnikiem głównym w rozwoju społecznym, a spełniać mogą i powinny tylko funkcje pomocnicze. Jego „brak rewolucyjności” to tylko odrzucenie pew-

nej doktryny, pociągającej ludzi o pewnym temperamencie i wyobraźni, ale nieposiadającej żadnego uzasadnienia w życiu gospodarczym i społecznym. Jego ideowość wreszcie to nie religijna bez mała wiara w pewne dogmaty, ale twórcza, żywa i radosna chęć, wykuwania własnymi rękoma słonecznej przyszłości, budowania gmachu tej przyszłości dziś, zaraz drobnymi choćby czynami, zrąb za zrębem, cegłę za cegłą. Świeci ona swoim własnym słonecznym blaskiem, a nie księżycowym, zapożyczonym światem, chłodnym i mglistym.

Czy powinien zaś mówić o ideowości ruchu spółdzielczego, ktoś, kto tej jego samodzielnej i niezależnej roli w budowaniu nowego życia nie uznaje? Kto spółdzielnie uważa za narzędzie jedynie walki klasowej, a w przyszłości punkty rozdzielcze państwowej aprowizacji? Czy mogą wzbudzać entuzjazm „organizacje aprowizacyjne robotników, zatrudnionych w fabrykach kapitalistycznych”²¹.

Nie, zaiste! To jest właśnie sprowadzeniem spółdzielczości do poziomu „sprawy żółdkowej”, jakiegoś wodociągu, czy tramwaju, z tą tylko różnicą że nie w państwie „burżuazyjnym”, a tzw. „proletariackim”.

21 H. Janowicz – Spółdzielczość robotnicza w Polsce, str. 35.

STANISŁAW THUGUTT

ROLA SPÓŁDZIELCZOŚCI W BUDOWIE PAŃSTWA POLSKIEGO

(„SPÓLNOTA” NR 22-23 Z 1928 R.)

Dziesięć lat budowania naszego Państwa pozwala nam już niewątpliwie wyciągnąć pewne wnioski ogólne. Dwa z nich rzucają się w oczy z jaskrawą oczywistością. Jeżeli chodzi o budowanie państwa od góry, o zagadnienia konstytucji i praw zasadniczych, wszystko tu jest płynne, zmienne i sporne. Dziś jest pod tym względem gorzej niż kilka lat temu, kiedy demokratyczna, parlamentarnie rządzona republika wydawała się bez mała wszystkim obywatelom jedynie możliwą i pożądaną formą ustroju Polski, kiedy nie mówiło się jeszcze o faszyzmie, dyktaturze, autorytecie ludzi stojących ponad prawem i kiedy każde zdanie, każde słowo naszej Konstytucji nie było jeszcze atakowane z dochodzącą do nienawiści zaciekłością albo ogłaszane za pustą deklamację, pozbawioną treści i sensu. Stąd wniosek pierwszy: w budowie szczytów państwa zaszliśmy bardzo niedaleko; co gorsza, jeżeli chodzi o cały naród, zgubiliśmy swoją drogę. Odbiera to wielu ludziom wiarę w swe siły i skłania do poszukiwania cudownych lekarstw, które się wkrótce okazują szarlatanerią.

Pewnym pokrzepieniem może być tylko to życie, które się samorzutnie rozwija od dołu. Trudno było by wprawdzie twierdzić, że nasze stosunki społeczne i gospodarcze nie pozostawiają już nic do życzenia. Jeżeli obywatelom Rzeczypospolitej Polskiej przyjrzymy się jako rzeszom spożywców, spostrzeżemy z łatwością, że olbrzymia ich część spożywa ilości niedostateczne i bynajmniej nie w najlepszym gatunku. Niewiele lepiej stoi sprawa z produkcją, zastarzałą w formach, anarchiczną w planie pracy, z niesłychanym rozproszkowaniem ziemi, z milionami godzin marnowanych w przymusowym bezrobociu. A jednak mimo wszystko życie tryska niepowstrzymaną falą, jak tryska bujna krynica spod przywalających ją głazów, zasklepiając rany zniszczenia wojennego, usuwając zawady, szukając nowych dróg. Niekiedy dzieje się to przy pomocy państwa, czasami bez żadnej pomocy, a jeszcze kiedy indziej wbrew najosobliwszym przeszkodom biurokratycznej formalistyki.

To nowe życie jednak jest życiem przeważnie dziko rosnącym. Prawa, które rządzą jego budzeniem się lub jego zamieraniem, są nam nieznane lub znane bardzo mało. Gdzieś w głębokiej głuszy wiejskiej wykwita czasami niespodziewanie jakaś nowa forma życia, jak roślina, której nikt nie siał, którą się nikt nie opiekował. Kiedy indziej najuporczywsze wysiłki, agitacja najbardziej wytrwała nie może wykrzesać iskry. Najmniej oczywiście w tym kierunku uzdolnień ma państwo, którego przedstawiciel – urzędnik z głową wypchaną paragrafami ustaw, nie może najczęściej znaleźć języka wspólnego z twórcami samorodnego życia na szerokich nizinach społecznych. Stosunek z nim rozpoczyna się zwykle od nałożenia na nowe formy życia nowego podatku, jego opieka wyraża się z reguły w ulgach, jakie czyni od tych podatków.

Tu rozpoczyna się rola instytucji społecznych. A jeśli chodzi o stanowiące rdzeń życia narodowego zjawiska gospodarcze rozpoczyna się rola spółdzielczości. Oczywiście mówię o spółdzielczości, która od świadomości najbardziej pierwotnej, od ulepszenia stanu gospodarstwa swoich członków i zaoszczędzania im kilkudziesięciu złotych rocznie przechodzi do bardziej świadomej akcji przekształcania całego obecnego ustroju.

Wprawdzie nawet na najniższych szczeblach uświadomienia społecznego staje się niebawem spółdzielczość wybitnym składnikiem potęgi i zamożności państwa. Jeżeli chodzi o Polskę, już dzisiaj przyczynia się do podtrzymania jego bilansu handlowego... Wolno mniemać, że w bilansie tym chłopskie masło, jaja i szynki ważyć będą kiedyś więcej niż eksportowany przez baronów węglowych węgiel lub drzewo wycinane w obszarniczych lasach. Przy nieco pomyślniejszych warunkach drobne spółki pieniężne łatwo stać się mogą bankierem państwa, bardziej bezpiecznym i bardziej pewnym niż kapitalistyczne banki zagraniczne. Nie mówiąc już o tym, co jest punktem wyjścia dla spółdzielczości, że zasiadłszy się nieco lepiej w siodle, potrafi ona znacznie lepiej poskromić nazbyt wybujałe apetyty wszelkich handlarzy i spekulantów, niżby to mogły uczynić najsurowsze zakazy i regulaminy ministrów.

Ale było by mimo wszystko błędem przypuszczać, że te materialne zwycięstwa spółdzielczości wystarczą do ostatecznego powalenia kapitalizmu wraz z nieodzownym jego następstwem – wyzyskiem. Wręcz przeciwnie, sądzę, że kapitalizm wzięty mocno za gardło, nie tylko broniłby się rozpaczliwie, ale przechodziłby do ataku, ulepszając swoje metody pracy i skracając swój front na mniejszych odcinkach.

I nie umiałbym dowieść, że zwycięstwo w walce decydującej musi się okazać po stronie spółdzielczości, gdyby nie miała ona sprzymierzeńców w organizacjach politycznych i w związkach zawodowych. Nade wszystko zaś, gdyby samym swoim istnieniem i przenikającą aż do środka obozu wroga propagandą nie przekształcała dusz ludzkich, osłabiających odpór psychiczny swych nieprzyjaciół, ugruntowując jak kamienne słupy nowe pojęcia o nowym porządku rzeczy.

W tej właśnie powolnej, ale nieuchronnej zmianie nastrojów i poglądów społeczeństwa widzę jedną z najcenniejszych wartości ruchu spółdzielczego. Wszędzie, a zwłaszcza w Polsce, która tak mało czuje się jeszcze związkiem obywateli. Proszę wczuć się na chwilę w sposób myślenia tej nieszczęsnej drobiny ludzkiej, jaką jest pierwszy lepszy obywatel, ktoś z szarej masy, będący olbrzymią większością ludności Odrodzonej Polski. Stratowany przez wojnę, łupiony przez spekulację, poszturchiwany przez niezliczone zakazy i nakazy, których celu i potrzeby nie może zrozumieć, zawiedziony, jeśli nie wręcz oszukany w swoich

dość niekiedy naiwnych rachubach politycznych, czuje się w końcu ten nieszczęsny współwłaściciel republiki czymś opuszczonym, biednym i słabym w szalejącej dokoła walce sił, których nie umiałby nawet nazwać. Poi się goryczy, traci wiarę w siebie i w innych i odchodzi od Polski, nie rozumiejąc, że ona musi rodzić się w męce.

Dzień, w którym ten szarpiący się bezpłodnie człowiek stanie się członkiem bodajby małej, początkującej spółdzielni, będzie dla niego pierwszym dniem innego i lepszego życia, pod warunkiem, że wejdzie w nią z wiarą. Nie czuje się już tak opuszczonym. Jego organizacja jest jak gdyby małym wzniesieniem, z którego wzrok jego sięga dalej i dostrzega rzeczy, których istnienia nawet się nie domyślał. Uczy się w niej królewskiej sztuki rządzenia. I nade wszystko on, ów pływak zmęczony, zaczyna czuć grunt pod nogami. Zwycięstwa, które odnosi razem z innymi, są małe, ale dadzą się dostrzec i posuwają go naprzód. W pewnej chwili spostrzega, że takich jak on są miliony, że stanowią oni olbrzymią siłę, że są częścią państwa, której ani pominąć, ani skrzywdzić nie można. I powie, że lepiej Polskę budować z szarych polnych kamieni, aniżeli z tęczowych złudzeń, po których zostaje zawód, jeśli nie błoto.

Gotów jestem ten jego pogląd podzielić. Państwo nie jest tylko tą czy inną ilością kilometrów kwadratowych obszaru, armią broniącą granic, stertą zadrukowanego papieru, ustanawiającą obowiązujące wszystkich prawa. Państwo, to przede wszystkim wola do życia jego obywateli. Nie ślepa wola, wynikająca ze zwierzęcego strachu przed zagładą, ale wola dążąca świadomie do lepszego, szlachetniejszego i wolnego życia.

W tym rozumieniu uważam świadomą swoich celów spółdzielczość za jeden z najpewniejszych sposobów budowania naszego Państwa od dołu.

{ Spółdzielnia to nie jest kramik, tylko zrzeszenie uczciwych ludzi, którzy wspólną pracą chcą walczyć z nędzą, z wyzyskiem, z całym złem, które dziś trapi świat. Spółdzielnia, to wielka szkoła, która ich robi lepszymi, przezorniejszymi, sprawiedliwszymi. Ta szkoła robi ze zwykłych zjadaczy chleba obywateli, którzy nie żebrzą, nie chcą nikomu niczego odbierać, nie oczekują tylko cudzych rozkazów, ale sami budują Polskę od dołu.

(Stanisław Thugutt, 1934)

ZASADY ROCZDELSKIE

Zasady wypracowane przez pionierów roczdelskich²² zostały dokładnie ujęte i wprowadzone do statutu Międzynarodowego Związku Spółdzielczego na mocy uchwały Kongresu (Zjazdu) tego Związku w Paryżu w r. 1937 i od tej pory obowiązują organizacje spółdzielcze wszystkich krajów.

1. Otwarte członkostwo

Dostęp do spółdzielni otwarty jest dla każdego bez względu na płeć, wyznanie, narodowość, w przeciwieństwie do prywatnych spółek, gdzie ze względu na czynnik zysku osobistego ilość uczestników jest zwykle z góry ograniczona. Czynnikiem podstawowym ruchu spółdzielczego jest jego masowość.

2. Ustrój demokratyczny (1 członek – 1 głos)

Bez względu na ilość posiadanych udziałów każdy członek spółdzielni ma tylko jeden głos i każdy z członków ma prawo decydować swym głosem o losach spółdzielni. W prywatnych przedsiębiorstwach ilość głosów zależna jest od wielkości posiadanego kapitału; częstokroć posiadacz największego kapitału w spółce decyduje o jej losach.

3. Udział członka w nadwyżce proporcjonalny do jego świadczeń na rzecz spółdzielni

Wielkość zakupów członków lub rozmiar jego pracy albo innych świadczeń na rzecz spółdzielni decyduje o stopniu jego udziału w osiągniętej nadwyżce (zysku). Uczestnik spółki prywatnej bierze udział w jej zyskach w zależności od wielkości wniesionego przezeń kapitału do spółki, choćby nawet nie wносił do niej żadnej pracy lub innych świadczeń osobistych (kapitał pracuje za niego).

4. Ograniczone oprocentowanie udziałów

Jest to wyraz dążności do wyeliminowania zysku od kapitału z organizacji spółdzielczej; wskutek tego ograniczenia udziały w spółdzielni prowadzą się raczej do roli drobnych oszczędności osobistych. W prywatnych spółkach zysk od włożonego kapitału jest czynnikiem podstawowym i największym bodźcem do uczestnictwa w przedsiębiorstwie.

22 Za: Stanisław Thugutt „Spółdzielnia spożywców w Rochdale i zasady roczdelskie” <http://kooperatyzm.pl/spoldzielnia-spozywcow-w-rochdale-i-zasady-roczdelskie-1938/>

Warto również zapoznać się ze statutem spółdzielni w Rochdale, zawierającym m.in. mechanizmy wyrównujące zwrot dywidendy czy zapobieganiu biedzie i wykluczeniu: <http://kooperatyzm.pl/statut-jego-objasnienie-oraz-lista-czlonkow-zalozycieli-roczdelskiej-spoldzielni-sprawiedliwych-pionierow-z-roku-1844-1938/>

5. Neutralność religijna i polityczna

Wszelkie różnice i walki religijne lub polityczne są obce ruchowi spółdzielczemu (porównaj z zasadą pierwszą). Spółdzielczość jako organizacja społeczno-gospodarcza szerokich rzesz pracujących, powołana do zaspakajania ich potrzeb w jak najszerszym zakresie, pozostawia zagadnienia religijne i polityczne właściwym, powołanym do tego organizacjom. Pozostając w zupełnej niezależności od stronnictw politycznych, ruch spółdzielczy współdziała jednakże z organizacjami zawodowymi i politycznymi świata pracy w realizowaniu swego zasadniczego postulatu – uspołecznienia środków produkcji i wymiany.

6. Sprzedaż tylko za gotówkę

Opierając się na funduszach społecznych, spółdzielnia nie może narażać ich na ryzyku wątpliwego zwrotu przez udzielanie kredytu towarowego. Ponadto, pracując zwykle przy pomocy niewielkich funduszy, spółdzielnia uzyskuje nadwyżki głównie w drodze ich szybkiego obrotu – udzielanie kredytu wycofuje te fundusze z obrotu spółdzielni, zmniejszając jej zdolność gospodarczą.

7. Działalność oświatowa

Podstawowym elementem spółdzielni jest człowiek (a nie kapitał), który aby zapewnić jej siłę organizacyjną, winien być świadom jej celów i zadań. Działalność oświatowa (społeczno-wychowawcza) spółdzielni wśród członków staje się wskutek tego zagadnieniem podstawowym.

DEKLARACJA SPÓŁDZIELCZEJ TOŻSAMOŚCI (ZASADY MANCHESTERSKIE)

UCHWALONA PRZEZ XXXI JUBILEUSZOWY KONGRES

MIĘDZYNARODOWEGO ZWIĄZKU SPÓŁDZIELCZEGO

W MANCHESTERZE W DNIACH 20-22 WRZEŚNIA 1995 R.

Definicja

Spółdzielnia jest autonomicznym zrzeszeniem osób, które zjednoczyły się dobrowolnie w celu zaspokojenia swoich wspólnych aspiracji i potrzeb ekonomicznych, społecznych i kulturalnych poprzez współposiadane i demokratycznie kontrolowane przedsiębiorstwo.

Wartości

Spółdzielnie opierają swoją działalność na wartościach samopomocy, samo-odpowiedzialności, demokracji, równości, sprawiedliwości i solidarności. Zgodnie z tradycjami założycieli ruchu spółdzielczego, członkowie spółdzielni wyznają wartości etyczne uczciwości, otwartości, odpowiedzialności społecznej i troski o innych.

Zasady

Zasady spółdzielcze są wytycznymi, przy pomocy których spółdzielnie wprowadzają swoje wartości do praktyki.

Pierwsza zasada: Dobrowolnego i otwartego członkostwa

Spółdzielnie są organizacjami dobrowolnymi, otwartymi dla wszystkich osób, które są zdolne do korzystania z ich usług oraz gotowe są ponosić związaną z członkostwem odpowiedzialność, bez jakiegokolwiek dyskryminacji z powodu płci, przynależności społecznej, rasowej, politycznej czy religijnej.

Druga zasada: Demokratycznej kontroli członkowskiej

Spółdzielnie są demokratycznymi organizacjami kontrolowanymi przez swoich członków, którzy aktywnie uczestniczą w określaniu swojej polityki i podejmowaniu decyzji. Mężczyźni i kobiety pełniący funkcje przedstawicielskie z wyboru są odpowiedzialni wobec członków. W spółdzielniach szczebla podstawowego członkowie mają równe prawa głosu (jeden członek – jeden głos), zaś spółdzielnie innych szczebli również zorganizowane są w sposób demokratyczny.

Trzecia zasada: Ekonomicznego uczestnictwa członków

Członkowie uczestniczą w sposób sprawiedliwy w tworzeniu kapitału swojej spółdzielni i demokratycznie go kontrolują. Co najmniej część tego kapitału jest zazwyczaj wspólną własnością spółdzielni. Jeżeli członkowie otrzymują jakąś rekompensatę od kapitału wniesionego jako warunek członkostwa, jest ona zazwyczaj ograniczona. Członkowie przeznaczają nadwyżki na jeden lub wszystkie spośród następujących celów: na rozwój swojej spółdzielni, jeśli to możliwe przez stworzenie funduszu rezerwowego, z którego przynajmniej część powinna być niepodzielna; na korzyści dla członków proporcjonalnie do ich transakcji ze spółdzielnią; na wspieranie innych dziedzin działalności zaaprobowanych przez członków

Czwarta zasada: Autonomii i niezależności

Spółdzielnie są autonomicznymi organizacjami wzajemnej pomocy, kontrolowanymi przez swoich członków. Jeżeli zawierają porozumienia z innymi organizacjami, włączając w to rządy, lub pozyskują swój kapitał z zewnętrznych źródeł, to czynią to tylko na warunkach zapewniających demokratyczną kontrolę przez swoich członków oraz zachowanie swojej spółdzielczej autonomii.

Piąta zasada: Kształcenia, szkolenia i informacji

Spółdzielnie zapewniają możliwość kształcenia i szkolenia swoim członkom, osobom pełniącym funkcje przedstawicielskie z wyboru, menedżerom i pracownikom tak, aby mogli oni efektywnie przyczyniać się do rozwoju spółdzielni. Informują one ogół społeczeństwa – a zwłaszcza młodzież i osoby kształtujące opinię społeczną – o istocie spółdzielczości i korzyściach z nią związanych

Szоста zasada: Współpracy między spółdzielniami

Spółdzielnie w najbardziej efektywny sposób służą swoim członkom i umacniają ruch spółdzielczy poprzez współpracę w ramach struktur lokalnych, krajowych, regionalnych i międzynarodowych

Siódma zasada: Troski o społeczność lokalną

Spółdzielnie pracują na rzecz właściwego rozwoju społeczności lokalnych, w których działają, poprzez prowadzenie polityki zaaprobowanej przez swoich członków.

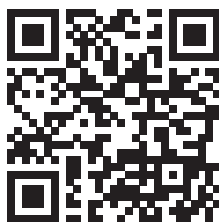


Zobacz wyprawę „Śladami Pionierów Ekonomii Społecznej”
i poznaj bohaterów naszej książki. W półgodzinnym filmie
odwiedzamy spółdzielnie uczniowskie, Kooperatywę „Dobrze”,
Browar Spółdzielczy, Parostatek, Spółdzielnię Ogniw i Łódzki
Fab-Lab.

Zorganizuj spotkanie poświęcone pionierom Polskiej
Spółdzielczości i pokaż tam nasz film. Zaproś prelegentów ze
Stowarzyszenia Obywatele Obywatelom – pioniera w przywracaniu
idei spółdzielczych we współczesnej Polsce

Więcej informacji na stronie

kooperatyzm.pl/sladamipionierow



W ruchu spółdzielczym od jego zarania niezwykle istotne były idee, które łączyły ludzi. Polscy działacze spółdzielczy szczególnie mocno podkreślali, że spółdzielnia to coś więcej niż przedsiębiorstwo – że stanowi ona także demokratyczną wspólnotę, będącą szkołą demokracji, współdziałania, wspólnego budowania lepszego świata wokół siebie – czyli tych cech, które dziś zwykliśmy przypisywać rozwiniętemu społeczeństwu obywatelskiemu.

(ZE WSTĘPU)

ISBN: 978-83-64496-04-2

PUBLIKACJA BEZPŁATNA

Wydane w ramach projektu „Śladami pionierów ekonomii społecznej” współfinansowanego ze środków otrzymanych z Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej w ramach Programu Operacyjnego Fundusz Inicjatyw Obywatelskich.